



Od samorządu
do samorządności

samo rząd ność

Beata Bialik
Karolina Brzezińska
Ignacy Dudkiewicz
Iga Dzieciuchowicz
Jakub Halcewicz-Pleskaczewski
Kamila Kielar
Aleksandra Pezda
Grzegorz Przepiórka
Adriana Rozwadowska
Krzysztof Story
Martyna Wojtkowska

{ reportaże }

Od samorządu
do samorządności

samo rząd ność

Publikacja wydana z okazji obchodów jubileuszu
30-lecia Krajowej Izby Gospodarczej

30*lat*



KRAJOWA IZBA GOSPODARCZA

Od samorządu
do samorządności

samo rząd ność

Beata Bialik
Karolina Brzezińska
Ignacy Dudkiewicz
Iga Dzieciuchowicz
Jakub Halcewicz-Pleskaczewski
Kamila Kielar
Aleksandra Pezda
Grzegorz Przepiórka
Adriana Rozwadowska
Krzysztof Story
Martyna Wojtkowska

{ reportaże }

Warszawa 2020

NOTA REDAKCYJNA

Materiały publikowane w antologii „Od samorządu do samorządności” wydanej przez Krajową Izbę Gospodarczą są chronione prawami autorskimi. Ich kopiowanie i rozpowszechnianie (w całości lub części) wymaga zgody wydawcy, a cytowanie powołania się na źródło.

Artykuły publikowane w antologii przedstawiają punkt widzenia Autorów i nie są tożsame z poglądami wydawcy, partnerów i patronów antologii.

Teksty opublikowane w antologii powstały w ramach konkursu „Od samorządu do samorządności” organizowanego przez Krajową Izbę Gospodarczą.

© Copyright by Krajowa Izba Gospodarcza

Zdjęcia na okładce:

© Shane Rounce, Unsplash, okładka I

© Karsten Würth, Unsplash, okładka IV

Zdjęcia w publikacji:

© rawpixel.com, www.freepik.com, s. 14

© prostoooleh, www.freepik.com, s. 34

© Umanoide, Unsplash, s. 56

© wirestock, www.freepik.com, s. 69

© Mika, Unsplash, s. 86

© AJ Colores, Unsplash, s. 98

© Patrick Hendry, Unsplash, s. 114

© Ravi Patel, Unsplash, s. 133

© Adam Winger, Unsplash, s. 146

© Phinehas Adams on Unsplash, s. 161

© Timon Studler on Unsplash, s. 176

Korekta: Magdalena Pawłowicz

Szata graficzna: Anna Zacharjasz

Skład: Maciej Torz MUNDA

ISBN 978-83-957067-0-7

Druk: Mazowieckie Centrum Poligrafii

Partnerzy



Patroni medialni



Od samorządu do samorządności

{Wstęp}

Szanowni Czytelnicy,

Idee samorządności i społeczeństwa obywatelskiego są szczególnie bliskie Krajowej Izbie Gospodarczej. Na tych fundamentach na początku lat 90. odbudowaliśmy ruch samorządu gospodarczego w Polsce. Przez ostatnie 30 lat aktywnie propagujemy i wspieramy ideę samorządności, ponieważ uważamy, że jest niezbędnym elementem nowoczesnego państwa.

W Polsce dużo mówi się o samorządności. Nie brakuje debat, dyskusji, wnikliwych teoretycznych analiz. Problemy samorządu i samorządności, szczególnie w wymiarze instytucjonalnym, są szeroko opisane w literaturze. W licznych publikacjach znajdziemy m.in. analizy historyczne tego zjawiska, opisy obecnego modelu samorządności w Polsce, a także propozycje reform. Oprócz teorii, warto jednak również pokazywać, w jaki sposób idea samorządności realizowana jest w praktyce przy rozwiązywaniu konkretnych problemów, z którymi borykają się np. społeczności lokalne.



Spojrzenie na samorządność z perspektywy konkretnych inicjatyw daje możliwość bliższego poznania okoliczności ich powstawania, przyjrzenia się motywom, jakie kierowały pomysłodawcami, oraz warunkom, w jakich te pomysły się rozwijały. Pozwala to lepiej zrozumieć sens i znaczenie samorządności. Ta myśl przyświecała Krajowej Izbie Gospodarczej od początku prac nad organizacją konkursu dla reportażystów „Od samorządu do samorządności”. Chcieliśmy pokazać, że samorząd i samorządność to nie tylko lokalne instytucje samorządowe, związki zawodowe czy organizacje branżowe.

W niniejszej publikacji przedstawiamy najciekawsze prace nadesłane w ramach konkursu. Prezentują one różne oblicza samorządności. Od spółdzielczości, poprzez samorząd nauczycieli, aż do działalności aktywistów społecznych. Ta różnorodność jest dowodem na to, że szeroko rozumiana samorządność może sprawdzić się przy rozwiązywaniu problemów w każdym obszarze naszej działalności.

Wartość konkursowych prac polega nie tylko na barwnym opisie wielu ciekawych inicjatyw oraz osób za nimi stojących. Dzięki temu, że ukazują samorządność we wszystkich wymiarach, bez zbędnych upiększeń i idealizowania, pozwalają lepiej zrozumieć bariery, które hamują jej rozwój w naszym kraju.

Opisane historie uświadamiają, że samorządność nie jest ideą, która może być narzucona z góry i która po uregulowaniu odpowiednimi przepisami będzie funkcjonować bez konieczności osobistego zaangażowania. Samorządność zaczyna się od wiary w sens zaangażowania w sprawy publiczne i chęci do udzielania się społecznego.

W literaturze czy w mediach często możemy spotkać się z idylliczną wizją samorządności. W skrócie wygląda to tak, że pojawia się problem, znajduje się aktywna osoba lub grupa ludzi, którzy chcą działać dla dobra wspólnego, problem zostaje rozwiązany, wszyscy są zadowoleni, a lokalna prasa publikuje pochwalne teksty okraszone zdjęciami uśmiechniętych aktywistów.

To nie zawsze tak działa. Wiele konkursowych prac pokazuje, oprócz jasnych, również te ciemniejsze strony samorządności. To, że w rozwiązywanie społecznych problemów angażuje się grupa ludzi, nie oznacza, że problemy stają się łatwiejsze do rozwiązania. Wzięcie sprawy w swojej ręce wymaga wielu poświęceń (związanych również z życiem osobistym) i mnóstwa pracy. Napotyka również wiele barier, prawnych, organizacyjnych, mentalnych, a nawet – jak w przypadku wciąż kojarzonych z PRL-em spółdzielni – wizerunkowych. Część z nich, jak m.in. bariery prawne, dałoby się szybko rozwiązać przy dobrej woli rządzących. Inne, w tym mentalne, wymagają wielu lat pracy.

Autor jednego z reportaży, opisując największe problemy przy realizacji lokalnej inicjatywy, wspomina o grupie mieszkańców, którą nazywa „kibicami klęski”. Czyli osobami, które same nic nie zrobią i nie chcą, by komukolwiek się udało. Mam nadzieję, że pozytywne przykłady działań społecznych opisane w konkursowych pracach przyczynią się do tego, że coraz więcej Polaków zacznie dostrzegać korzyści płynące z samorządności. Zdaję sobie sprawę, że nie nastąpi to z dnia na dzień. Chciałbym jednak, aby ci, którzy patrzą z boku, byli przynajmniej „kibicami sukcesu”, a nie porażki. I tego życzę wszystkim społecznikom. A Czytelnikom – przyjemnej lektury.



Andrzej Arendarski
Prezes Krajowej Izby Gospodarczej

Samorządność biznesu

Adriana Rozwadowska

{Spółdzielnie. Trudna miłość}

Nie do końca jest tak, że Polacy i Polki nie rozumieją i nie kochają spółdzielczości – to prawo spółdzielcze ich nie kocha.

Ten tekst miał być o Muszyniance: wzorcowej, wielokrotnie opisywanej i nagradzanej spółdzielni, której prezes zarabia (zarabiał?) trzykrotność tego, co pracownik fizyczny. Wolnej od mobbingu, demokratycznej, stawiającej człowieka przed kapitałem, a mimo to odnoszącej sukcesy nie tylko w Polsce, ale w całej Europie, a nawet Australii.

Jednak wielokrotne telefony do Muszynianki w październiku nie przynosiły rezultatu: choć rzeczniczka producenta wody mineralnej zarzekała się, że wkrótce skontaktuje mnie z prezesem Ryszardem Mosurem, mijały tygodnie, a tłumaczenia, dlaczego to niemożliwe, stawały się coraz bardziej groteskowe.

Po niemal miesiącu, przypadkiem, wpadłam na tekst niewielkiego, lokalnego, nowosądeckiego portalu: wyceniana na 300 mln zł spółdzielnia przestała istnieć. 2 września 2019 roku została wykreślona z rejestru przedsiębiorców, stając się spółką z ograniczoną odpowiedzialnością w rękach kilkudziesięciu byłych spółdzielców – obecnie udziałowców.

Z konieczności zmieniłam plany: umówiłam się z prezesem zarządu spółdzielni nie mniej imponującej – zajmującej się sprzedażą produktów finansowych ANG Spółdzielni, dającej pracę 800 osobom, z czego aż 300 to udziałowcy i udziałowczynie. Po krótkiej rozmowie o tym, czy koniec Muszynianki to preludium końca spółdzielczości w Polsce w ogóle, Artur Nowak-Gocławski wtrąca znienacka: *Swoją drogą, my też jesteśmy właśnie w trakcie przekształcania się, tyle że w spółkę akcyjną.*

Problem pierwszy. Nikt przy zdrowych zmysłach nie zainwestuje w spółdzielnię

Siedziba ANG Spółdzielni mieści się w jednym z nowych biurowców na warszawskim Mokotowie. Wnętrze w stylu, który obecnie określa się mianem designerskiego: kolorowe fotele – klasyczne i bujane – rozrzucone wszędzie książki i miejsca do odpoczynku. Z wyglądu bardziej plac zabaw niż biuro. Rozmawiamy za szybą, w „zakładowej bibliotece”.

Był rok 2010, kiedy Nowak-Gocławski wraz z kilkoma innymi pracującymi w bankowości osobami postanowił założyć spółdzielnię. Nie założyliśmy jej dlatego, że kochaliśmy spółdzielczość, bo trudno ją kochać. Dziesięć lat temu była to po prostu najlepsza forma na założenie firmy innej niż wszystko to, co robiliśmy wcześniej – opowiada Nowak-Gocławski. Wartość firm usługowych, w tym finansowych, budują ludzkie talenty. Chcieliśmy, żeby ludzie mieli współwłasność, wiedzieli, że dokądkolwiek płyniemy, płyniemy razem, i czuli, że nikt nie zabierze im pracy. Tego nie dało się zrobić spółką akcyjną.



ANG Spółdzielnię sfinansowali jej założyciele, a potem zaczęli zapraszać kolejne osoby. Jak to w spółdzielni, każdy z udziałowców ma jeden równoważny głos – niezależny od wniesionego wkładu finansowego. Tak założyciele stracili kontrolę nad kapitałem, a nowi członkowie – w zamian za dostęp do produktów banków, które mogą sprzedawać w swoich punktach – musieli zgodzić się na pakiet wartości, jakimi kieruje się ANG Spółdzielnia.

Bo ANG nie jest podmiotem szczególnie lubianym w branży. Już w 2014 roku spółdzielnia wypowiedziała jednemu z banków współpracę, uznając jego działania za nieetyczne. Straciła na tym pół mln zł. Z kolei 90 procent przychodów ANG stanowią kredyty hipoteczne. Dlaczego? Jak tłumaczy Nowak-Gocławski: *kredytem hipotecznym trudno zrobić klientowi krzywdę, gotówkowym – łatwo.*

W ubiegłym roku ANG – we współpracy z dwoma bankami – wypracowała deklarację na rzecz odpowiedzialnej sprzedaży: zbiór stu wskaźników, na podstawie których można ocenić działanie instytucji finansowej. Jeśli większość z nich przybiera pozytywne wartości, spada ryzyko missellingu, największej plagi branży: sprzedawania kredytów niedopasowanych do możliwości klienta – z lekkomyślności lub celowo. Zazwyczaj z chęci szybkiego zysku kosztem kredytobiorcy.

Uchwałę o wszczęciu procedury przekształcenia w spółkę akcyjną walne zgromadzenie ANG Spółdzielni podjęło w czerwcu, a pod koniec stycznia zaś spółdzielnia weszła we właściwą procedurę. Powód? *Finanse i technologie. Rozwój tych ostatnich znacznie przyspieszył, a zakładamy, że w ciągu najbliższych lat to przyspieszenie będzie kosmiczne. Rola dzisiejszego doradcy kredytowego ulegnie zmianie, bo już niedługo niemal każdy kredyt hipoteczny będzie można kupić online. Jeśli się na to nie przygotujemy, taki rozwój spraw nas zmiecie, a my chcemy nie tylko istnieć, ale i rozwijać się – tłumaczy Nowak-Gocławski.*

Żeby przetrwać, w najbliższych latach spółdzielnia będzie musiała się zmienić, a do tego może potrzebować zastrzyku pieniędzy. Tymczasem nikt w pełni władz umysłowych

w spółdzielnię nie zainwestuje – bo ile środków by w nią nie włożył, podczas walnego zgromadzenia będzie mu przysługiwał zaledwie jeden, równoważny głos. Czyli: straci kontrolę nad kapitałem. Dla spółdzielni, które urosły, pozyskanie partnera biznesowego graniczy z cudem. Wtedy zostaje spółka akcyjna.

Problem drugi. Niedopasowane prawo

Z operatorem żurawia Florianem Nowickim umawiam się na rozmowę o spółdzielni Skytouchers. *Lubię budowy, na których panuje wysoka kultura komunikacji. Wtedy nawet bardzo intensywna praca jest satysfakcjonująca* – zaczyna Nowicki. Ale chwilę później zaczyna typową opowieść o budowlance: o komunikacji pełnej wyzwisk, umowach cywilnoprawnych lub umowie o pracę i „reszcie pod stołem”. O tym, że choć zgodnie z prawem operator żurawia – którego jeden błąd może doprowadzić do tragedii – nie powinien pracować dłużej niż osiem godzin dziennie, standardem jest dwanaście. No i o pośrednikach.

Łańcuch wygląda tak: wykonawca generalny budowy wynajmuje dźwig od właściciela dźwigów, właściciel dźwigów wypożycza mu go wraz z operatorem, którego jednak nie zatrudnia, lecz wypożycza od pośrednika. Skytouchers zrzeczyli się, żeby wyeliminować z łańcucha to ostatnie, zbędne ogniwo – i, dzięki temu, zarabiać więcej.

Jest ich dwudziestu. Może wydawać się mało, ale jak na branżę to dużo. Czy będzie więcej? Ścierają się u nas dwie filozofie – opowiada Nowicki. – Części wystarczy, że dzięki spółdzielni zarabiamy więcej i jesteśmy najlepszym pracodawcą w branży: na przykład zrzucamy się na fundusz, z którego finansujemy wyprawkę, jeśli akurat komuś urodzi się dziecko. Uważają, że nie należy porywać się z motyką na słońce i werbować nowych. Już teraz ledwo ogarniamy sprawy formalne, a im więcej osób, tym będzie trudniej. Inni z kolei uważają, że powinniśmy przejąć od pośredników wszystkich operatorów – i dzięki temu radykalnie zmienić oblicze branży, ucywilizować ją, dokonać poważnej zmiany społecznej.

Sprawami administracyjnymi zajmują się dwie do trzech osób – nieodpłatnie. Nowicki mówi, że są wypalone: koordynacja codziennych wypożyczeń na rozliczne budowy zajmuje masę czasu. Robią to na laptopach, w kabinie na szczycie żurawia podczas przerw, nieustannie wiszą na telefonach. Jeśli Marek akurat nie może, bo ma chore dziecko, sprawy przejmuje Andrzej.

W pewnym momencie z ust Nowickiego pada: „w fundacji Skytouchers”. „Co powiedziałaś? Fundacji?” – pytam, a w głowie zapala się czerwona lampka. Fundacje zakłada się przecież często ze względu na korzystniejszy sposób opodatkowania.

- Wiesz, tak formalnie, to my nie jesteśmy spółdzielnią.
- Ale cały czas mówisz „nasza spółdzielnia”?
- Bo działamy jak spółdzielnia. Z musu i formalnie jesteśmy fundacją – odpowiada Nowicki.

Na przeszkodzie stanęło prawo. Żeby założyć spółdzielnię pracy, potrzebnych jest dziesięć osób – udało się zebrać osiem. Trudno byłoby też wybrać tę formę, kiedy operatorzy nawet codziennie zmieniają budowy i są samozatrudnieni. Rozważaliśmy spółdzielnię socjalną, ale w niej co najmniej 50 procent pracujących musi być zagrożonych wykluczeniem społecznym. Nie chcieliśmy kłamać. U nas nikt nie pije – tłumaczy Florian Nowicki.

I tak spółdzielnia została fundacją. Bo prawo spółdzielcze nie przewiduje, że założyć spółdzielnię może chcieć ośmiu zdrowych operatorów na działalnościach.

Problem trzeci. Archaiczne prawo

Dlaczego w tekście o spółdzielniach uwzględniłam fundację? Bo jest emblematycznym przykładem problemów spółdzielczości. Trudności z dopasowaniem się do prawa doświadczyli bowiem nie tylko operatorzy, ale i dziesiątki innych, małych inicjatyw. Przykładem może być znana, warszawska Kooperatywa Dobrze, która mówi o sobie jako o spółdzielni, choć jest stowarzyszeniem.

Kiedy Joanna Brzozowska-Wabik, członkini zarządu Związku Lustracyjnego Spółdzielni Pracy, słyszy o fundacji operatorów, tylko się uśmiecha. To typowe. Kooperatywy spożywcze najczęściej wybierają formę stowarzyszenia, bo zakładając spółdzielnię, od razu wchodziłyby w pełną księgowość, i to niezależnie od obrotów. Prawdopodobnie gdyby dopuszczono jakiegokolwiek uproszczone formy działalności, na założenie spółdzielni decydowałoby się więcej osób – mówi Brzozowska-Wabik. Ustawodawstwo jest poważną barierą. Już nawet niewielkie zmiany ułatwiłyby zakładanie spółdzielni, choćby obniżenie liczby członków koniecznych do jej założenia. Dziesięć chętnych i zdeterminowanych osób, które wspólnie postanowią założyć spółdzielnię i w niej pracować, to naprawdę dużo, a to na starcie wyklucza wiele mniejszych, a ciekawych inicjatyw.

Próg wejścia w spółdzielczości jest więc ustawiony wysoko. A jeśli uda się spółdzielnię założyć i rozwinąć, pojawiają się kolejne przeszkody – nie tylko trudność ze znalezieniem zewnętrznego inwestora, ale i kwestie niezwykle prozaiczne.

Kiedy spółdzielnia się rozrasta, udział w walnych zgromadzeniach wciąż musi być fizyczny, choć istnieją przecież możliwości zdalnego głosowania. Prawo spółdzielcze zupełnie nie przewiduje istnienia nowoczesnych technologii – tłumaczy Brzozowska-Wabik.

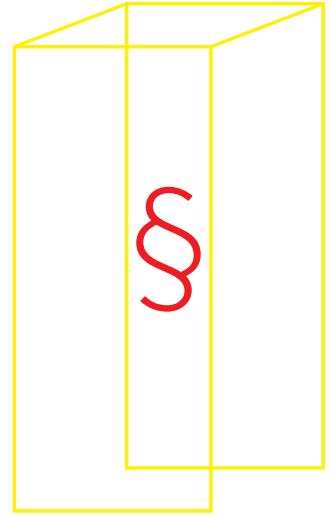
Trudno dojść, dlaczego online można głosować w spółce handlowej, natomiast w spółdzielni – nie. Być może dlatego, że prawo spółdzielcze pochodzi z 1982 roku, od tamtej pory uległo kosmetycznym zmianom i niewielu obchodzi.

Problem czwarty. A mimo to nikt nie chce tego prawa zmienić

Do wyżej przedstawionych problemów dochodzi jeszcze podwójne opodatkowanie: bo choć spółdzielnia stoi ludźmi, członkowie i członkinie najpierw odprowadzają podatek dochodowy od nadwyżki bilansowej spółdzielni, żeby później – po wypłaceniu

sobie dywidendy – odprowadzić go jeszcze raz, każdy z osobna. Tej zmiany spółdzielcy także nie mogą przewalczyć.

Próby były. Kilka lat temu wypracowaliśmy pakiet zmian: może nie rewolucyjnych, ale takich, które ułatwiłyby spółdzielniom działanie i sprawiły, że prawo stanie się trochę mniej archaiczne. Pozyskaliśmy partnerów, poparcie środowiska spółdzielczego, komisji sejmowych, posłów i posłanek – opowiada Artur Nowak-Gocławski. A potem podniosły się protesty tej części spółdzielców, którzy zmian się boją. Ostatecznie wszystko się posypało. Przestałem wierzyć, że kiedykolwiek uda się coś zmienić.



Bo wokół spółdzielczości – szczególnie w spółdzielniach mieszkaniowych – narosły grupy ludzi, które obawiają się jakichkolwiek zmian. Czego? Np. tego, że jeśli liczba wymaganych do założenia spółdzielni osób zmniejszy się do pięciu, prezes spółdzielni wyrzuci z niej większość członków i zostając z małą grupą wiernych współpracowników, niejako sprywatyzuje spółdzielnię. Choć to legenda miejska, technicznie niemożliwa do przeprowadzenia, podobne emocje i niewiedza blokują każdą zmianę.

Z kolei ci, którzy mogliby i powinni czuwać nad dostosowywaniem prawa do obecnych realiów – politycy i polityczki – spółdzielczość ignorują. Oto przykład. Kiedy pod koniec pierwszej dekady XXI wieku pracowano nad ustawą o przekształcaniu szpitali, jedyną formą prawną, którą dopuszczono, były spółki prawa handlowego. W tym samym czasie w Polsce działało ok. 40 spółdzielni lekarskich, które znakomicie w medycynie się sprawdzają: lekarze tworzą spółdzielnię i wspólnie kupują sprzęt, który w pojedynkę byłby dla nich nieosiągalny, a potem wszyscy go używają. Jeden lekarz czy lekarka nie jest przecież w stanie korzystać z niego przez cały dzień czy dobę, żeby wydatek się zwrócił. Usiłowaliśmy wtedy pokazać ustawodawcy korzyści z możliwości przekształcenia

szpitala w spółdzielnię. Nie udało się. Dopuszczono tylko spółki – konkluduje Brzozowska-Wabik.

Z kolei kiedy w 2015 roku Trybunał Konstytucyjny orzekł za niezgodne z konstytucją niektóre zapisy prawa spółdzielczego dotyczące przekształceń spółdzielni w spółki, przez kilka lat nie działo się nic. Aż nagle w 2019 roku błyskawicznie i bez konsultacji ze środowiskami spółdzielczymi przepchnięto projekt zmian przez sejm i senat. W maju nowelizację podpisał prezydent, w czerwcu weszła w życie. Same spółdzielnie nie miały pojęcia, że zmieniło się prawo.

Problem piąty. Odium, którego nikt już nie zdejmie

Lokal Vegan Bistro to mały wegański bar w centrum Warszawy – wiele tu podobnych miejsc, prowadzonych przez kilkusobowe grupy znajomych na zasadzie spółdzielni, najczęściej socjalnej. Pewnego dnia w barze pojawiła się starsza pani, mieszkanka bloku, w którym działa lokal. Zaczęła krzyczeć, że w jej budynku załęgłi się komuniści i mało kulturalnymi słowami zachęcała ich do opuszczenia jej miejsca zamieszkania.

Upaństwowiając spółdzielnie, PRL niewątpliwie zrujnował wizerunek kwitnącej przed II wojną światową polskiej spółdzielczości. Siłami spółdzielców powstała przecież chociażby większość warszawskiego Starego Żoliborza – członkowie tamtych zrzeszeń, a dziś często ich potomkowie, są z tego dumni. Obecnie jednak „spółdzielnia” to obok „związku zawodowego” słowo należące do przeszłości: skompromitowane, nacechowane emocjonalnie, cuchnące naftaliną.

Florian Nowicki opowiada: *Na początku było nam bardzo ciężko. Żeby stworzyć spółdzielnię, chłopaki pozrywały kontakty z pośrednikami, a my nie mieliśmy dla nich pracy. Dawano nam tylko ochłapy, których nikt nie chciał. Branża się przeciwko nam zmówiła. Wśród właścicieli dźwigów*

rozniosła się wieść, że jesteśmy niebezpiecznymi związkowcami o komunizujących zapędach, którzy będą im bruździć w interesach. Do przełomu udało nam się doprowadzić po długim czasie. Obecnie, jeśli w Warszawie powstaje jakiś wieżowiec, jesteśmy zazwyczaj pierwszymi, których się pyta o obsadzenie żurawia.

Nie pomaga też wizerunek instytucji – nie wymieniamy ich z nazw – zawiadujących ruchem spółdzielczym w Polsce. Wydają biuletyny, których nikt sam z siebie, może poza garstką fascynatów, nie wzięłby do ręki. Pisane językiem, którego mało kto jeszcze używa.

Szósty problem: w naturze Polaka?

We Włoszech istnieje ok. 40 tys. spółdzielni. Niewiele mniej w Hiszpanii. W krajach południowej Europy spółdzielczość jest naturalnym i całkiem zwyczajnym sposobem prowadzenia biznesu – nie gorszym ani lepszym niż spółka. W Hiszpanii zdarza się na przykład, że kiedy umiera właściciel firmy, a jego bliscy nie są zainteresowani jej dalszym prowadzeniem, pracownicy i pracownice zakładają spółdzielnię i kontynuują działalność. W Polsce to nie do pomyślenia. Spółdzielnie źle się kojarzą, wywołują pomruki, skojarzenia z obdrapanymi fasadami spółdzielni inwalidów i uśmiechy politowania.

W rozważaniach o polskiej niechęci do kolektywnego działania tradycyjnie cytuje się badania o poziomie zaufania społecznego. Rok w rok dowiadujemy się z nich, że Polacy – obok Bułgarów i Słowaków – należą do Europejczyków najmniej wierzących w dobre intencje bliźnich. A nie ufając innym – poza rodziną – trudno jest stworzyć podmiot, w którym wszyscy mają jeden głos.

Do tego gwałtowne zmiany, przez które przeszła Polska od czasu transformacji, spowodowały, że nauczyliśmy się działać w pojedynkę, usiłując utrzymać na powierzchni. Stąd zamiast działania długofalowego – na przykład stworzenia spółdzielni, która w przyszłości mogłaby im zapewnić stabilny i bezpieczny byt – Polacy wybierają szybki zysk.

Nie, nie lubię takich teorii, a zwłaszcza szukania w cechach narodowych. Niski stopień zaufania społecznego to taki wytrych, którym usiłuje się wytłumaczyć wszystko – mówi Nowak-Gocławski. Zatem – co?

To zabrzmiało smutno, ale drugą po zmianach technologicznych rzeczą, która doskwiera naszej spółdzielni, jest dość niski poziom zaangażowania. Co roku zdobywamy nagrody dla najlepszych przedsiębiorstw, w których jednym z kryteriów jest właśnie poziom partycypacji pracowników. I mimo że przebijamy w tym zakresie wszystkich, prawda jest taka, że ludzie angażują się niechętnie. To jak z demokracją: krytykujemy działanie państwa i polityków, a potem i tak nie idziemy na wybory. Zaangażowanie nie zniknęło, ono zawsze było poniżej oczekiwań – ocenia Nowak-Gocławski.

Podobnie brzmi diagnoza Nowickiego. Podkreśla on jednak, że w braku zaangażowania rolę odgrywa kapitalizm. Przy piwie zawsze pada wiele pomysłów i wszyscy są niezwykle chętni do ich realizacji, ale kiedy przychodzi co do czego, nagle znikają. Nie sam brak zaangażowania jest winny, bo przecież z czegoś wynika: ludzie dużo pracują, mają rodziny, obowiązki, a życie w dzisiejszych czasach jest niepewne. Mają mało czasu. W tym problem – uważa Nowicki.

Joanna Brzozowska-Wabik dodaje: Tworzenie spółdzielni wymaga dużej samoświadomości, że nie wszystkie podjęte dziś decyzje muszą przynieść szybki zysk, dają za to szansę na stabilność w przyszłości. Prezesi zarządów spółdzielni mogą próbować przekonywać członków do przeznaczenia nadwyżki bilansowej na rozwój firmy zamiast na dywidendy, ale prezesa spółdzielni można przecież w każdej chwili odwołać, o czym ci ostatni znakomicie wiedzą, więc mogą powstrzymać się od mniej popularnych działań. Gdyby świadomość była większa, spółdzielnie mogłyby się lepiej rozwijać. Kwestia leży w edukacji od najmłodszych lat. Ale jak zbudować świadomość, kiedy podczas lekcji przedsiębiorczości tak dużo mówi się o zakładaniu własnej firmy, ale już o spółdzielczości i jej idei prawie nie wspomina?

Urbary. Historia krótka, pouczająca i wymowna

Konia z rzędem temu, kto odpowie, czym są urbary. Tymczasem na południu Polski wciąż istnieją i są pewną odmianą spółdzielni – tyle że znacznie starszą. Przenieśmy się ponad 400 lat wstecz.

Mniej więcej od XVII w. ziemianie na Spiszu i Orawie oddawali chłopom część pastwisk i lasów, z których ci mogli do woli – choć wspólnie i w drodze kolegialnych decyzji – korzystać. Dziesiątki hektarów lasów wspólnotowych dawały stabilność i bezpieczeństwo chłopom. Kiedy w 1848 roku w Austro-Węgrzech doszło do ich uwłaszczenia, zwyczaj ten został skodyfikowany: tak powstały urbary.

Zasady? Do złudzenia przypominają działanie spółdzielni: coroczne walne zgromadzenia, podczas których ustalano plan pracy na kolejny rok, a także ile drewna i innych dóbr przeznaczonych zostanie na cele społeczne, ile na kościół, ile na pechowych pogorzalców, ile zaś na prywatne potrzeby członków urbaru. Każdy mieszkaniec wsi miał prawa, np. udziału i głosowania w walnym zgromadzeniu, czy zbierania drewna na opał, oraz obowiązki – choćby prace przy sadzeniu lasów lub naprawie dróg. Jeszcze w latach 80. XX wieku do urbarów przystępowali nowi: nowe żony czy mężowie, dzieci, rodziny, które przyprowadziły się do wsi. I jeszcze całkiem niedawno ze wspólnotowego drewna budowano gminne szkoły.

A potem przyszły lata 90., tuż po transformacji. Znaczna część mieszkańców wsi, w których istniały urbary, próbowała przetrwać ten trudny czas, zajmując się przetwórstwem drewna: wytwarzano boazerie, okna, domy kanadyjskie. Tanie drewno z lasu urbarialnego, dostępne dla wszystkich, obniżało koszty produkcji i pozwalało zarobić więcej. Dotychczasowi członkowie urbarów zaczęli więc blokować nowych, a „grupa trzymająca las” systematycznie malała i sędziwiiała.

Dziś przystąpienie do pozostałych wciąż na południu kraju urbarów graniczy z cudem, a z lasu, który czynił kiedyś życie wszystkich mieszkańców i mieszkańek bezpieczniejszym i bardziej stabilnym, korzysta coraz węższa grupa coraz starszych osób.

Wkrótce urbary staną się zapewne własnością znajdującą się w rękach kilku osób: najwytrwalszych strażników urbaru i własnego interesu. Własnością niemal prywatną.

Nie porzucajcie nadziei

Historię urbarów przytaczam, bo nieodparcie przywodzi na myśl przypadek Muszynianki. W jednej z zaledwie dwóch rozmów, jakich prezes zarządu Muszynianki Ryszard Mosur udzielił mediom po przekształceniu jej w spółkę handlową, tłumaczył, że powodem był zaawansowany wiek większości członków i członkiń: spora część z nich już wkrótce ma odejść na emeryturę, a w momencie rozwiązania umowy o pracę – zgodnie z prawem spółdzielczym – członek spółdzielni traci prawo do swoich udziałów. Żeby udziały zostały w rodzinie, trzeba namówić do pracy w spółdzielni dzieci, a te raczej wyjeżdżają z miasta, albo prowadzą już własny, „lepsy” biznes.

To, że spółdzielcy z Muszynianki chcą czerpać z niej korzyści także na emeryturze, nie dziwi. Problem jednak w tym, że także i w tym wypadku korzyść wąskiej grupy została przedłożona ponad długofalową i dotyczącą szerszej grupy osób głębszą ideę: do spółdzielni wchodzi nowi członkowie, a starsi, po latach stabilnej pracy, odchodzą – spółdzielnia trwa i rozwija się, zapewniając bezpieczne zatrudnienie kolejnym pokoleniom.

Tymczasem do Muszynianki od dawna nie dopuszcza się nowych członków, co spowodowało, że cały jej majątek skupił się w rękach zaledwie ok. 40 osób, które po blisko 70 latach działania spółdzielni postanowiły po prostu podzielić go między siebie poprzez przekształcenie.

Co sądzi się o tym w Muszynie? Pytam jej burmistrza, Jana Golbę. Raczej niewiele, bo w mojej ocenie ludzie nie wiedzą nawet, że przekształcenie nastąpiło – mówi burmistrz i, jak większość moich rozmówców, nie chce oceniać tej decyzji – jest w końcu zgodna z prawem, nawet jeżeli przykra.

Tego, co stało się w Muszynie, nie można postrzegać jako symbolu końca spółdzielczości w Polsce – nawet jeśli straciła swój okręt flagowy. Z danych wynika, że liczba spółdzielni w Polsce jest dość stabilna: to spадnie, to wzrośnie. Jak tłumaczy Brzozowska-Wabik, wszystko zależy od branży: w ostatnim czasie gwałtownie przybywa spółdzielni socjalnych, problemy mają zaś spółdzielnie rolnicze. Pojawiają się też nowe typy spółdzielni: choćby spółdzielnie energetyczne, czyli: wszyscy mieszkamy w jednej wsi, więc wspólnymi siłami kupujemy wiatrak i produkujemy własny, ekologiczny prąd. We wrześniu 2019 roku spółdzielniom energetycznym przyznano dodatkowe prawa. Najstarsza w Polsce tego rodzaju spółdzielnia liczy sobie już ponad pięć lat. W Krakowie na rejestrację czekają jednak już dwie kolejne.

Inicjatorem jednego z tych pomysłów jest Radosław Wroński, który od 2017 roku na dachu swego bloku produkuje prąd z paneli fotowoltaicznych – dla siebie. Świadom tego, że więcej paneli słonecznych to większa stabilność, chce założyć spółdzielnię. Drugą założyła spółdzielnia mieszkaniowa Czyżyny. Prowadzona przez nią spółdzielnia energetyczna ma nazywać się Czyżyny II.

Po niedawnym doprecyzowaniu przepisów możemy spodziewać się przyrostów, jakich swego czasu doświadczyły Niemcy: w 2008 roku działało w nich 136 spółdzielni energetycznych, sześć lat później już było ich tysiąc.

W opracowaniach dotyczących spółdzielni nieodzowne jest też wspomnienie o tym, że spółdzielczość jest odpowiedzią na wyzwania i pułapki kapitalizmu. Spektakularny tego przejaw możemy obserwować właśnie w warmińsko-mazurskiej Ostródzie, gdzie kilka lat temu powstał tzw. condo hotel. Zasada jest prosta: deweloper stawia budynek, a chętni nabywają w nim apartamenty. Następnie wkracza operator, który zawiaduje całością, prowadząc w budynku hotel. Każda ze stron czerpie zyski.

Problem w tym, że w hotelu Platinum w Ostródzie zarządca hotelu przestał płacić właścicielom mieszkań, a biznes stanął na krawędzi bankructwa. Po kilku latach bojów, pod koniec 2019 roku, właściciele apartamentów sięgnęli po nietypowy środek: w 40 osób stworzyli spółdzielnię, która prowadzi teraz hotel.

A może nie tylko spółdzielnie budują wspólnotę?

- Czy założylibyście spółdzielnię jeszcze raz? - pytam Nowaka-Gocławskiego.

- Nie - odpowiada krótko.

Ale finał tej historii może jeszcze okazać się znacznie bardziej budujący niż w przypadku Muszynianki. Chcemy się przekształcić w taki sposób, żeby ludzie zachowali kontrolę nad firmą. Przekształcenie w spółkę akcyjną nie oznacza, że staniemy się klasycznymi kapitalistami - zapowiada prezes ANG.

Jak to możliwe? Gdyby dziś ANG Spółdzielnia stała się spółką, trzy czwarte udziałów trafiłoby do zarządu spółki. W spółdzielni, mimo większości udziałów, każdy z założycieli posiadał jeden głos. W spółce jednak mieliby pakiet kontrolny. Założyciele długo szukali więc sposobu na przekształcenie, które pozwoli zachować demokratyczne zarządzanie. Zdecydowali się na rozproszenie swoich udziałów między pracownikami i pracownicami - tak, aby każdy miał równe prawo głosu.

Najczęstszą obawą jest, że po tym, jak staniemy się spółką, przyjdzie mityczny zły, np. duży bank, który nas kupi i zaprowadzi nastawione tylko na zysk porządki. Ale jeśli znajdzie się inwestor, albo zaczniemy rozważać wejście na małą giełdę, decyzja - tak jak do tej pory - będzie należała do większości - tłumaczy Nowak-Gocławski.

Adriana Rozwadowska - dziennikarka „Gazety Wyborczej”, w której pisze o rynku pracy, związkach zawodowych i sprawach społecznych. Okazjonalnie prezenterka niemieckiej telewizji RBB, w której współtworzy polsko-niemiecki magazyn społeczno-kulturalny „Kowalski und Schmidt”.

Samorządność biznesu

Grzegorz Przepiórka
{Do samorządności
przez samorządność}

Mieliśmy globalne spojrzenie na biznes, z którego wynikało, że przed Nidą nie ma przyszłości, i aby coś zrobić, musimy być niezależni.

Każdy region jest inny, mentalność różna. Jak pan porozmawia z Kaszubami, to jest inaczej niż na Podlasiu, a jeszcze inaczej na Podhalu czy w Wielkopolsce. Dlatego bez zaufania to przedsięwzięcie by nie wypaliło. Tak samo jak i bez wiary, że powstanie tej organizacji ma sens.

Wiosna 1998. Gdyby ktoś wtedy przejeżdżał obok pewnego domu niedaleko Pińczowa, mógłby pomyśleć, że działa w nim serwis komputerowy. Cóż innego sugerowałby widok kilku osób dźwigających w kierunku budynku stacje dysków i monitory. Komu przeszłoby przez myśl, że tu właśnie rozkręca się pewien budowlany start-up, a ludzie ci przyjechali do urządnego w jednym z pokoi biura.

Dzień pracy w nowej firmie trwa znacznie dłużej niż osiem godzin. Nierzadko zahacza o noc, sobotę i niedzielę. Mimo to nikt nie liczy nadgodzin. Każdy z pracowników ma świadomość, że jeśli spółka szybko nie wejdzie na wysokie obroty, najprawdopodobniej do zimy nie przetrwa, a im w kieszeni pozostanie tylko wilczy bilet. Największą presję czują jednak ci, którzy nakłonili nowy zespół, by zrezygnować z ciepłych posad i postawić wszystko na jedną kartę. Bogdan Panhirsz i Mirosław Lubarski. To właśnie w domu pierwszego z nich funkcjonuje biuro firmy.

Skromne lokum, skromne 20 tys. zł na start i mniej niż skromna wiedza o tworzeniu grup zakupowych. Na razie nic nie zapowiada, że 20 lat później przychody ze sprzedaży wyniosą

ponad 2,7 mld zł, a rodząca się na Ponidziu sieć hurtowni materiałów budowlanych będzie zrzeszać blisko 400 firm z całej Polski. Każda z nich zachowa swoją oryginalną nazwę, zyskując przy tym drugą, wspólną – Grupa PSB.

Po angielsku na Ponidziu

Panhirsz i Lubarski nie spadli na Ponidzie z księżycy. Nie pojawili się też specjalnie po to, by wyczarować PSB, hurtownie Profi i sklepy Mrówka. Jakie były więc powody, że jeden zamienia Kraków, a drugi Kielce, na położone w gminie Pińczów Gacki? Odpowiedź brzmi: Nida. I nie chodzi bynajmniej o jedną z najciekawszych rzek w województwie świętokrzyskim, ale o Nidę Gips, producenta płyt gipsowo-kartonowych, spółkę, w której w latach 90. czterdzieści procent udziałów ma belgijski Gyproc, a pakiet większościowy należy do państwowych zakładów Dolina Nidy.

Panhirsz swoją misję na Ponidziu rozpoczyna w styczniu 1990 roku jako dyrektor handlowy. Doświadczenie przywozi nie tylko z Krakowa, gdzie ukończył budownictwo na Politechnice i pracował w Naftoprojekcie, odpowiadając za eksport, ale również z Iraku, w którym rozliczał kontrakty, pracując dla Budimeksu. Co ważne dla nowego pracodawcy, zna dobrze język Shakespeare’a.

O ile dla nowego dyrektora handlowego płynne posługiwanie się angielskim jest jednym z atutów, o tyle dla Lubarskiego jest jedynym. Geograf z wykształcenia, niespełniony nauczyciel akademicki, z niewielkim doświadczeniem w przedsiębiorstwie geologicznym, swój „lektorat” wyrobił na zmywaku w Wielkiej Brytanii. Na rozmowę kwalifikacyjną przyjeżdża z Kielc pekaesem z przesiadką w Pińczowie. Kiedy jest już po wszystkim, słyszy przez ścianę głos Panhirsza: „Gorzej nie mógł wybrać”. Mimo to dyrektor handlowy Nidy Gips musi przymknąć oko, jeśli chce mieć kogoś w zespole do rozwijania eksportu. Jest rok 1992.

Związane ręce

W pierwszej połowie lat 90. Nida Gips przoduje w sprzedaży płyt gipsowo-kartonowych na polskim rynku. Panhirsch pracuje na ten sukces pełną parą. Nierzadko przesiaduje do późna na produkcji albo zabiera pracę do domu. Rozwija handel, sprowadza płytę z zagranicy, aby zaspokoić rosnące potrzeby rynku. Robi co może, choć wie, że tą drogą nie da się zbudować przyszłości. Do Polski bowiem wchodzi konkurencja, a fabryka w Gackach, zbudowana w 1954 roku jako jeden z darów ZSRR dla krajów bloku komunistycznego, jest już wtedy skansenem. Jeśli ma liczyć się w wyścigu, trzeba zainwestować w linie produkcyjne.

Niestety. Pomimo że w Nidzie produkowana jest płyta gipsowo-kartonowa, to Panhirsch w zarządzie napotyka na beton. „Nie będziemy inwestować, bo nie mamy pieniędzy” – taka była za każdym razem odpowiedź. W rzeczywistości nie tylko fundusze miały znaczenie. *Nidę Gips, jako spółkę-córkę, Dolina traktowała jako kopalnię pieniędzy. Interes przyszłościowy zupełnie się nie liczył, jedynie szybki deal – mówi Panhirsch. My natomiast ze swoim zespołem widzieliśmy, że jest przyszłość, rynek się rozwija, tylko niestety mieliśmy związane ręce – dodaje Lubarski.*

Jak przyjdzie PSB, to się da

Satyrycy z kabaretu „Pirania” pracowali dla Nidy tylko przez chwilę. W 1997 roku zostali wynajęci do zagrania w spocie reklamowym, w którym duet budowlańców żongluje słowami: „Tego się ni da zrobić” – mówi jeden. Na co drugi: „Jak przyjdzie Nida, to się da”.

Jak na ironię, Panhirsch i Lubarski mają już wtedy pewność, że z firmą w Gackach nic konstruktywnego nie osiągną i snują plany uruchomienia nowego biznesu. Przez pięć dni w tygodniu, przez kilka godzin po pracy – czemu sprzyja to, że wspólnie mieszkają w leśniczówce nieopodal Gacków – uzgadniają kolejne szczegóły.

Oprócz tego prowadzą rozmowy z pracownikami, których chcą z Nidy zabrać na swój pokład. Z handlowcami, którzy zazwyczaj przebywają w terenie, omawiają sprawę indywidualnie, przez telefon. Z innymi rozmawiają w większym gronie, podczas spotkań organizowanych u Panhirsza w domu. Większość z osób, które otrzymują propozycję, bez wahania wpisuje się na listę. Od kwietnia do czerwca wypowiedzenia złoży łącznie 35 osób!

14 kwietnia 1998 r. Bogdan i Mirosław jadą do Krakowa, by u notariusza zarejestrować nową spółkę: Panhirsz sp. z o.o. Pod tym szyldem chcą stworzyć organizację niezależnych kupców – grupę zakupową. Na razie plany asortymentowe nie wykraczają poza suchą zabudowę, choć to się szybko zmieni, a od października firma będzie nosić nazwę Grupa Polskie Składy Budowlane.

W kilka dni później zarząd Doliny Nidy dowiaduje się o brawurowym posunięciu swoich niedawnych menadżerów i zawiadamia ministra skarbu i Urząd Ochrony Państwa. Dom Panhirsza zaczynają nachodzić osoby podające się za pracowników służb. Z kancelarii Ryszarda Kalisza przychodzi pismo, w którym uprzejmie informuje się o zakazie prowadzenia działalności gospodarczej. Prasa lokalna publikuje serię artykułów, w których byłemu dyrektorowi handlowemu przypisuje się działania na niekorzyść Nidy. Tytuły w stylu „Nóż w plecy” są na porządku dziennym. *Ile nerwów wtedy zjedliśmy, to tylko my wiemy* – komentuje Panhirsz.

Najpierw masa...

Początek lata 1998. Gdyby ktoś wtedy przejeżdżał przez Wełecz z myślą, by zobaczyć znajdującą się w tej miejscowości niezwykłą sosnę z odkrytymi korzeniami, pewnie nie zwróciłby uwagi na marny barak i trochę gipsowych płyt ułożonych na placu tuż obok. Potrzeba niezwykłej wyobraźni, by ujrzeć tutaj kilka nowoczesnych magazynów, w tym wysokiego składowania, które 20 lat później będą zaopatrywać w materiały budowlane pół Polski. Drugą połowę obsługuje centrum logistyczne w Wąbrzeźnie.

Ówczesny potencjał ulokowanego pośrodku niczego start-upu jest z zewnątrz niewidoczny. Przede wszystkim mieliśmy poczucie, że wzajemnie od siebie zależymy i jeden na drugiego może w każdej chwili liczyć. Nie było problemem zadzwonić do kogoś o godzinie dwudziestej trzeciej, jeśli była taka potrzeba – wspomina Mirosław Lubarski. Ten kapitał po latach przyniósł zysk nie tylko Grupie, ale wszystkim: Jedną z najlepszych rzeczy, jakie zrobiliśmy w tym regionie – wyszlifowaliśmy diamenty. Ludzie, którzy z nami zaczynali, są specjalistami, a co więcej – nie musieli emigrować. Tutaj założyli rodziny i dzisiaj zdarza się, że nie tylko rodzice, ale również ich dzieci pracują w PSB.

Aby przekonać się, co jeszcze, oprócz zgranego zespołu, stanowi „aktywa” start-upu z Wełecza, trzeba udać się z Panhirszem i Lubarskim w podróż. Trwa ona miesiące, które przechodzą w lata. Oznacza tysiące, a ostatecznie setki tysięcy przejechanych kilometrów. Wymaga końskiego zdrowia: Z wyjazdów zazwyczaj wracaliśmy o szóstej rano i szliśmy prosto do biura. Tak przez pierwszych parę lat – wspomina prezes Grupy PSB.

Treścią tej niekończącej się podróży są spotkania, podczas których inicjatorzy nowego przedsięwzięcia przekonują właścicieli hurtowni budowlanych, by zasilili szeregi grupy zakupowej. Wiedzą doskonale, że organizacja, którą wymyślili, ma sens pod warunkiem szybkiego osiągnięcia efektu skali. Podczas spotkań z rękawa wyciągają kilka asów, wśród nich takie: „Materiały będzie można zakupić po niższych cenach, a ich negocjowanie u producentów bierze na siebie centrala”; „Nadchodzą sieci zagraniczne. Kilka placówek już funkcjonuje w dużych miastach. Tylko działając w grupie, można im będzie stawić czoła”.

Asy są nie do przebicia. Jedno tylko budzi wzburzenie. „My mamy kupować udziały? To wy nam zapłaćcie za to, że do was dołączymy” – takie były najczęstsze reakcje potencjalnych udziałowców. Panhirsza i Lubarskiego wiedzą jednak, że nie ma samorządności bez kapitału finansowego. Na szczęście oprócz asów, mają też jokera – ludzie ich znają, a to pomoże przełknąć początkowy wydatek. Przez 9 lat w Nidzie nikogo nie okradliśmy, nie zrobiliśmy niczego nieetycznego – podkreśla prezes PSB.

W czerwcu 1998 roku pierwsza grupa udziałowców liczy 29 hurtowni, a już z końcem roku ich liczba się podwaja i będzie dalej rosła w tempie 60 nowych członków rocznie. Szybko wydłuża się też półka produktów, pierwszy rok PSB zamyka z liczbą 50 dostawców. To wszystko sprawia, że Panhirszt i Lubarski na koniec roku mogą odetchnąć – łączne przychody Grupy PSB sięgają 38 mln zł, jej przyszłość zyskała fundamenty.

...potem rzeźba

W czerwcu 1999 roku Bogdan i Mirosław, obładowani w dwie torby albumów o Polsce, wyruszają do Lozanny. – Ważyły chyba z tonę, ale we dwóch jakoś je dowieźliśmy – wspomina wesoło Lubarski. Na miejscu podczas tzw. *general meeting* robią prezentację Grupy PSB i zgłaszają akces. Następnie obaj wychodzą z sali, w której zaczyna się głosowanie. Trwa kilka minut, a wynik jest jednogłośny. PSB jako pierwsza firma z Europy Środkowo-Wschodniej staje się członkiem Euromatu – europejskiego zrzeszenia ponad 20 grup zakupowych.



O istnieniu tej organizacji Panhirsz dowiedział się kilka miesięcy wcześniej na targach BAU. W sam czas, bo mając już masę, a chcąc dalej budować samorządność, Grupa PSB potrzebowała know-how. Dzięki Euromatowi poznaliśmy ludzi z największej ówczesnie grupy zakupowej – Interpares Mobau. Zaprośili nas z Bogdanem do jednej ze swoich central w Kalsruhe, byśmy mogli dowiedzieć się, jak działają tego rodzaju organizacje.

W grudniu Lubarski organizuje autokar, który zabiera do Niemiec 50 hurtowników z PSB. Przez trzy dni mają szansę podpatrywać, jak zorganizowane są pod względem wizerunkowym, asortymentu i funkcjonowania obiekty za zachodnią granicą. Po powrocie dokonują metamorfoz swoich hurtowni, choć nierzadko jest to praca u podstaw, bo ówczesne polskie składy to niewybrukowane place, błoto, różnego formatu obiekty zaadaptowane po 1989 roku. Bogdan Pazgan, jeden z uczestników wyjazdu, wspomina, że pierwsze, co zrobił w swoich placówkach w Krzeszowie i Lubawce, to posprzątał plac, przełożył towary na regały, które następnie oświetlił.

Wszystko ma swoje granice

Po kolejną dawkę wiedzy kupcy z PSB jadą do Norwegii, Danii, Holandii, Francji, Belgii, Finlandii, Hiszpanii, Estonii i na Łotwę. Lubarski z Panhirszem wiedzą jednak, że zbierane doświadczenia powinny być wykorzystane nie tylko w drodze indywidualnie wprowadzanych ulepszeń, ale również systemowo. Aby organizacja nie była tylko pospolitym ruszeniem, potrzebuje wspólnych standardów. Przez kolejne dwa lata zbierają więc doświadczenia w Euromacie, by na ich podstawie opracować umowę partnerską – zbiór praw i obowiązków członków Grupy PSB. Jest gotowa na koniec 2002 roku. Teraz trzeba będzie ją jeszcze wdrożyć – i tu zaczną się schody.

O tym, że nie będzie łatwo, przekonują już pierwsze walne zgromadzenia. My byliśmy chorzy po tych spotkaniach, bo niektórzy akcjonariusze wykorzystywali je do sejmikowania.

Przyjeżdżali, by się wykrzyczeć – mówi Bogdan Panhirsza. To była typowa postawa – „ja wiem lepiej”, która z reguły prowadzi donikąd. Najwięksi krzykacze są już dzisiaj w gospodarczym grobie – dodaje Mirosław Lubarski. Nie bez trudności odbywa się również wprowadzanie wspólnego logo, mimo że jest dwuelementowe, oraz przemalowywanie hurtowni na szaro-niebiesko. Do tego zobowiązuje Księga Identyfikacji Wizualnej.

Prawdziwe jednak wzburzenie wywołuje wspomniana umowa partnerska. Niektórym nie spodobają się nowe zasady, uznali, że ograniczamy wolność. Dwaj najwięksi udziałowcy wyszli z Grupy – komentuje Lubarski. Obaj z Panhirszą nie mają jednak wątpliwości. Aby PSB nie stało się kolosem na glinianych nogach, samorządność powinna mieć granice. Przede wszystkim dotyczy to kredytowania udziałowców przez centralę. Początkowo wzięliśmy na siebie ryzyko płatnościowe, co było dużym argumentem dla dostawców, ale jednocześnie ogromnym ryzykiem dla nas. Bankructwa, które miały miejsce w pierwszych latach, szybko nas nauczyły, że jeśli mamy kogoś kredytować, to musimy wiedzieć, czy jest na plusie. Zgodnie z nową umową firmy są zobowiązane do przysyłania sprawozdań finansowych. W rzeczywistości nie tracą na tym, bo w zamian mają możliwość porównania wyników z innymi placówkami, tzw. benchmarkingu.

Wielu będzie kręcić nosami, paru zagrozi odejściem. Ale prawie wszyscy umowę podpiszą. Każdy bowiem zdążył przekonać się, że działanie w tej organizacji mimo wszystko i tak pozwala na sporą niezależność, biorąc przy tym pod uwagę korzyści. Oprócz wspólnych zakupów, jest wspólne budowanie marki i ogólnopolskie działania reklamowe. Kopalnię wiedzy stanowią liczne szkolenia, w tym prowadzone przez Kanadyjski Instytut Zarządzania, oraz spotkania z innymi udziałowcami. Centrala zapewnia doradztwo, analizuje rynek i generuje kolejne pomysły biznesowe o dużej skali: program „Buduj z PSB”, targi PSB, markety Mrówka, a za kilka lat uruchomione zostaną hurtownie Profi. Grupa stanowi też bufor. Wiemy, że kilka lat temu OBI miało strategię wejścia do Polski powiatowej z marketami 2 tys. m². Lokalizacji było kilkadziesiąt. Obecnie Castorama szykuje się, by wejść do mniejszych miejscowości – zarysowuje sytuację Bogdan Panhirsza.

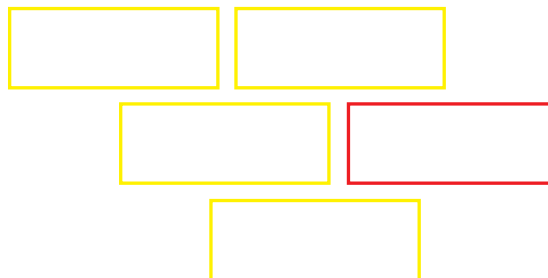
Budujący pomysł na biznes

Rok 2013, 30 sekund na szklanym ekranie. Żwawa melodia i przyjazna twarz mężczyzny, który wysyła w Polskę zaproszenie. Na koniec, jakby uprzedzając pytanie jeszcze niezdecydowanego widza, dodaje: „Dlaczego warto? Brakuje takich nowoczesnych sklepów w kilkuset miastach Polski. Ta branża szybko się rozwija i pozwala na krótki okres zwrotu inwestycji”. W ten sposób dyrektor Lubarski w usłanym reklamami paśmie wieczornym zachęca do zakładania marketów Mrówka. Kiedy padają jego słowa, przed jednym z telewizorów w Myślenicach rodzi się myśl.

Po obejrzeniu reklamy wszedłem na stronę internetową i sprawdziłem warunki. Ta nieruchomości idealnie je spełniała. Karol Brózda, prawnik z wykształcenia, dzieli się pomysłem z ojcem i braćmi, z którymi od paru miesięcy rozważa, jak wykorzystać posiadaną działkę w centrum miasta. Długo nie zwlekają z wykonaniem pierwszego telefonu do PSB. I długo nie muszą też czekać na odpowiedź. Po wstępnym spotkaniu z pełnomocnikiem regionu małopolskiego zostają zaproszeni do Wełecza. Panhirsch z Lubarskim zachęcają ich do działania, ale przekazują też myśl przewodnią, która zacznie wybrzmiewać za półtora roku. Na razie aplikację musi zaakceptować rada nadzorcza, aby koła w ogóle poszły w ruch.

Brózdowie wysyłają szereg danych. Na ich podstawie analitycy z centrali PSB dokonują badania rynku. To pozwoli uniknąć ryzyka zarówno Brózdom, jak i Grupie, chcącej zyskać solidnego, rozwojowego udziałowca, a nie potencjalnego bankruta. Badanie pomoże też ocenić, jak duży obiekt powinien powstać w Myślenicach.

Po dwóch miesiącach dostają zielone światło. Mogą teraz skorzystać z usług biur projektowych i firm wykonawczych realizujących Mrówki na zlecenie centrali, lub sami opracować i wybudować



obiekt. Decydują się na drugą opcję, przy czym na każdym etapie mogą liczyć na wsparcie konsultantów z PSB.

W sierpniu 2013 roku rozpoczyna się projektowanie, a dwa lata później, 21 marca, Mrówka w centrum Myślenic otwiera drzwi dla klientów. Ma 1600 m² powierzchni handlowej. Prezes Panhirsza wskazywał nam, że market w kształcie, który chcemy wybudować, będzie po prostu za mały na tę lokalizację. Jak się okazało, miał rację. My jednak mierzyliśmy siły na zamiary. Woleliśmy rozpocząć od nieco mniejszej powierzchni i ewentualnie w kolejnych latach ją powiększać – tłumaczy Karol Brózda.

Zasada mrówczej pracy

Mrówka to nie jest biznes, który robi się sam, ale codzienna praca. Grupa daje narzędzie, a to, jak zostanie wykorzystane, zależy już od akcjonariusza. Tak, mniej więcej, brzmiała owa myśl przewodnia, za pomocą której Panhirsza z Lubarskim podczas pierwszego spotkania w Wełeczu chcieli przygotować Brózdów na zderzenie z rzeczywistością. Wraz z otwarciem marketu nabrała ona wymiaru praktycznego, bo początkowe miesiące wcale nie okazały się najlepsze w pięcioletniej historii myślenickiej placówki. Założenie, że klientów będzie wtedy najwięcej, okazało się błędne. Ich liczba rośnie wraz z wydłużającą się obecnością na rynku, przy czym, jak mówi Karol Brózda: *Potrzeba codziennych starań o klienta, inwestycji w jego obsługę, w dobór asortymentu, w marketing. Potwierdza się w ten sposób zasada mrówczej pracy.*

Brózdowie na starcie otrzymują „Księgę Mrówki”, czyli zbiór procedur i standardów. By nowy biznes zaczął stanowić ich własny krwiobieg, muszą się go nauczyć. Sporo czasu poświęcają na analizy, które w efekcie pozwalają urządzić biznes jeszcze lepiej. Obserwacje zebrane przez trzy pierwsze lata pokazały, że niektóre produkty cieszą się większą popularnością, inne mniejszą. W odpowiedzi na potrzeby klientów część z działów

zwiększyliśmy kosztem innych. W sensie fizycznym trzeba było w sklepie wszystko przeorganizować – komentuje Karol Brózda. Taki proces nazywa się remodelingiem.

Bracia Brózdowie trzymają rękę na pulsie, ale nie we wszystkich placówkach PSB jest tak kolorowo. Z tego względu w 2010 roku centrala wprowadziła audyty. Karol Brózda akurat nie traktuje ich jako ograniczenia samorządności, co najwyżej jako korektę. W ciągu pięciu lat audytorzy w myślenickiej Mrówce zjawili się łącznie trzy razy. Po ostatniej wizycie były dobre recenzje i wskazanie, aby zgodnie z trendami surowy charakter marketu przearanżować na dekoracyjno-wykończeniowy. *Działy dekoracyjne cieszą się bardzo dobrą stopą zwrotu. Daliśmy sobie pół roku na wprowadzenie zmian – tłumaczy Karol Brózda.*

Pańskie oko – w tym przypadku Brózdów i Grupy PSB – konia tuczy. W 2018 roku market zostaje rozbudowany po raz pierwszy – 2250 m² powierzchni handlowej. Obecnie trwa jego druga rozbudowa, o 200 m², która zakończy się wiosną 2020 roku.

Mrówka w Myślenicach powstała jako 186. placówka tego typu w Grupie PSB. Pomysł marketów DIY narodził się w centrali w 2000 roku i miał stanowić dodatkową gałąź biznesu dla właścicieli składów, dającą im możliwość zaistnienia na rynku detalicznym. Mrówki – strategicznie ukierunkowane na średnie i małe miasta – miały być też przeciwwagą dla opanowujących duże ośrodki miejskie sieci zagranicznych. Stałe zagęszczanie – obecnie jest ich 304 – skutecznie osłabia zapędy konkurencji, by rozszerzyć ekspansję na mniejsze ośrodki miejskie, dając tym samym pole do dalszego wzmacniania samorządności przez sektor polskich kupców.

PSB po kaszubsku

Późna jesień 2011 roku. Audytor Piotr Kozina przyjeżdża do Lęborka, by spotkać się z Tadeuszem i Andrzejem Bigusami, właścicielami firmy BAT. Nie zamierza namawiać na większe

zakupy przez centralę PSB, ani naciskać, by powiesili logo Profi (widzieli się już trzy razy i ma świadomość, że nie czują tego konceptu). Chce zrobić dla nich coś niestandardowego. Tego dnia w hurtowni nie ma wielu klientów. Jest po sezonie, warunki sprzyjają eksperymentom. Skoro twierdzicie, że jest tak dobrze, to prześledźmy któregoś z klientów – bierze Bigusów pod włos.

Przyjechał jakiś facet kombiakiem, wszedł do sklepu, a tam wszystko było za ladami – jak kiedyś w geesie. Co to oznaczało? Jeśli ktoś chciał puszkę białej farby, to sprzedawca szedł po nią, zdejmował z półki, przynosił i pytał, czy może być. Klient mógł jednak dojść do wniosku, że wolałby półmat, więc sprzedawca znów wędrował w kierunku półek, a w tym czasie już rosła kolejka – wyjaśnia Piotr Kozina.

Nie inaczej jest tego dnia. Mija paręnaście minut, zanim właściciel kombiaka, blokując dwóch innych klientów, finalizuje zakup. To nie koniec – z wuzetką wędruje na koniec 100-metrowej hali, gdzie przekazuje ją magazynierowi, który udaje się do hali, by przejechać kolejne 100 m wózkiem widłowym, zapakować na paletę jeden worek cementu, a następnie dostarczyć go klientowi. Kiedy wreszcie kombiak znika spod sklepu, audytor kwituje – Widzicie panowie? Obsługa trwała 30 minut, a zysk wyniósł około 11 groszy. Trzeba przebudować ten schemat.

Piotr Kozina na zaufanie Bigusów pracuje już dwa lata i wreszcie je zyskuje – ostatecznie na propozycję pod tytułem Profi dostaje odpowiedź: „Robimy!”. Przez kolejne miesiące buduje dla BAT-a systemy motywacyjne i zarządcze. Jako jeden z bardzo nielicznych ma wgląd w finanse firmy. Czuwa nad poszczególnymi inwestycjami – przez siedem lat 10 z 14 punktów sprzedaży zostaje przekształconych w nowoczesne hurtownie, według modelu Profi. Największą operacją była zakończona w 2019 roku przebudowa centrali w Sierakowicach, której powierzchnia liczy obecnie 3 tys. m². Dzisiaj jak coś wymyślimy razem, to najpóźniej za miesiąc jest wdrożone – mówi Piotr Kozina.

Zielone światło, jakie w tym przypadku otrzymał audytor, znaczy więcej, niż mogłoby się wydawać. Bracia Bigusowie firmę założyli na początku lat 90., a znaczącą skalę działania osiągnęli jeszcze

przed przystąpieniem do Grupy PSB. Wszystko dzięki ciężkiej pracy i autorskim rozwiązaniom. Ponadto to bardzo dumni i pewni siebie ludzie, Kaszubi, dla których lokalna tożsamość jest ważna nie tylko od święta, ale również w biznesie. *W naszym gabinecie 90 procent rozmów prowadzonych jest po kaszubsku* – podkreśla Andrzej Bigus. Tradycja, tożsamość są na tyle ważne, że dopiero dwa lata po dołączeniu do Grupy, obok szyldu BAT-a pojawiło się logo PSB. Dzisiaj placówki BAT-a są obecne w 14 miejscowościach, obroty przekraczają 300 mln zł rocznie, a liczba zatrudnionych to 360 osób i sukcesywnie rośnie. Jak przekonać właścicieli takiej firmy, że lepsze nie jest wrogiem dobrego?

Kosmiczna misja

Przystępując do współpracy z Kaszubami, Piotr Kozina, z wykształcenia finansista, debiut w ulepszaniu samorządności wśród udziałowców PSB miał za sobą. Kiedy bowiem zostaje przyjęty do pracy w 2010 roku, zaczyna jako audytor w Mrówkach. Od początku jednak czuje, że detal to nie jego konik. Ma za to głowę pełną pomysłów, jak uporządkować składy, w których brakuje standardów zarządzania operacyjnego, systemów motywacyjnych, narzędzi do wspomagania zarządzania płynnością, budżetowania oraz planowania, nie mówiąc o wyposażeniu w odpowiednie strefy. Okazuje się, że zarządowi w to graj, bo kolejnym krokiem Grupy ma być przekształcenie składów w nowoczesne hurtownie o nazwie Profi.

W ten sposób ziści się to, co pomyślał Piotr Kozina, czytając kilka miesięcy wcześniej ogłoszenie wrzucone przez PSB na pracuj.pl – że czeka go kosmiczna misja. Podczas jej realizacji będzie: pokonywał 50 tys. km rocznie, poznawał co 2 dni nowych ludzi i w konstruktywny sposób wytykał im błędy, mieszkał w hotelach tak często jakby były jego domem oraz znosił doskwierającą samotność. Przez 9 lat pod jego okiem powstanie 66 hurtowni Profi, choć misja obejmie też doradztwo strategiczno-operacyjne w innych składach.

Odyseja Piotra Koziny rozpoczyna się w Krakowie, w hurtowni firmy Attic. Audytor na rozbiegu otrzymuje wyczerpujące odpowiedzi na przesłane pytania i sumiennie wykonane raporty. W końcu przyjeżdża na miejsce, gdzie spędza 5 dni. Najpierw omawia analizy z właścicielami. Oddzielnie spotyka się z kierownikami, którzy potwierdzają wynikającą z danych ułomność:

Przedstawiciele handlowi, zamiast pracować w terenie, siedzieli na wprost wejścia do hurtowni i łapali klienta, któremu zakładali kartotekę. Od tej pory prowizję pobierali za każdym razem, kiedy klient dokonał zakupu, bez względu na to, czy go obsługiwali. To zrodziło konflikt ze sprzedawcami stacjonarnymi. Kiedy Kozina rozmawia z dyrektorem, który jest twórcą tego systemu, ten na swoją obronę ma tylko jedno – są wyniki. To nie wystarcza i po dwóch tygodniach decyzją właścicieli wylatuje z firmy.

Następną linię oporu stanowią handlowcy. Dlaczego chcę zabierać profity, które im się należą? Od tego się zaczęło – opowiada Piotr Kozina. Ja na to, że pieniądze im się należą w sytuacji, kiedy tych klientów obsługują. „Ale myśmy ich pozyskali”, mówią do mnie. Okej, pozyskałeś go – odpowiadam. Kiedy? 2 lata temu. Pracowałeś wtedy z nim? „No tak, pracowałem”. Wziąłeś wtedy prowizję? „Tak”. A teraz z nim pracujesz? Odwiedzasz go, robisz mu oferty? „No nie”. To dlaczego chcesz brać prowizję od klienta, z którym nie pracujesz? „Bo ja go pozyskałem”.

Na technikę zdartej płyty audytor odpowiada tym samym, aż do momentu, kiedy większość handlowców pojmuje, że firma za darmo pieniędzy nie będzie płacić. Ci, którzy tego nie potrafią zrozumieć, odchodzą. Ich strata, bo nowy autorski system, który opracowuje Piotr Kozina, po czterech miesiącach zaczyna handlowcom przynosić lepsze zarobki. Zanim jednak to nastąpi...

Po zakończeniu audytu, w piątek, Kozina zaczyna pisać raport. Spędza nad nim po 12 godzin w sobotę i niedzielę. W poniedziałek jeden ze współwłaścicieli Attica ma go już na skrzynce mailowej i postanawia wysłać do pracowników, by zgłaszali uwagi. Ma wątpliwości, czy raport jest wiarygodny, bo jak to możliwe, że 80 stron powstało w dwa dni?! Innym zarzutem było to, że do mojego raportu wykorzystałem analizy, które przygotowała firma

i nie odniosłem się do żadnego modelu. Piotr Kozina nie posiada wtedy takiego wzorca, ale to doświadczenie staje się zapalnikiem do jego zbudowania.

Z modelem biznesowym Profi, złożonym z 300 punktów i obejmującym wszystkie obszary organizacji, wraca do Krakowa 4 miesiące później. Pomiar nowym narzędziem wykazuje, że do ideału firmie Attic brakuje 30 procent. W związku z tym ruszają prace naprawcze, które potrwać około roku. Ich wdrożenie nie odbywa się bez buntów i rezygnacji kolejnych pracowników, ale rewolucja się opłaci.

Finalny pomiar przyniesie 92%, a parametry takie jak przychody, marże, rotacje czy należności niebawem ulegają poprawie. Ten i inne przykłady wdrożeń Profi pokazują, że na tym samym majątku, w tej samej lokalizacji, z tą samą załogą można wyciągnąć o 50 procent więcej.

Postscriptum

Polskie Składy Budowlane to polska lokalna firma o zasięgu ogólnokrajowym. Podstawowa zasada jej organizacji dzisiaj jest taka sama, jak w 1998 roku. *Nie zabieramy udziałowcom nazwiska, nie tracą tożsamości. Oni zbudowali swoją firmę, jej pozycję i ją utrzymują, podejmując decyzje. Ale dzięki PSB mogą się rozwijać, działać bardziej efektywnie, poprawiać standardy, które im proponujemy, podczas gdy wielu ich konkurentów upadło* – przypomina, niczym credo, Mirosław Lubarski. 20 lat doświadczeń pokazuje, że lepiej należeć do grupy, niż być pełnym indywidualistą. Mówić wspólnym głosem po prostu się opłaci w długoterminowej perspektywie.

Grzegorz Przepiórka – absolwent filologii polskiej (eddytorstwo), kulturoznawstwa (Instytut Badań Literackich) oraz Polskiej Szkoły Reportażu. Pasjami czyta, podróżuje i przeprowadza wywiady. Zastępca redaktora naczelnego w miesięczniku „Builder”.

Samorządność obywateli

Karolina Brzezińska
{Gmina, którą ustawiły
dinozaury}

Na pierwszego zrobili społeczną zrzutkę. Z daleka wygląda jak prawdziwy: ma 5 m wysokości i 14 m długości. Ludzie się z niego śmiali. Do czasu, aż się okazało, że na dinozaury do Bałtowa ściąga pół miliona turystów rocznie.

Naszedł raz anioł czarta nad rzeczką Kamienną, na Pogórzu Bałtowskim. Od wieków czart namawiał tam ludzi do grzechu; sprawiał, że mężczyźni garnęli się do butelki, ale do roboty już nie za bardzo. Anioł postanowił ludzi wybawić. Zaproponował czartowi taki układ: „Zostawię cię w spokoju, jeśli przeskoczysz tę rzekę”.

Czart się zgodził, pewien, że jednym susem pokona wąskie koryto Kamiennej. Odbił się mocno od przybrzeżnego głazu i już miał lądować po drugiej stronie, kiedy anioł niespodziewanie poszerzył koryto rzeki. Czart runął w odmęty Kamiennej i od tamtej pory nikt go w bałtowskim lesie już nie widział. Został tylko ślad czarciej stopy odbity w przybrzeżnej skale.

Krótkie palce i kopytko

Dr Gerard Gierliński nie jest ekspertem od ludowych podań. Nie wierzy w diabelskie sprawy ani wryte w skałach ślady czarcich pazurów. Jako paleontolog, a więc spec od geologicznej przeszłości i skamielin, wie doskonale, że podania o czarcich stopach oznaczają zwykle jedno – w tym miejscu miliony lat wcześniej odcisnął swoją łapę nie czart, ale dinozaur. Dlatego właśnie bałtowska legenda rozbudziła w nim ciekawość.

Był ciepły poranek 2001 roku, kiedy Gierliński ruszył zza biurka w Państwowym Instytucie Geologicznym – Państwowym Instytucie Badawczym w Warszawie, do Bałtowa, żeby obejrzeć „czarcia stopkę”, czyli – jego zdaniem – ślad dinozaura.

Warunki oględzin miał doskonałe. Tego dnia niebo było bezchmurne, a słońce padało pod idealnym kątem. Bez problemu znalazł lokalną atrakcję. Rozejrzał się dookoła, poprawił kołnierz kraciastej koszuli, pochylił nad śladem i przyjrzał uważnie. Nie miał wątpliwości. Rozpoznał ślad teropoda, czyli olbrzymiego drapieżnika żyjącego około 150 mln lat temu. Pokiwał głową z zadowoleniem i szukał dalej. Szczęście znów mu dopisało – kolejny ślad znalazł nieopodal: krótkie palce wyraźnie zakończone kopytkiem, na oko odbicie łapy stegozaura, czyli dinozaura wyposażonego w kolce, z końca okresu jurajskiego. Ta myśl wprowadziła Gierlińskiego w zdumienie. Badacze znajdowali już wprawdzie ślady dinozaurów w Górach Świętokrzyskich, należały one jednak do dinozaurów wczesnojurajskich, czyli o 50 mln lat starszych niż te, których ślady rozpoznał w okolicach Bałtowa. Odkrycie Gierlińskiego nabrało więc większego znaczenia.

Prawie jak na Wawel

Droga do Bałtowa od strony Ostrowca Świętokrzyskiego jest wyjątkowo malownicza. Wiedzie przez las i niewielkie wsie. W samym Bałtowie przy drodze stoją zadbane, w większości dwupiętrowe domy postawione na niewielkich, szczelnie ogrodzonych podwórkach. Za domami po lewej stronie wsi wznoszą się strome zbocza Doliny Kamiennej z wapiennymi skałkami. Po prawej wiję się rzeka Kamienna, a za nią aż po horyzont rozciąga się Bałtowski Kompleks Turystyczny. To najchętniej odwiedzana atrakcja w Świętokrzyskiem, jedna z najbardziej popularnych w Polsce. Rocznie przyjeżdża tu pół miliona turystów – zaledwie trzy razy mniej niż do największego w Polsce Rodzinnego Parku Rozrywki Energylandia i trzy razy mniej niż na Wawel.

W miejscu, gdzie w okresie jurajskim była plaża, po której przechadzały się dinozaury, dziś mamy ponad kilometr ścieżki dydaktycznej. Wzdłuż niej na zwiedzających czeka prawie setka T. Rexów, allozaurów i triceratopsów – oczywiście to nieruchome repliki, za to w naturalnych rozmiarach.

JuraPark, zwany dzisiaj Bałtowskim Kompleksem Turystycznym, od czasu powstania, a więc od 2004 roku, rozrósł się do olbrzymich rozmiarów. Na ponad 100 ha poza dinozaurami mieści się również zwierzyniec, czyli park safari z rodzimymi i egzotycznymi gatunkami, prehistoryczne oceanarium, park miniatur (Polska w miniaturze), park rozrywki z rollercoasterami i trampolinami, stajnia z ofertą obozów jeździeckich, a także stok narciarski – Szwajcaria Bałtowska. Na spacer można się tu wybrać i za 10 zł, a bilet, który uprawnia do skorzystania z każdej atrakcji kompleksu, kosztuje 89 zł, dla dzieci 79 zł; są też pakiety rodzinne.

Milioner na tropie

Bałtowski Kompleks to dzieło milionera Piotra Lichoty, przedsiębiorcy z Pętkowic-Kolonii, położonej 5 km od Bałtowa. Jest właścicielem m.in. spółki Publima Lichota & Lichota zajmującej się dystrybucją wędlin i mięsa. Majątek Lichoty szacowany jest na ponad 100 mln zł, a jego firma od lat zajmuje wysokie miejsce w rankingu setki największych firm województwa świętokrzyskiego. To Lichota sprawił, że Bałtów z mało znanej wsi przerodził się w jedną z największych atrakcji turystycznych w Polsce. Jak mówi, zdecydował o tym przypadek.

Zauroczony swoim odkryciem dr Gierliński nie trzymał prawdy o „czarciej stopce” dla siebie – opowiadał o tym w mediach, udzielał wywiadów. Jeden z nich przeczytał Lichota. Od dawna szukał pomysłu na ożywienie rodzimego Bałtowa. Równie z odkryciem Gierlińskiego zaczął pracę nad powołaniem Stowarzyszenia na rzecz Rozwoju Gminy Bałtów „Bałt”.

Poza Lichotą, który się w ten region w zasadzie wzenił, lokalnych inicjatorów było więcej – każdy z innym przygotowaniem i własną motywacją: Krystyna Lichocka, emerytowana nauczycielka, została pierwszą prezeską stowarzyszenia, dalej Krzysztof Guz, pszczelarz i nauczyciel, Ryszard Kieloch, przewodniczący Rady Gminy, Grzegorz Rdzonek, rolnik, Jerzy Gierczak, właściciel wiejskiego sklepu. Chcieli wyjść z marazmu, odwrócić negatywny trend. Zamarzyli o zmianie, która poprawi życie w Bałtowie. Niosła ich popularna na początku XXI wieku idea budowania wspólnotowego społeczeństwa. W działalność stowarzyszenia zaangażowało się ponad 100 osób, aktywnie działało 30. To dużo jak na gminę z 3,5 tys. mieszkańców.

Bałtów to perełka, która pod względem walorów krajobrazowych nie ustępuje najładniejszemu miejscu w Polsce – przekonywał Lichota w „Gazecie Wyborczej” już po założeniu stowarzyszenia.

Członkowie stowarzyszenia zaprosili Gierlińskiego. I dowiedzieli się od niego o parku dinozaurów w Münchhausen, koło Hanoweru, który naukowiec niegdyś odwiedził. Park był popularny, pomysł pasował jak ulał do Bałtowa. Lichota zapragnął więc zbudować taki sam, na niemiecką modłę.

Wysoki, uśmiechnięty, przyjmuje mnie w biurze jednej ze swoich inicjatyw, w domu naprzeciwko JuraParku. Na centralnej ścianie, nad dużym, drewnianym stołem, oglądamy plan kompleksu: ujeżdżalnia, stajnie, JuraPark. Lichota tłumaczy: *Zrobiłem to wszystko dla siebie, dla rodziny, ale i dla mieszkańców. Bo lubię, kiedy nie tylko mnie, ale i innym dobrze się wiedzie.* Oczywiście, że to on na kompleksie najwięcej zarabia, sam to przyznaje. Ale zaraz zastrzega: *Bywa ciężko, turystyka to niełatwy chleb.*

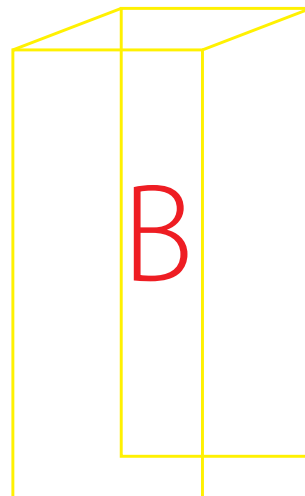
Lichota, miłośnik koni, oprowadza mnie po stajni przyklejonej do jurajskiego kompleksu. Obok ujeżdżalnia, na której kilkoro dzieci trenuje jazdę konną, na pagórku nieopodal baza wypoczynkowa z pokojami gościnnymi, czyli Ranczo w Dolinie.

Bałtowiacy nie żebracy

Z Jarosławem Kubą, obecnie prezesem Lokalnej Grupy Działania „Krzemienny Krąg”, w latach 2004–2015 dyrektorem generalnym Stowarzyszenia na Rzecz Rozwoju Gminy Bałtów „Bałt”, spotykam się w siedzibie stowarzyszenia tuż przy wjeździe do Bałtowa. To piętrowy, prostokątny budynek z nową elewacją. Biuro mieści się na piętrze. Na parterze jest świetlica, z której korzystają mieszkańcy. Kuba przypomina z wyglądu Owsiaka: czerwone oprawki okularów, krótko przycięte włosy, szeroki, nieschodzący z twarzy uśmiech.

Na początku XXI wieku w Bałtowie było jak w okresie jurajskim, trochę prehistorycznie – próbuje żartować. W Ostrowcu upadła huta, która była głównym pracodawcą w regionie. Z dnia na dzień kilkaset osób zostało bezrobotnych, niektórzy to jedyni żywiciele rodziny. Bezrobocie doszło do 30 procent. Gmina kontestowała wejście do Unii Europejskiej, z dostępnych funduszy ówczesne władze nie postarały się nawet o złotówkę, w zamian propagowały hasło „Bałtowiacy to nie żebracy”. Drogi były fatalne, zaledwie kilka kilometrów wodociągu, brak kanalizacji, zero szerokopasmowego Internetu. Nie było nawet Ochotniczej Straży Pożarnej. Żadnego pomysłu na pracę z młodzieżą czy z seniorami, nawet domu kultury albo chociaż zespołu ludowego. W całej gminie był tylko jeden komputer, przydzielony z MSWiA do wydawania dowodów osobistych – Kuba nie może skończyć wyliczanki zamierzchłych bałtowskich grzechów.

Przyjechał tu na zaproszenie świeżo powstałego Stowarzyszenia „Bałt” – miał przekazać wiedzę o możliwościach, jakie dają fundusze UE. Tak to wspomina: Oniemiałem, kiedy ówczesny wójt zapytał mnie, ile dostałem od stowarzyszenia, żeby ludziom wciskać kit.



Zróbmy sobie miejsce

Zanim wszystko się zaczęło, zanim Gierliński przyjechał szukać dinozaurów, Bałtów był gminą głównie rolniczą. Lichota nadal wspomina, jak wyglądał teren, gdzie dziś sztuczne dinozaury bawią ludzi: *Pola leżały odłogiem, porośnięte chaszczami. Tam, gdzie dzisiaj stajnia i wybieg dla koni, sterczał zrujnowany obiekt po Spółdzielni Kółek Rolniczych.*

Bo co mogło rosnąć na gruntach 4. i 5. klasy? Trzeba było szukać czegoś innego, nie upraw. Wiedzieli o tym inicjatorzy Stowarzyszenia „Bałt”, jeszcze zanim wpadli na pomysł parku z prehistorycznymi gadami. Zaczęli od porządków.

Przy drodze, gdzie dzisiaj cieszy widok zadbanego oczka wodnego, piętrzyła się sterta śmieci. Ludzie je tu wyrzucali za przyzwoleniem ówczesnych władz. Albo do rzeki. Pływało w niej to, czego chcieli się pozbyć, a nie chcieli płacić za utylizację: meble, pralki, lodówki, zużyte opony.

Już do pierwszej akcji usuwania dzikiego wysypiska działaczom stowarzyszenia udało się zachęcić społeczność. Opowiada Jerzy Gierczak, dawniej właściciel wiejskiego sklepu, dziś dwóch sklepów oraz restauracji „Zajazd pod Czarcią Stopką”, a także szef klubu Przełom Bałtowski rządzącego przez lata w Radzie Gminy: *Kto mógł, pomagał, a że bezrobocie było duże, ludzie się garnęli. Przyjeżdżali ciągnikami, niektórzy pożyczali przyczepy. Pakowaliśmy śmieci widłami i łopatami, wieźliśmy do Remondisa.*

Sprząтали Bałtów, bo ich ruszyło – chcieli pokazać, że i tu, na ich „zadupiu”, może być ładniej. Piękny odruch się w ludziach wytworzył. Widziałem nieraz, jak chłop wracał do domu po godzinach i sam z siebie śmieci z chodnika zbierał. Do dzisiaj jak wycieczki przyjeżdżają, są pod wrażeniem, jak u nas czysto – chwali Gierczak siebie i innych.

Tratwa też łódź

Potem czyścili rzekę. Ale to już bezrobotni zatrudnieni przez stowarzyszenie, bo był to pomysł na pierwszą inicjatywę turystyczną – spływ tratwami po Kamiennej. I Gierczak, i Lichota opowiadają, jak w gumowcach zasuwali po Kamiennej, jak ściągali spróchniałe drzewa i gałęzie na brzeg.

Gierczak jeździł nad Dunajec podglądać flisaków. Raziły go tamtejsze betonowe przystanie, nie pasowały mu do naturalnego górskiego otoczenia. Pomyślał: „my sobie zrobimy ładniejsze” i zamarzył o drewnianych palisadach, o podejściach wysypanych delikatnym, białym żwirkiem. Tak zrobił. A potem pluł sobie w brodę. Szybko się przekonał, dlaczego wzdłuż Dunajca i Popradu powstały siermiężne przystanie z betonu. Nauczyła go tego Kamienna, której wody konsekwentnie wymywały z bałtowskiej przystani delikatny biały żwir, zmuszając Gierczaka do uzupełniania estetycznego wypełnienia każdej wiosny.

Pierwszą tratwę zbudowali własnoręcznie z Jarosławem Kubą. Spławili się nią działacze stowarzyszenia. Z sukcesem, choć to była raczej krypa niż tratwa. We wsi pomysł ze spływami jednak się nie przyjął. Były donosy, że działacze dbają tylko o własny portfel i będą dla siebie zarabiać na gminnej rzece. *Nie mogliśmy się opędzić od kontroli. A to Urząd Żeglugi Śródlądowej, a to policja. Mieszkańcy donosili, że tratwę wzbudzamy fale, które mogą zalać ich domy – opowiada Kuba.*

Żeby mogli uruchomić spływy, musieli się zarejestrować jako armator śródlądowy. A tu czekała ich kolejna niespodzianka. *To, co dla nas było tratwą, urząd nazwał „łodzią płaskodenną”. I tak coś, co nam się wydawało łatwą do przeprowadzenia przygodą, okazało się co najmniej tak skomplikowane jak budowa biurowca – mówi Kuba.*

Otóż każda dopuszczana do żeglugi łódź musi przejść inspekcję techniczną z Urzędu Dozoru Technicznego, łącznie z obowiązkiem spływów kontrolnych. Żeby ją spuścić na wodę legalnie, musieli też zamówić operat wodno-prawny rzeki na odcinku pomiędzy przystaniami początkową i końcową.

Kiedy to się wszystko udało, zaciągnęli pożyczkę z Powiatowego Urzędu Pracy – 70 tys. zł na tworzenie miejsc pracy na obszarach wiejskich. Antoni Kukułka, organizator spływów Dunajcem na trasie Czchów-Zakliczyn, śmiał się z działaczy „Bałta”, kiedy za te pieniądze zamawiali u niego dwie kolejne tratwy. „Górale nizinni przyjechali i trawki kupują” – kpił. Ale dał niższą cenę i tratwy zbudował.

Marynarz poszukiwany

Za resztę pieniędzy z programu zbudowali parking i przystań oraz wyremontowali plac, tzw. okrężlicę, miejsce zabaw i koncertów w Bałtowie. Trzecią tratwę kupili z unijnego programu SAPARD. Dalej wydawało się już prosto: stowarzyszenie zatrudni do spływów ludzi z okolicznych sołectw, żeby było sprawiedliwie. Chętnych nie brakowało, szybko skompletowali załogę – ośmiu pracowników. Już mieli wypływać na rzekę, aż tu przyjeżdża na kontrolę przedstawiciel Urzędu Żeglugi Śródlądowej w marynarskim stroju. Poprosił o uprawnienia bałtowskich „flisaków”.

Kuba wypalił: „Chłopaki ze wsi, silni jak dęby, dadzą sobie z tratwą radę. Po co im papiery?”. Chyba nie pomogło, bo urzędnik poradził, żeby pracowników zapisać do szkoły morskiej, i zakazał dawania im wiosł do rąk.

Stowarzyszenie miało od razu dwa problemy: nie mogli uruchomić spływów, do tego musieli odmówić ochotnikom roboty. Lokalni „flisacy” wrócili dopiero po dwóch sezonach – z uprawnieniami, bo przyuczyli ich do żeglarskiego fachu dwaj marynarze, których udało się zaciągnąć na bałtowskie tratwy z ogłoszenia w prasie.

Wreszcie spływy ruszyły pełną parą. Mimo że na początku zwabieni do Bałtowa miastowi narzekali i grymasili. Bo Kamienna taka malutka. „Mam w tej kałuży pływać?!” – buntował się niejeden. Ale kiedy bałtowski flisak zakołysał tratwą, a wynajęty akordeonista zaintonował: „Hej, hej, hej sokoooły!”, turyści zaczęli klaskać w rytm, a narzekania milkły. I tak w 2004 roku

około 14 tys. ludzi przyjechało do Bałtowa, żeby popłynąć tratwą tam, gdzie anioł przegonił czarta raz na zawsze.

Zrzutka na dinozaura

Pierwszy był Gerard, allozaur. Imię dostał po dr. Gierlińskim, rozmiary – rzeczywiste: prawie 5 m wysokości i 14 m długości. Został wykonany z żywicy epoksydowej w pracowni Krzysztofa Kuchnio nieopodal Kostrzyna nad Odrą. Kuchnio specjalizuje się w produkcji modeli na potrzeby parków rozrywki, muzeów oraz placów zabaw, to on produkował dinozaury dla parku pod Hanowerem. Ówczesny starosta powiatu ostrowieckiego Waldemar Marek Paluch przeznaczył na zakup Gerarda 5 tys. zł, gmina dorzuciła 2 tys. zł, a resztę – czyli 23 tys. zł – zasponsorowali właściciele okolicznych firm. Pozostali mieszkańcy nie bardzo chcieli się angażować finansowo – tak twierdzi Gierczak. A według Kuby puszka krążyła po wsi i ludzie nie skąpili. Z pięciotysięcznej inwestycji Palucha śmiali się koledzy samorządowcy: „Aleś zainwestował! W dinozaura!” – drwili. Ale kiedy za dwa lata JuraPark stał się rozpoznawalny i zaczął zarabiać, starosta żadnych drwin już nie usłyszał.

Gerard zamieszkał początkowo na okręglicy. Jako symbol. Mimo że towarzyszył miejscowym w koncertach i brał udział w dyskotekach, nie traktowali go poważnie: a to ktoś mu oderwał kawałek ogona, a to nabazgrał sprayem napis: „I love Krzysztof”. Nie wiadomo, o którego Krzysztofa chodziło, dość że po tym incydencie stowarzyszenie wynajęło ochroniarza, żeby pilnował Gerarda.

A pierwszy pomysł był taki: repliki dinozaurów zostaną umieszczone dokładnie w miejscu, w którym dr Gierliński odkrył tropy ich prawdziwych prehistorycznych przodków. Jednak po okaleczeniu Gerarda stowarzyszenie postanowiło, że musi być ogrodzenie i wejście biletowe. Taki był właściwy początek JuraParku.

W 2004 roku Stowarzyszenie „Bałt” otrzymało za swoją działalność wyróżnienie w konkursie Pro Publico Bono i liczyło już ponad 300 członków. Zdecydowali, że budową JuraParku zajmie się nowy podmiot – Stowarzyszenie „Delta”, z prezesem Piotrem Lichotą na czele.



Pomysł na JuraPark nie spodobał się mieszkańcom. Organizowali pikietę przed siedzibą gminy. Uważali, że lepiej rozdać pieniądze potrzebującym dzieciom, niż wydać na dinozaury. Ale działacze się uparli. Kuba wspomina: *Może dziesięć procent chciało zmian, połowa społeczności była przeciwna, pozostali to tzw. kibice klęski – sami nic nie zrobią i nie chcą, by komukolwiek się udało. Postanowiliśmy iść do przodu. Wiedzieliśmy, że jeśli się powiedzie, skorzystają wszyscy. Bo wreszcie ktoś przyjedzie na tę zapyziałą wieś.*

Cztery razy JuraPark

Gerard był już wtedy popularny. Wycieczki szkolne z całej Polski pokonywały setki kilometrów, by dzieci mogły go dotknąć. Dzisiaj na dwóch łapach pilnuje urzędu gminy, a pozostałe dinozaury – ozdoby bałtowskiego JuraParku – stacjonują kilkaset metrów dalej, za ogrodzeniem. Różnią się od Gerarda, wykonane zostały pod uważnym okiem paleontologów. Już nie w Kostrzynie, ale w pobliskim Ostrowcu Świętokrzyskim w firmie Dino Product powiązanej z Publiną sp. j. Lichota & Lichota oraz Stowarzyszeniem „Delta”. Firma wyposażyła w repliki dinozaurów również dwa kolejne polskie JuraParki – w Krasiejowie i Solcu Kujawskim, a ponad 140 replik popłynęło przez ocean do Paleosafari Moab Giants w stanie Utah w USA – na ziemię, która jest kolebką amerykańskich badań nad dinozaurami. Każdy z tych parków to inwestycja Piotra Lichoty.

W czerwcu 2007 roku, na urodziny największego ze zgromadzonych w JuraParku dinozaurów – sejsmozaura – przywieziono helikopterem bardzo wówczas popularną piosenkarkę Dorotę „Dodę” Rabczewską. Impreza była jak się patrzy, zjechała cała powiatowa śmietanka. Piosenkarka wdzięcznie wylała na sejsmozaura pół butelki szampana: „Chrzczę cię imieniem Doduś” – ogłosiła, a według gminnej legendy pod dotknięciem jej delikatnej ręki dinozaur na chwilę ożył...

W tym czasie ożywiła się również gmina: o ile przed budową JuraParku w 2004 roku było w niej 439 zarejestrowanych bezrobotnych, o tyle w 2019 roku już tylko 135. W jurajskim kompleksie pracuje ponad 150 osób.

Impas

W wyborach samorządowych w 2018 roku Hubert Żądło z Komitetu Wyborczego Wyborców Przyjazna Gmina Bałtów, związany z PiS, pokonał Tomasza Mrocza, wieloletniego pracownika gminy

związanego ze Stowarzyszeniem „Bałt”. Zwyciężył w drugiej turze, bo w pierwszej głosy rozłożyły się idealnie po równo. Między nowym wójtem a radą, w której większość była w rękach opozycyjnego klubu Przełom Bałtowski, natychmiast zaczęły się konflikty.

A to radni drastycznie obniżyli wójtowi pensję, a to wójt zaproponował czterokrotne podniesienie kwoty za dzierżawę okręglicy – miejsca, od którego Stowarzyszenie „Bałt” zaczynało swój rozwój. Okręglicą zarządza teraz DLF Invest, spółka rodzinna Lichoty, która z końcem 2018 roku stała się jedynym właścicielem i zarządcą całego Bałtowskiego Kompleksu Turystycznego. W sporze tak naprawdę chodzi o finansowanie projektu rewitalizacji Bałtowa, który obejmuje: zorganizowanie kąpieliska dla mieszkańców, budowę drogi, remont młyna, rewitalizację okręglicy i ogólnodostępny plac zabaw. Wójt twierdzi, że skorzysta na tym głównie biznes Lichoty i jego znajomych. W związku z tym gminy nie stać na wkład własny.

Lichota odpowiada: *Podatki z mojej działalności stanowią ponad 10 procent budżetu gminy. Nasze stowarzyszenia i firmy obsługują cały ruch turystyczny, gmina tylko spija śmietankę. Od piętnastu lat nie ma nawet urzędnika od turystyki.*

25 listopada 2019 roku mieszkańcy Bałtowa w bezprecedensowym referendum odwołali sprzyjającą właścicielom JuraParku Radę Gminy. Do referendum doprowadzili zwolennicy wójta Huberta Żądły. 23 lutego 2020 roku Komitet Przyjazna Gmina-Wspólne Dobro, wspierający wójta wygrał przedterminowe wybory do Rady Gminy – zdobył 13 spośród 15 mandatów.

Przed dinozaurami niczego nie było

Lokalny przedsiębiorca Jerzy Gierczak wiedział, że jeśli w Bałtowie powstaną atrakcje na ogólnopolską skalę, jemu też się raczej nie pogorszy. Włączył się w działania już na etapie sprzątnięcia dzikiego wysypiska. Zaraz też kupił starą piekarnię,

akurat naprzeciwko dzisiejszego JuraParku. Urządził w niej sklep. *Nie chciałem, żeby ta ruina psuła obraz wsi – mówi mi dzisiaj. Ale oczywiście opłaciło mu się. Pożyczył na to pieniądze od rodziny i znajomych, zadłużył się w banku. Musiał uprzątnąć teren, zrobić gruntowny remont: nowe elewacje, okna, drzwi – wymienił wszystko.*

Kilkanaście metrów dalej Gierczak kupił kolejny budynek – dzisiaj to Zajazd pod Czarcia Stopką, jasnokremowy domek z czekoladowymi framugami. Jest jedną z kilku knajp w Bałtowie, żadna nie narzeka na obroty. Zdażył jeszcze otworzyć smażalnię ryb, ale zwinął interes, kiedy sześć lat temu Lichota uruchomił w kompleksie całą wioskę rybacką. Gierczak nie ma jednak do kolegi pretensji. *Gdyby nie Lichota i dinozaury, nie miałbym dla kogo tej knajpy otwierać – mówi. Obawia się, że odwrócenie się gminy od kompleksu w Bałtowie doprowadzi do stagnacji.*

Bo nie tylko Gierczak zyskał. W Bałtowie funkcjonuje dzisiaj ponad 50 gospodarstw agroturystycznych, a przed uruchomieniem JuraParku było zaledwie kilka. Albo 37-letni Piotr Krzemieniecki. Pracuje w JuraParku od początku jego istnienia, a więc już 15 lat. Najpierw przy budowie: kopał fundamenty, stawiał od podstaw budynki gastronomiczne, robił ścieżki edukacyjne. *Pracowaliśmy w ok. 70 osób, wszyscy z naszej gminy, „obcych” zliczyłbym na palcach jednej ręki – mówi. Dzisiaj jest tak: latem nadzoruje bałtowski park miniatur, kosi trawę, pielęgnuje porządku, a w sezonie zimowym pracuje przy stoku narciarskim. Spośród pięciu sąsiadów w moim bloku tylko jeden nie pracuje w kompleksie. Jak tu było przed erą dinozaurów? – pytam. Niczego nie było – ucina Krzemieniecki.*

Karolina Brzezińska – dziennikarka „Gazety Wyborczej”, a także wydawczyni jej internetowego wydania. Skończyła dziennikarstwo na Uniwersytecie Warszawskim i polonistykę na Uniwersytecie Pedagogicznym w Krakowie.

Samorządność obywateli

Krzysztof Story
{Zielony bunt}

Stoimy. Sosnowe bale pod wodą zapadają się w piasek. Pordzewiałe beczki po ropie, które dają nam wyporność, tłuką o kamienie. Kamienie są małe i wygładzone nurtem, który bardzo chcielibyśmy znaleźć. Póki co stoimy na środku Bugu i szuramy o dno. To już szósta mielizna w ciągu dwóch godzin. Od dwóch godzin nadal widzimy ten cholerny most we Frankopolu. W czwartej największej rzece w Polsce jest dla nas zbyt mało wody. Tratwa ma 35 cm zanurzenia. Do połowy łydki.

Tak jest nie tylko na Bugu. Polska ma jedno z najmniejszych rezerw wód gruntowych w Europie (wyprzedza nas nawet pustynna Hiszpania) i od kilku lat coraz mocniej to widać. W czerwcu 2019 roku w Skierniewicach powołano sztab kryzysowy, bo w mieście zabrakło wody. W lipcu, kilka dni przed moim przyjazdem nad Bug, wodomierze na Wiśle pokazywały 40 cm.

Z brzegu to wszystko wydaje się niemożliwe. Koryto Bugu za Drohiczynem jest szerokie na kilkaset metrów. Woda jest naturalnie mętna, więc nie widać dna. Rzeka wygląda na potężną, niewyczerpaną. Może nawet niewyczerpywalną. Z perspektywy tratwy wszystko wygląda inaczej. Z perspektywy tratwy wiem, że mogę zeskoczyć w sam środek rzeki i nie zamoczyć koszuli. Krótkich spodenek. Wiem, że są miejsca, gdzie główny nurt to tylko trzy, cztery metry, a cała reszta to mielizna. Są też takie, gdzie Bug można po prostu przejść.

Zeskakuję z pokładu i idę szukać nurtu. Tam będzie głębiej, damy radę przepłynąć. Przed każdym krokiem wbijam w dno kij, sprawdzam głębokość, bo nurt zwykle zaczyna się przykosą, czymś na kształt podwodnego klifu. Pół metra wcześniej jest do kolan, pół metra dalej – nawet kilka metrów. Z tej perspektywy widzę też samą tratwę. Drewniany pokład z małym domkiem pośrodku. Jej gospodarzem jest Łukasz Długowski, ja wpadłem ledwie na kilka dni. On płynie od początku polskiego Bugu, na rzece

jest od trzech tygodni. Na tratwie myje się, śpi, je, pisze, udziela wywiadów. Jest solidnie zmęczony, ale płynie dalej. Płynie, bo się wkurzył.

Kij bez ostrzeżenia zapada się w wodę. Jest nurt, krzyczę, a Łukasz z tym swoim wkurzeniem skacze do wody i pcha ciężką tratwę po piachu w moją stronę. Po raz szósty w ciągu ostatnich dwóch godzin.

Dziko

Kiedyś marzył, by zostać podróżnikiem. Następnym Amundsenem czy Hillarym. W 2013 roku pojechał na wyprawę do Norwegii. Tam uznał, że rodzina, którą zostawił w domu, jest ważniejsza od przejścia tej czy innej góry. Odpuścił. Od tego czasu podróżował na swoją miarę. Napisał pierwszą polską książkę o mikrowyprawach, później sam zaczął je organizować.

Mieszczuchów z Warszawy, Krakowa, Łodzi zabiera w las. Na tropienie wilków, na kajaki, na plener fotograficzny. Weekendowe przygody, które można wcisnąć między jednym dedlajnem a drugim, i dlatego są tak cenne.

Mikrowyprawy dla Łukasza Długowskiego stały się nie tylko biznesem, ale też lekcją ekologii. Nauczył się, że przyrody nie można chronić, jeśli się jej nie doświadczy. Pochodzę z biednej rodziny. Wychowany byłem słowami „uważaj”, „zostaw”, „nie dotykaj”. Szkolnictwo też uczy nas głównie słuchać, być posłusznym. A z przyrodą tak się nie da. Przyrodę trzeba dotknąć, powąchać. Ubrudzić się.

W dzieciństwie dużo czasu spędzał u babci na działce pod Poznaniem. Gdy zapytać go, skąd ma pasję do przyrody, odpowie, że z buraków. Z flancowania, pielenia, koszenia. Ogólnie mówiąc, z dotykania.

Długo pracował w PR, potem jako dziennikarz pisał dla „Gazety Wyborczej”. W międzyczasie przeniósł się do Warszawy, zaczął prowadzić mikrowyprawy. Przy okazji wraz z uczestnikami zbierał

pieniądze na ochronę wilków i rysi. Wyszło ponad 40 tys. zł. Ludzie, którzy właśnie po raz pierwszy zobaczyli tropy wilka, dużo bardziej się angażowali. Łukasz dowiedział się, jak ważna jest dobra reklama. Troska o klimat nie może być domeną naukowców i kilku ekologów. Jest ich za mało, żeby nas uratowali. To nie może być jeden Adam Wajrak na cały kraj. Musimy zbudować wspólnotę, zaangażować ludzi. Potrzebujemy mówić ich językiem. Potrzebujemy opowieści.

Czipsy marki Bug

29 marca 2019 roku Łukasz Długowski zakłada fundację i nazywa ją DZIKO. Ładnie – nazwa i cel w jednym. Pierwszym celem jest ochrona Bugu, jednej z ostatnich nieuregulowanych rzek w Polsce. Pierwszym działaniem ma być opowieść i dlatego od rana męczymy się z szorującą po dnie Bugu tratwą. Mamy serdecznie dość.

Ja jestem nikiem – mówi Długowski, stając na dziobie i wypatrując kolejnej mielizny. *Nie mam milionów na uratowanie świata, moją jedyną szansą jest zrobienie z tego virala, zasięgów, wspólnoty. Zaciągnięcie do tego ludzi. Pogodzenie się z tym, że ochrona ostatniej dzikiej rzeki w Polsce to też jest produkt i trzeba go wypromować tak samo jak czipsy, hotel czy meblościankę.*

O rzece mówi językiem, którego używał przez lata pracy w PR. Z czasów, gdy nie wiedział nic o zakolach i starorzeczach Bugu, o gatunkach ryb, rzeszy wodnego ptactwa i zwierzyny, która korzysta z rzeki jak z autostrady, wielkiego naturalnego korytarza. Ba, nie wiedział wtedy nawet, że Bug przepływa 40 km od jego obecnego mieszkania w Warszawie. *Nad rzekę trafiłem przypadkiem, pojechałem na weekend, zresetować się po pracy. Spotkałem odpowiednich ludzi, którzy mi pokazali Bug. Umieeli o nim opowiedzieć. Potem ja starałem się robić to samo.*

Łukasz bierze do ręki czterometrowy drewniany pych. Ja łapię za drugi. Woda przed nami nierówno się marszczy. Może to być mielizna, ukryty pod wodą pień albo kamienna główka punktowo regulująca nurt. Lepiej ominąć.

Uważam, że poznanie to jest podstawa. To, co poznamy, zaczyna budzić emocje, zaczyna nas obchodzić. Tak samo było z Białowieżą, tak samo jest z Bugiem. Może ktoś kiedyś tu przyjedzie, spędzi kilka dni, a potem i tak powie: „mam to w dupie”. Jego prawo. Ale mi się to jeszcze nie zdarzyło.

Za późno zobaczyliśmy tę zmarszczkę. Tratwa nie ma takiej sterowności jak łódź. Nie mamy silnika, tylko dwa sosnowe bale. Wisimy na jakimś podwodnym konarze. Łukasz stara się w prostych słowach wytłumaczyć, po co.

Mówienie o ekologii jest trudne. Nie działają suche dane ani straszenie. Ludzie nieczulili się na kolejne dramatyczne raporty. Trzeba im pokazywać rozwiązania. W przystępny sposób. Docierać do tych, których konsekwencje dotkną najmocniej. Bo przecież regulacja Bugu nie dotknie najmocniej posłów, ministrów, ani nawet mnie. Ona zaszkodzi właścicielowi tamtej łąki. Zaszkodzi ludziom biedniejszym, bo pójdą do warzywniaka i zobaczą ceny z kosmosu.

Łukasz zdenerwował się na to wszystko, co teraz wymienia. Na brak odpowiedzialności polityki i biznesu za coś więcej niż doraźny zysk. Na bierność ludzi, którzy nie protestują, choć to oni mają najwięcej do stracenia. Na brak zaangażowania, oschłe raporty i rachityczne działania. Całą tę emocję przelał na Bug, na rzekę, którą przez lata poznał, polubił, docenił. Może nawet zrozumiał. Rzekę nazywaną wodnym odpowiednikiem Białowieży. Niemal w całości dziką, regulowaną jedynie punktowo. Rzekę, jak mówi, bezcenną.

Dlatego teraz zeskakujemy do wody, wykaraskać się z tego konara. Dlatego w ogóle istnieje tratwa. Łukasz wraz z wolontariuszami zbudował ją 3 tygodnie wcześniej. Spływ tradycyjną drewnianą tratwą był pomysłem na opowieść o Bugu. Barwną, przygodową historię, która przyciągnie ludzi i media.

Przyciąga. Każda oddolna inicjatywa jak powietrza potrzebuje społeczności. Zasięgów, ludzi, wsparcia. Dlatego Łukasz zaprosił na tratwę dziennikarzy, influencerów, jutuberów. Załoga zmienia się co dzień, dwa. Łukasz wita na tratwie nowe osoby. Ja zmieniłem się z modelką Martą Dyks. Dzień później miał przyjechać Borys Szyk, ale coś mu wypadło. Za chwilę odbierzemy

z brzegu Joannę Jabłczyńską, znaną z „Na Wspólnej”. Brzeg będzie tam nierówny, ciężko przycumować. Asia wejdzie więc na tratwę po szyję w wodzie, niosąc na głowie arbuza. Przywiozła w prezencie. Arbuza i piwo. Na tratwie spędzi może godzinę, ale wrzuci relację na instastory. Razem z Martą tylko na Instagramie mają 120 tys. obserwujących. Więcej niż dowolny tygodnik opinii.

Bugu nie da się ochronić z Warszawy przez Facebooka. To muszą zrobić ludzie, którzy tu żyją. To oni muszą poczuć, że to jest ich osobista sprawa. Że to chodzi o ich pola i pastwiska, a nie jakiś tam kryzys klimatyczny gdzieś daleko stąd – mówi Długowski.

W trakcie spływu spotyka się więc z lokalnymi władzami, rolnikami, zaczepia zwykłych ludzi. Częściej to on jest zaczepiany, wielka drewniana tratwa jest niecodziennym widokiem na rzece. Łukasz potem napisze: „Jesteśmy dziwadłem. Ludzie reagują na nas jak na eksploratorów albo pomyłków, którzy zerwali się z łańcucha w cyrku. Prawie nikt z nich nie wie, że to mogą być ostatnie dni dzikiego Bugu i że rząd planuje zrobić z niego autostradę”. Ja też to widziałem, choć na tratwie spędziłem 3 dni. Ludzie na brzegach wbijali wzrok w dziwną konstrukcję. Dryfowaliśmy (o ile dało się dryfować) z nurtem 4 km na godzinę, więc mieli dużo czasu. Obserwowali, a potem składali dłonie w tubę przy ustach i wołali: „A po co płyniecie?”. Łukasz odpowiadał: „Żeby wam Bugu nie zniszczyli”. Oni pytali: „A zniszczą?”.

Barka za barką

Mogą zniszczyć. W 2015 roku w exposé Beata Szydło zapewniła: „Chcemy, by polskie rzeki stały się wielkimi drogami, po których będą płynąć pełne towarów barki zwodowane w rodzimych stoczniach”.

Dwa lata później Andrzej Duda, ratyfikując konwencję ANG (o międzynarodowych drogach wodnych) porównywał polskie rzeki do chińskiej Jangcy: „Proszę Państwa, tą rzeką płynęła barka

za barką przez 24 godziny na dobę. Cały dzień i całą noc tą rzeką w dwie strony trwał transport – dosłownie barka za barką! I to pokazywało między innymi nieprawdopodobny potencjał tej gospodarki. Chciałbym, żebyśmy taki widok wracającego na nasze rzeki transportu rzeczno z prawdziwego zdarzenia, który oczywiście pobudza biznes i rozwija gospodarkę, żebyśmy tę perspektywę mieli” – mówił prezydent.

Wizja powrotu polskiej żeglugi śródlądowej jest więc coraz bardziej realna. Państwo planuje w najbliższych czasach przeznaczyć na jej realizację nawet 80 mld zł. Transport rzeczny miałby być tańszą i mniej emisyjną alternatywą dla drogowego i kolejowego. *Pomysł sam w sobie nie byłby zły, gdybyśmy tylko mieli rzeki, które na to pozwalają* – komentuje biolog, autor książek przyrodniczych dr Mikołaj Gołachowski.

Nie mamy. 40 cm na wodomierzu na Wiśle i Bug, który sięga nam do pół łydki, to nie przypadek. Polska ma jedno z najniższych rezerw wód gruntowych w Europie. Powinniśmy szanować każdą kroplę, każdy mały strumień. Żegluga jest realna tylko na największych polskich rzekach, a i tutaj wymaga to ogromnej ingerencji w ekosystem, silnej regulacji. Nawet największa w Polsce Wisła przenosi 6 razy mniej wody niż Dunaj.

Zresztą w Europie coraz mocniej widać trend do deregulacji rzek – dodaje Gołachowski. Za duże pieniądze przywraca się wodzie jej naturalny bieg. Jego zdaniem wartość dzikich rzek sprowadza się do trzech aspektów. Dwa są przyrodnicze. Pierwszy: rzeka sama w sobie jest ciekawym środowiskiem, ryby, zwierzęta, ptactwo wodne, pochłanianie dwutlenku węgla przez rośliny, to wszystko stanowi ogromną wartość. Drugi: *Rzeki pełnią też dosyć niezwykłą rolę korytarzy ekologicznych* – mówi Gołachowski. *Rzeka między dwiema partiami lasu pozwala zwierzętom swobodnie migrować, powiększa ich terytorium.* Trzeci aspekt jest ekonomiczny: *Uregulowane rzeki wylewają i wylewają w sposób niekontrolowany. Wody nieuregulowane, takie jak prawy brzeg Wisły, są dużo bardziej bezpieczne. Tam wysoka woda swobodnie rozlewa się po krzakach, tworzy mokradła. Dlatego na przykład dereguluje się dzisiaj Ren, który wcześniej systematycznie zalewał Kolonię.*



Tymczasem w Polsce wracają dziś koncepcje wielkich inwestycji hydrotechnicznych, takich jak kolejny stopień na Wiśle w Siarzewie. Masowo reguluje się też tysiące kilometrów małych rzek. Nie tylko na potrzeby żeglugi, ale właśnie ze względów przeciwpowodziowych. *Wymyśliliśmy sobie, że mamy prawo, wiedzę i możliwości, żeby postawić sobie dom 100 m od dużej rzeki -* zauważa Mikołaj Golachowski.

Problem w tym, że im bardziej regulujemy rzeki, tym częściej występują gwałtowne powodzie. Odra i Wisła regularnie wylewają, powodując ogromne straty. Tymczasem dziki Bug naturalnie rozlewa się, nawadniając pastwiska i łąki, a naprawdę groźna powódź zdarza się tu raz na kilka dekad. Betonując rzekę, tracimy naturalną retencję, woda szybciej spływa do morza. Po gwałtownej powodzi równie gwałtownie przychodzi susza.

Łukasz Długowski stara się to pokazywać, tłumaczyć ludziom nad Bugiem: *Uregulowana rzeka jest jak kanał, którym cała fala od razu spływa w kierunku morza. Dzika – jak gąbka. W dzikiej rzece woda stagnuje, powoli spływa, nasącza glebę na długie miesiące.*

Nie tylko nasącza, ale też filtruje. Naturalna rzeka ma właściwości samooczyszczające. Tymczasem do rzek spływają pozostałości pestycydów, nawozów rolniczych. Stan wód powierzchniowych w Polsce jest fatalny. W 2016 roku skontrolował je GUS: dobrą jakość wody miały 142 skontrolowane punkty, złą – 1452, czyli 90 procent.

Kanał

Nad Bugiem to wszystko nabiera szczególnego znaczenia. Najważniejszym elementem wizji polskiej żeglugi śródlądowej jest bowiem międzynarodowa droga morska E40. Docelowo ma połączyć Chersoń nad Morzem Czarnym z Gdańskiem.

Według planów, wzdłuż Bugu miałby powstać kanał żeglugowy. Wodę do kanału i śluz trzeba by pompować wprost z rzeki – ponad 10 m³ na sekundę. Patrząc na rzekę, która jest za płytka dla tratwy o zanurzeniu 35 cm, nie chce się w to wierzyć. Podobnie uważają naukowcy i ekolodzy. Hydrolog, dr Mateusz Grygoruk powiedział portalowi OKO.press: „Ta rzeka sama ma problemy hydrologiczne. Jeżeli woda będzie dodatkowo pompowana do kanału, to wody w Bugu może zabraknąć dla innych użytkowników – w tym rolników i ekosystemów dolinowych”.

Na zamówienie Koalicji Ratujmy Rzeki powstał raport oceniający inwestycję. Jego autorzy wyliczają, że przez budowę kanału częstotliwość dotkliwych susz w rejonie wzrośnie aż o 172 procent. Dr Przemysław Nawrocki, biolog i pracownik WWF, porównywał skalę zniszczeń do lat 50. i „wielkich budów socjalizmu, gdzie nikt nie przejmował się żadnymi uwarunkowaniami środowiskowymi”.

2 lipca 2018 roku minister Marek Gróbarczyk podpisał umowę na studium wykonalności drogi wodnej E40.

Rezerwat

Dzwonię do Kuby i Ani Urbańskich. Pozdrawiają znad Bugu. Na co dzień mieszkają w Warszawie, mają dom niedaleko Drohiczyzna i trochę ziemi nad samą rzeką. Z wykształcenia są biologami, z pasji podróżnikami – należą do Explorer's Club, od lat jeżdżą na Papuę Zachodnią uczyć się i dokumentować lokalną kulturę. Ona zakładała w Polsce jedną z pierwszych kooperatyw spożywczych, on ostatnio wynalazł lekarstwo na kaca. Podobno działa.

Dom ma 150 lat, kupili go rodzice. Ja spędzałem tu całe wakacje – wspomina Kuba. Dzisiaj coraz więcej pracujemy zdalnie, to jedno z naszych biur. Na działce nad rzeką jest starorzecze, niestety już wysychające, i łącha oddzielająca je od głównego nurtu.

Wspominam, że Bug w tym roku był bardzo płytki. Odpowiada Ania: *To jest coś zupełnie nowego. Od kilku lat rzeka potrafi prawie zupełnie wyschnąć. Na wysokości Drohiczyzna jest prom, w ostatnich latach zdarzało się, że przez kilka tygodni nie pływał, bo w rzece nie starczało wody.*

Bug kiedyś w zimie zamarzał, ludzie przejeżdżali traktorami. Dzisiaj to się prawie nie zdarza – dodaje Kuba. Zmieniają się układy wodne. Łąki wysychają, skraca się czas wypasu krów, wszystko stepowieje.

Pytam ich, co sądzą o budowie kanału. Rozumiemy, że władze naszego kraju potrzebują mieć drogę transportu węgla. Ale ta rzeka nie jest dobrym wyborem. Bug jest szeroką, meandrującą rzeką, wpływa nawet na pogodę w regionie. Uzależniona jest od niego cała tutejsza gospodarka. Od rytmu, od wiosennych powodzi, od zamarzania. Co kilka kilometrów są dopływy, są starorzecza. Kiedy wypompujemy wodę, to dotknie bardzo szeroki obszar pradoliny Bugu. Zamiast cennej przyrodniczo i gospodarczo rzeki zostaniemy z pozbawioną znaczenia atrakcją turystyczną.

O tym samym rozmawiam z Łukaszem Długowskim, ale nasza sytuacja w zasadzie już jest odpowiedzią. Przez 3 dni z trudem przepłyniemy 20 km. Spływ zamienia się w wypych. Pytam, jak

zamierza chronić Bug. Bo przecież nie samym spływem (wypychem). Wspólnie. Chcemy tu zrobić pierwszy w Polsce prywatny, obywatelski rezerwat przyrody.

Pomysł jest tyleż prosty, co unikatowy. Skoro nikt nie zapewni nam ochrony przyrody, zrobimy ją sami. Fundacja DZIKO chce skupować, zbierać i opiekować się terenami cennymi przyrodniczo. Do rady fundacji Długowski chce zaprosić naukowców, ekologów, m.in. Mikołaja Gołachowskiego. DZIKO nie musi być właścicielem terenu. Wystarczy, że właściciel zgodzi się zostawić dany obszar naturze. Nie budować, nie sprzedawać, nie regulować. Jako pierwsi swoją działkę przekazali Urbańscy. Łukasza poznaliśmy przez Facebooka, zobaczyliśmy ogłoszenie. Łatwo przystaliśmy na ten pomysł, bo my to samo robimy od lat – mówi Kuba. Nasze tereny nad Bugiem zarastały i były dzikie 30 lat przed tym, jak zostały nazwane obywatelskim rezerwatem przyrody. Skoro taki rezerwat ma szansę powstać, to czemu nie u nas?

Zaangażowali się. Ostatnie 2 dni przed naszą rozmową spędzili w rezerwacie, zbudowali barcie dla pszczoł. Myślą też o tablicach informacyjnych. A przede wszystkim o namawianiu kolejnych osób.

W przypadku Bugu ochrona bierna ma decydujące znaczenie – mówi mi Mikołaj Gołachowski. Ochrona przed zabudową, oddanie naturze. Kolejne środki to zachęta dla zwierząt do osiedlania się – budki dla ptaków, hotele dla pszczoł.

Lubimy i wierzymy w oddolne inicjatywy. Może to się upowszechni, mamy taką nadzieję – dodaje Ania. Ludzie zaczną przekazywać, chronić choćby bezklasowe ziemie, gdzie uprawa i tak jest nieopłacalna.

Piękna, zielona dolina

Długowski też ma taką nadzieję. Dzień powoli się kończy, cumujemy tratwę. Łukasz rozstawia namiot, ja będę spał na rzece, więc mam czas na zdjęcia. Zachód słońca nad Bugiem jest

wyjątkowo malowniczy. Jesteśmy zmordowani. Otwieramy piwo, Łukasz opowiada o rezerwacie.

Najważniejsze zagrożenia dla klimatu to dzisiaj: emisja CO₂, przemysłowa produkcja jedzenia i utrata habitatu, siedlisk dzikiej przyrody. Tym ostatnim możemy się zająć. Wyobraź sobie, że sami tworzymy parki narodowe, rezerваты, sami chronimy tereny przed zabudową, zniszczeniem. Taki Bug mógłby być tylko początkiem.

W Polsce to zupełnie nowy pomysł, ale przykładów można szukać za granicą. Golachowski przywołuje Sebastiao Salgado, znanego fotografa z Brazylii. Po latach wrócił na dawną farmę swoich rodziców i oddał ją naturze. Dziś to piękna, zielona dolina. Długowski wspomina swojego idola, Douglasa Tompkinsa. Był biznesmenem, producentem ubrań, założycielem firm takich jak Esprit i The North Face. Swoje marki nazywał maszynkami do sprzedawania niepotrzebnych rzeczy. W 1990 roku Tompkins sprzedał wszystkie udziały w Esprit i wyjechał do ukochanej Patagonii, w której wielokrotnie się wspinał. Wraz z żoną zaczęli skupować kolejne hektary chilijskiej ziemi. Tompkins był zwolennikiem ekologii głębokiej – uważał, że ludzie nie mają prawa niszczyć bogactwa przyrody w imię rozwoju. Kolejne porcje terenu przekazywał więc rządowi Chile pod jednym warunkiem – że każdy tak pozyskany teren władza powiększy i utworzy park narodowy. Skupował dawne pastwiska i oddawał je naturze. Skupował tereny wokół rzek i nie pozwalał na ich regulację. Nie zważał na głosy sprzeciwu. Zmarł w 2015 roku. Fundacją, którą założył, kieruje teraz jego żona. W 2019 roku przekazała państwu kolejne 400 tys. ha. Dzięki nim Chile zyskało w sumie 4,5 mln ha chronionej przyrody. To tyle, co powierzchnia Szwajcarii.

Nie walczę za was

Chcę, żeby ten ruch się rozwinął. Nie jako pomysł jako Łukasza Długowskiego, nie jako konkretna fundacja, tylko jako wspólnota, jako model obywatelskiego działania – mówi Długowski i patrzy

w telefon. Ktoś napisał komentarz: „dziękujemy, że walczysz za nas”. Wkurwia mnie to. Bo ja nie chcę walczyć za was. Ja chcę walczyć z wami. Tylko wtedy to ma sens. Nie jestem milionerem, który uratuje świat. Nawet nie jestem ekologiem. Nie walczę o motylki i robaczki. Walczę o życie moich dzieci.

Dużo mówi o wspólnocie i trochę w tym racji, zwłaszcza w przypadku Bugu, czy ogólniej – ochrony terenów cennych przyrodniczo. Lwia część ziemi nad rzeką jest w rękach prywatnych. To od ich właścicieli zależą jej dalsze losy. Od nas. Od tego, czy pójdziemy strajkować, podpisywać petycje, tworzyć rezerваты. Kluczowym narzędziem w ochronie przyrody może okazać się obywatelskie nieposłuszeństwo.

Takie akcje jak ta mają jeszcze jedną wartość: edukacyjną – mówi Kuba Urbański. Ludzie nad Bugiem funkcjonują, żyją z przyrodą na co dzień. Intensywniej niż większość. Ale często opierają się na fałszywych informacjach, nie mają narzędzi, by zrozumieć konsekwencje pewnych decyzji. I to warto tłumaczyć, przekazywać. Bo to będą ich konsekwencje.

Tutaj rolnicy jeszcze parę lat temu chcieli wystrzelać bobry do nogi, bo zalewało im niskie łąki nad rzeką – mówi Długowski. Dzisiaj mówią, że tylko dzięki bobrom wysokie łąki jeszcze nadają się do wypasu. Zmiany klimatyczne, przedłużające się susze najmocniej dotkną rolników i najbiedniejszych. Musimy się tego nauczyć. Może wtedy zaczniemy nie tylko ekologicznie dawać lajki na Facebooku, ale też ekologicznie głosować.

Bunt

Uczymy się. Może za wolno, ale się uczymy. Ta niezgoda na kolejne dramatyczne raporty i wymierające gatunki, ta klimatyczna depresja, ten ekologiczny „wkurz” to najważniejsza emocja społeczna ostatnich lat.

Przełom w Polsce był chyba podczas walki o Dolinę Rospudy – wspomina Mikołaj Gołachowski. Rospuda miała ogromne pokrycie

medialne, słyszał o niej każdy. I każdy, choćby sam przed sobą, musiał odpowiedzieć na pytanie: po której stronie jestem?

- Prawo było przeciwko ekologom - dodaję.

- Nieprawda. Planowana wtedy nad Rospudą obwodnica Augustowa miała zniszczyć obszar Natura 2000, stała w wyraźnej sprzeczności z prawem nie tylko polskim, ale też unijnym. Najgorszy scenariusz był taki, że wbrew prawu inwestorzy zbudują obwodnicę, zniszczą mokradła, po czym Unia Europejska kazałaby im ją rozebrać, więc ani unikalnego siedliska, ani obwodnicy by nie było, a w dodatku utopiono by mnóstwo pieniędzy. Protestując, chcieliśmy uniemożliwić taką katastrofę, zapobiec lansowanej wtedy polityce faktów dokonanych. Ale to prawda, że zarówno Greenpeace, jak i Extinction Rebellion w swoich akcjach czasem łamią prawo w imię wyższych wartości. Jeden warunek: nie ma w nich agresji. Taka jest istota obywatelskiego nieposłuszeństwa: bywają sytuacje, w których można i trzeba złamać prawo. Ja się na to godzę.

Dziś to nie tylko Greenpeace, ER, nie tylko duże organizacje ekologiczne. Dziś troska o klimat jednoczy jeszcze bardziej niż w 2008 roku w Dolinie Rospudy. Angażuje. Aktywiści stają się symbolami, jak 16-letnia Szwedka Greta Thunberg. Na strajk klimatyczny w Montrealu przyszło pół miliona osób. W Krakowie nieco ponad 2 tys., ale w Polsce też mnożą się oddolne zrywy, takie jak ten Długowskiego. W obronie rzek powstała cała Koalicja Ratujmy Rzeki (ponad 60 organizacji). Część bierze się ze strachu, część ze złości na niemoc rządów i korporacji. To o klimat ludzie są gotowi walczyć. Są gotowi wyjść na ulice, jak pokazał szkolny strajk dla klimatu. Są gotowi wziąć worek i sprzątać śmieci. Są gotowi się zdenerwować.

Ta walka jest spontaniczna. Oddolna i nieudolna. I jedyna, jaką mamy. Długowski mówi, że jest już za późno na posty na Facebooku i niebranie słomek w barze. Że skończymy na patelni. I może ma rację, tylko po co w takim razie męczy się z tą tratwą? Po co pcha ją trzeci tydzień po piachu i mówi: „płyńmy ile się da”?

Szklany sufit

To prawda, obywatelskie, oddolne inicjatywy mają nad sobą szklany sufit. Jednostki nie naprawią świata, bo to nie one go psują. 95 procent wody na świecie zużywa przemysł i rolnictwo. 93 procent śmieci produkuje przemysł i rolnictwo. Twoja słomka nie ma żadnego znaczenia. Poza jednym.

Długowski nazywa to budowaniem popytu na zmianę. Golachowski mówi o burzeniu systemu. Kuba Urbański dopowiada: *Przyzwyczailiśmy się, że ktoś robi coś za nas. A o to chyba będziemy musieli zawalczyć sami. Pokazać, że nam zależy, że wszystkie ręce na pokład. I każda inicjatywa, niezależnie czy społeczna, czy korporacji, wszystko, co chroni przyrodę, jest cenne.*

Cumujemy tratwę. Dalej płynąć się nie da. A nam się już nie chce pchać po piachu. Zostanie tu do jesieni, potem się zobaczy. Wracamy. Łukasz jedzie do Warszawy. Zły, brudny, zmęczony. Za kilka dni urodzi mu się córka. Chciałby, żeby było jej dobrze.

Jeśli coś z tego spływu ma znaczenie, to właśnie złość. Nie tratwa, nie opowieść, nie dane statystyczne. Złość. Wszyscy bohaterowie tego tekstu, wszyscy aktywiści ekologiczni zgadzają się w jednym: system nie zburzy się, chyba że będzie mu się to opłacało. Chyba że go zmusimy. Być może korporacje zaczną troszczyć się o klimat prawdziwie, a nie tylko w działach marketingu. Być może politycy zaczną podejmować niepopularne, trudne decyzje. Być może nawet doczekamy, że koncepcja rezerwatów obywatelskich stanie się wiralem. Będzie promowana, udostępniana, wspierana przez wielkie firmy. Być może doczekamy rezerwatu Allegro, puszczy IBM-u i parku narodowego Toyoty. Być może. Jeśli wkurzymy się wystarczająco mocno.

Krzysztof Story – stały współpracownik „Tygodnika Powszechnego”, wcześniej związany z krakowską redakcją „Gazety Wyborczej”. Publikował m.in. w: „Dużym Formacie”, „Newsweeku” oraz magazynie „Kontynenty”. Píše głównie o tematach społecznych. Z tego społecznego zacięcia od dwóch lat prowadzi projekt Za Drzwiami. Zbiera historie ludzi z całej Polski mieszkających pod jednym, losowo wybranym adresem. Poza wieloma publikacjami historie te ukazują się również w podcaście zrealizowanym przez RMF Classic.

Samorządność obywateli

Martyna Wojtkowska

{Brudne, opatrunek, czyste}

Poniedziałek, 14 maja

Adasiu, kochany, jeszcze tylko dziesięć kroków. – Bożena prowadzi pod rękę swojego partnera. Para, z wyglądu, dobrana w kontraście. On – wyciągnięty, zapadnięte policzki. Szary sweter zasunięty pod szyję. Ona – rozczochrana, pstrokata, z odsłoniętym biustem. Cienkie paski różowych sandałów wpijają się w brudne stopy. Suną powoli, na czterech miękkich nogach. Mężczyzna utyka, ona łapie równowagę za dwoje. Przy murku Adam zaciska mocniej pulchną dłoń Bożeny. Niezdarnie sadowią się na granitowej płycie. Przyszli pierwsi, będą pierwsi w kolejce. Jest jeszcze dziewczyna z walizką na kółkach, ale Bożena wie, że zniknie, kiedy tylko pojawią się inni pacjenci.

Dziesięć minut później na kilkumetrowym murku czeka już piętnaście osób. Na widok samochodu medyków Bożena zrywa się na równe nogi. *Aniu, jesteście, nareszcie! Zobacz, co z moim Adasiem. Aniu, kochana, proszę. Ja wiem, że ty mu pomożesz!*

Troje wolontariuszy wypakuje z ciemnoszarego vana skrzynię ze sprzętem, przyklejają do granitu reklamówkę na śmieci, zakładają jednorazowe rękawiczki. Anka rozdziela zadania. *Ja i Paweł opatrujemy. Bartek, dzisiaj jesteś biały.*

„Biały” nie dotyczy pacjentów. Podaje maści, bandaże, nożyczki. Medycy nie rozdają numerków i nie pilnują kolejności. Po prostu kucają przy nogach.

Pacjent 1.

Ała, ała, ała... Obolały mężczyzna zdejmuje buty, podciąga nogawki do kolan, odsłania obandażowane stopy i łydki. Anka powoli odwija opatrunek przesiąknięty żółtym płynem. Drażni

się z sześćdziesięcioletnim facetem, jak z dzieckiem. *Oj, boli, boli, boli, boli...*

On odpowiada jękiem: *Ała, ała, ała...* Ropy boi się śmiertelnie, tak jak szczypania, bo jest przekonany, że jedno i drugie może wywołać raka. Nogi ma zapuchnięte, sine, lepkie. Anka spryskuje je wodą z mydłem, smaruje maścią, owija w nowe bandażę i zakłada pacjentowi świeże skarpety.

Teraz moja kolej! – Bożena się niecierpliwi. Żaden z medyków nie reaguje.

Pacjent 2.

Wymiana. Bartek daje Romanowi tabletki przeciwbólowe i czyste skarpety. Roman odwdzięcza się lukrowym barankiem. *Teraz ja!* – Bożena krzyczy z odległości. Cisza. Od strony Złotych Tarasów człapie Krzysztof. Zakapturzony, do ziemi ciągnie go plecak moro. Na nosie ma okulary przeciwsłoneczne w złotej oprawie. Wygląda jak gwiazda, z tajemnicą. Medycy znają przykry sekret. *Raz, dwa, trzy, dzi-siaj, lar-wy, zbie-rasz ty!* – wyliczają między sobą. Wypada, że Paweł zajmie się Krzysztofem.

Pacjenci 3. i 4.

Ula i Robert. Razem na murku, przy piwie, na pustostanie. Jak przyjaciele. Na nogach jednakowe dziury. Ula mówi, że pogryzły ich meszki. Może pluskwy. Robert chowa oczy w cieniu bejsbolówki. Tęgie ciało kurczy się z bólu pod ortalionową kurtką. Pechowa ta prawa kończyzna. Dopiero co ją wyleczył, a tu nowa dziura, na pięć centymetrów. Trzy dni temu nie było jeszcze żadnego śladu. Anka ostrzega. *W takim tempie ta cholera się rozrasta, że nie wiadomo, co będzie jutro. Może być martwica. Przyjdź w piątek, zobaczmy.* Bożena nie odpuszcza. Nagabuje zza pleców: *Aniu, kochana, pomóż Adasiowi.*

Pacjent 5.

Józek jak zwykle przyszedł z dowcipem. *Mnie, dziecinko, z przyjemności na „p” zostało już tylko „patrzyć”*. Ale nie patrzy, kiedy wolontariuszka, milimetr po milimetrze, rozdziela mu palce prawej stopy. Rzuca tylko: *Rób, dziecinko, nie boli*. Zagaduje serią nieprzyzwoitych żartów, potem nuci coś pod nosem.

Pacjent 6.

Paweł wygrał wyliczankę i teraz wisi nad Krzysztofem. Noga bez łydki, pięty, kostki. Kawał mięsa. Rozlazły, nieludzki. Płynie i cuchnie. Nakłada grubą warstwę maści i czeka aż robaki w panice wypełzną na powierzchnię stopy. Krzysztof ciężko dyszy. Kiedyś nosił czarne, dopasowane pantofle, rozmiar 44. Co niedzielę chodził w nich ze swoim synkiem, Kacperkiem, do kościoła, a potem na lody. Teraz już by ich nie wcisnął. Od piętnastu lat stania na parkingu przy Centralnym stopy urosły mu o dwa numery. Nosi adidas, 46. Rozklepuje zapiętki i luzuje sznurówki, żeby było wygodniej.

Bożena już nie męczy. Widzi, że Anka kuca przy Adasiu.

Pacjent 7.

Oberwał metalowym prętem w pieszczel na squacie. Wolontariuszka czyści dziurę, przemywa wodą utlenioną, smaruje maścią, zawija bandażem i poucza, żeby nie zdejmował do piątku, dla higieny. Bożena cały czas ściska kurczowo ramię partnera. *Adasiu, wytrzymaj, zrób to dla mnie!* Łzawią mu oczy. Anka chce zajrzeć, ale zrobiło się ciemno i nie widzi za dobrze. Prosi, żeby pacjent odchylił głowę w stronę światła, czyli do Marriottu. Na koniec wizyty Adaś dostaje nowe skarpety dla siebie i partnerki. Bożena pokazuje na migi, że chce porozmawiać, na boku. Planuje uciec od brutalnej miłości partnera i stanąć na własnych nogach. Nie wie jak i prosi o pomoc. *Przyjdiesz trzeźwa w piątek, załatwię ci detoks* – Anka obiecuje, ale nie wierzy w kolejny nowy początek. Nie ten etap, nie ten człowiek. Zmienia rękawiczki i pochyla się przy kolejnych nogach.

Medycy na Ulicy dyżurują w każdy poniedziałek i piątek przy warszawskim Dworcu Centralnym, na rogu Alei Jerozolimskich i Emilii Plater. Zaczynają o dwudziestej i opatrują do ostatniego pacjenta. Zazwyczaj przychodzi około piętnastu, ale zdarzają się dyżury, kiedy na dwóch medyków przypada pięćdziesiąt osób. Wtedy kończą pracę o pierwszej w nocy. Leczą głównie nogi, bo kończyny bezdomnych nie wytrzymują życia w pionie. Włóczą się całymi dniami, rzadko śpią na leżącym. Serce cały czas walczy z grawitacją. W rezultacie pojawiają się zaburzenia krążenia. Obrzęki, żyłaki, owrzodzenia. Do tego alkohol, brud, robaki. Nogi zachodzą martwicą. Robią się czarne, milimetr po milimetrze. Nie ma krążenia, nie ma czucia. Można kłuć, a człowiek nawet się nie skrzywi. Czasami palce odpadają same, jak u Waldka, który razem ze skarpeta ściągnął trzy palce prawej stopy. Zdarzają się autoamputacje. Bywa, że pacjent przychodzi z kończyną prawie osobno. Dotykasz palca, a on odpada, bo jest odmrożony zimą – opowiada wolontariuszka.

Na murek przychodzą nie tylko bezdomni. Pojawiają się też ludzie w trudnej sytuacji ekonomicznej, bez świadczeń, bez ubezpieczenia, jak ponadosiemdziesięcioletnia pani Janeczka. Wolontariusze nazywają ją „najukochańszą babcią świata”.

W ekipie Medyków Anka jest od początku, od 2010 roku. Zaczynała jako studentka psychologii, pod okiem dwóch ratowników. Pracowała z ofiarami przemocy i wtedy poznała pacjenta dotkniętego bezdomnością. Od niego wszystko się zaczęło. Zawsze mówiłam, że nie podam ręki pijakowi, bezdomnemu, który sam sobie ten los zgotował. Ale dopiero jak z nim pogadałam, zobaczyłam sytuację z bliska, przekonałam się, że byłam strasznie głupim człowiekiem. Nie rozumiałam, że są ludzie, którzy rodzą się na równi pochyłej.

Anka szkoliła się i angażowała w różne ekipy streetworkerów, zapaleńców, którzy chcieli pomagać. Wystarczyły dwie ręce i apteczka. Na początku sami szukali potrzebujących. Szwendali się po różnych dzielnicach, pustostanach. Aż osiedlili się na murku. Założyła fundację Fortior, której jednym z głównych działań są „Medycy na Ulicy”, czyli udzielanie bezdomnym pierwszej pomocy medycznej i psychologicznej. Skład Medyków

ciągle się zmienia. Wolontariusze pojawiają się spontanicznie. Dowiadują się o możliwości pomagania pocztą pantoflową i po prostu przychodzą. Byli tacy, którzy wytrzymywali kilka lat, ale często nowa twarz pojawia się raz, skrzywi się i już nie wraca.

Paweł, specjalista BHP na Politechnice Warszawskiej, zaczął swoje dyżury w lutym 2017. Bartek, zawodowo ratownik medyczny, w październiku 2016.

Piątek, 18 maja

Przechodnie ubrani lepiej, na okazję piątkowego wieczoru. Rozkołysane ruchy, wolniejsze kroki. Fryzury ułożone i pogłębione dekolty. Kiedy mijają szpitalny murek, zostawiają za sobą perfumowane podmuchy. Bywa, że na widok pacjentów ktoś zwolni, zmarszczy czoło, ale z reguły, żeby nie być zbyt blisko, przechodzi drugą stroną. Bożena nie przyszła. Nie ma Adama.

Pierwszy raz jest Ola, studentka ratownictwa z pierwszego roku. Przyszła pomóc, prosto po pracy. Ma na sobie jeszcze koszulkę restauracji, w której serwuje burgery. Pyta, gdzie może się przebrać w ratownicze ciuchy, ale w tej przychodni nie ma przebieralni, ani toalety. Słyszy tylko: „Jak będziesz gotowa, zacznij od Krzysztofa, na chrzest bojowy”.

Pacjent 1.

Jeśli coś uszkodzisz, odgryzę ci ucho. Krzysztof mierzy Olę jedynym sprawnym okiem. Drobną wolontariuszka kuca przy jego nogach. Cienkimi rękami odwija bandaż. Krzysztof podrywa się i syczy, bo szarpnęła za mocno na wysokości łydki. Bandaż przykleił się do mięsa. Dziewczyna podskakuje razem z pacjentem, jakby poczuła ból na sobie. Przeprasza. Po wszystkim mówi, że spodziewała się większych robali. Tłustych. Bartek odpowiada z szerokim uśmiechem: *Poczekaj aż przyjdzie lato i robi się cieplej.*

Pacjent 2.

Ała, ała... Paweł rozcina pacjentowi jeansy, potem skarpety. Opatruje. Zakłada nowe, frotte, z napisem „Tommy Hilfiger”. Nacina ściągacz od góry, żeby naciągnąć na opuchniętą kostkę.

Pacjent 3.

Roman znowu przyszedł z prezentem. Kieszonkowa latarka. Przyda się na dyżurze, kiedy się ściemni. Brudne skarpety. Opatrunek. Czyste skarpety.

Pacjent 4.

Józek w piątkowym nastroju. Podśpiewuje. „Jak człowiek bidny, niech nie umiera nigdy. Za bogatym to idą, a za biednym się wstydzą”. Kiedyś nikt się go nie wstydził. Rodzice byli dyrektorami w państwowych placówkach i dbali, żeby synuś zawsze miał kanapki do szkoły, z szynką albo baleronem. Jak mu się nudziły, robił wymiany z kolegą z ławki, na chleb ze smalcem. Chciał wycieruchy z Peweksu – wystarczyło powiedzieć mamie. „Tato, kupisz korkotramпки na boisko?”. „Synuś, nie ma problemu”. Dzisiaj nosi buty, jakie mu dadzą. Rozmiar 44. Skarpety 46, żeby zmieścić opatrunek. Brudne. Opatrunek. Czyste.

Pacjenci 5. i 6.

Rana Roberta rozlazła się po nodze, oplata łydkę dookoła. Anka namawia na szpital. Potrzebny chirurg. Robert nie słucha, majaczy: *Ja w ciebie wierzę, Ania, jesteś cudotwórcą, przecież raz mi uratowałaś tę nogę, to uratujesz też drugi. Ania, no...*

Brudne. Opatrunek. Czyste. *I błagam cię, nie zdejmuj bandaża.* Błaga, bo wie, że z raną na wierzchu jej pacjent więcej złowi „na wędkę”, kiedy zaczepi grupę studentów tekstem „Zbieram na międzynarodową akcję walki z kacem”. Rana to przynęta. Im gorsza, tym lepsza. Ula obiecuje, że dopilnuje przyjaciela. Prosi, żeby wolontariuszka obejrzała jej głowę. Coś ją pogryzło. Chyba „odzieżówki”.

Pacjent 7.

Nowy. Nazywa się Leszek. Zarośnięty, brudny, zionie alkoholem. Pokazuje prowizoryczny opatrunek. Palec zabezpieczony chusteczką higieniczną i taśmą pakową. Była akcja. Facet uwiesił mi się zębami na palcu. Próbował mnie okraść i wywiązała się bójka. Wolontariusz ostrożnie rozpakowuje poplamiony zwitek. Kość na wierzchu, ścięgną pognite. Zabezpiecza ranę i daje receptę: *Na szpitalny oddział ratunkowy, jak najszybciej.*

Pacjent 8.

Na wstępie przepraszam... Paweł nie pyta, za co. Znają się już długo. Im bardziej jest pijany, tym bardziej przeprasza. Dzisiaj nie nadaje się do rozmowy. Brudne. Opatrunek. Czyste.

Pacjenci przychodzą regularnie. Przy pierwszej wizycie na murku medycy zawsze zwracają się do nich per „pan/pani”, bo nawet jak ktoś jest nisko, to go podnosi. O swoich podopiecznych mówią „bezdomniaki”. Trochę bezdomni, trochę dzieciaki. W głowie, zdanie po zdaniu, zapisują karty pacjentów.

Józek spędził w zakładzie karnym 19 lat, 8 miesięcy i 17 dni. Pierwszy raz z art. 148, za morderstwo. Miał 19 lat i wcale nie chciał zabić. Uderzył kolegę w awanturze, a kolega uderzył głową o krawężnik. Na plecach tatuaż dziewczyny. Nie czekała, aż wyjdzie z więzienia. Odwiedził ją po 10 latach za kratami w Barczewie. Ugotowała obiad z dwóch dań. Na pierwsze zupa pomidorowa, a na drugie ziemniaki ze schabowym i zasmażane buraczki. Wokół stołu biegało dwoje dzieci. „Józek, mogły być twoje, ale nie chciałeś mnie słuchać” – powiedziała. Zatrzymywała go w domu, ale on poszedł na awanturę, w obronie kolegi. Nie ma do niej żalu, że znalazła sobie miłość, ale on nie chciał nowej kobiety. *Dobre dziewczyny, jak dowiedzą się o mojej przeszłości, nie będą chciały dalej rozmawiać. Ja już swoje życie przegrałem. Chuj, żaba i obcęgi.*

Krzysztof, tata Kacperka. Syna nazwał na cześć przyjaznego duszka z bajki. Kiedyś skakał po dachach, robił kominy z klinkieru. Zawsze odkładał grosz na czarną godzinę. Chował w otwieranym obrazku, z Janem Pawłem II. Oko stracił na dworcu w Pilawie. Zajechał się, chciał do Otwocka. A w Pilawie sokiści walili pałkami na oślep i jemu przypadkiem wybili oko.



Roman dziesięć razy wychodził na wolność. Do więzienia trafiał głównie za kradzieże. Wynosił co najdroższe i sprzedawał na bazarze za pół ceny. W 2000 roku jego Kasieńka zaszła w ciążę. Chciał jej podarować nowe buty, żeby miała wygodnie, kiedy

brzuch urośnie. Pojechali na Plac Zbawiciela, do markowego sklepu. Powiedział „Wybieraj, jakie chcesz”. Wybrała najdroższe, za 480 zł, a Roman miał w portfelu tylko 300. Wieczorem wszystko, co miał, wrzucił w automaty. Pechowo. Następnego dnia umył się, ubrał i pojechał do Legionowa na sklepy. Obskoczył wszystkie. Zebrał dwie reklamówki towaru i sprzedał do ostatniej sztuki pod Pałacem Kultury. 700 zł dniówki. Tego samego dnia dał dziewczynie nowe buty. „Masz, Kasieńka, kochanie ty moje. Kupiłem, bo obiecałem, że kupię”.

Tydzień w tydzień opatrują i słuchają życiorysów. Kiedy pacjent nie pojawia się dłużej, starają się dowiedzieć, podpytać. Najgorsza pod tym względem jest zima, bo nigdy nie ma pewności, czy podopieczny nie zamarzł, a może leży w krzakach i właśnie potrzebuje pomocy. Bywa, że ktoś nie przychodzi, bo właśnie wdrapał się na górkę: detoks, terapia, ośrodek, jakaś praca, nowy związek. Ale potem znowu dołek, znowu murek. I tak od lat: górką, dołek, górką, dołek. Górki i dołki zapętlone w znak nieskończoności. Medycy na Ulicy działają doraźnie. Nie chcą być alternatywą dla szpitala, pomocy społecznej, lekarzy nadziei. Redukują szkody. Jak ktoś ma robale, to je wyciągają i owijają nogę bandażem, bo nogi są niezbędne, żeby przeżyć na ulicy. Na murku nie pytają o bagnistą przeszłość, nie pytają, co dalej. Jeśli ktoś będzie chciał, pomogą zrobić pierwszy krok do innego życia. *Mamy z tego frajdę, robimy coś dobrego przez 4 godziny ze 168 godzin tygodnia. Jak przemnożysz przez miesiące i lata, wychodzi z tego niezła sumka, która odpowiada uratowaniu kilku nóg. Ktoś może wyjdzie z ulicy.*

W ciągu kilku lat jeden z ich podopiecznych wyszedł na dobre z bezdomności. Znowu gra koncerty w Harendzie.

Poniedziałek, 21 maja

Jak co poniedziałek, na murku czeka więcej pacjentów, bo obok fundacja „Daj Herbatę” rozdaje posiłki. Nie ma młodej wolontariuszki Oli. Jest Bożena z Adamem.

Pacjent 1.

Ała, ała... Oj, boli, boli, boli.

Brudne. Opatrunek. Czyste.

Pacjent 2.

Dziecinko, zagrałbym ci na akordeonie. Ale nie mam. „Wódko ma, wódko ma, któż bez ciebie radę da, jesteś miła, chociaż żrąca, ale dobra i pachnąca, ja bez ciebie nie potrafię dłużej żyć”.

Brudne. Opatrunek. Czyste.

Pacjent 3.

Zobacz, co z moim Adasiem, zrób coś. Adasiu, kochany, dasz radę. Ja cię tak kocham, wytrzymaj, proszę.

Brudne. Opatrunek. Czyste.

Pacjent 4.

Nie mówi „dzień dobry” i nie czeka, aż pacjent siądzie na murku. Po krótkich spodenkach widzi, że nie dotrzymał słowa.

- Gdzie opatrunek?

- Ania, dasz radę.

Powtarzają kilka razy mantrę na dwa głosy. Robert usiłuje uśmiechnąć się, ale kąciaki jego ust rozjeżdżają się w bolesnym grymasie. Łydka przeżarta raną. 2 cm od krawędzi - czarna aureola. Potrzebny chirurg. Medycy mówią coś o sepsie. Jak ja dam radę, to będziesz musiał dać radę chodzić na jednej nodze. Ale najpierw powinni ujechać ci głowę. I doszyć łeb jamnika. Może wtedy coś by się zmieniło.

Trudno uwierzyć, że dziewczyna w różowych jeansach może być aż tak surowa. Ale Anka ma dwa oblicza. Kiedy się wygłupia, uśmiecha - urocza dziewczynka. Kiedy ktoś jej zajdzie za skórę -

zła macocha, która nie przebiera w słowach. Robert ma podkrążone oczy. Twarz zmienia kolory. Biały, żółty, zielony. Ula próbuje łagodzić.

- Aniu, kupiliśmy Octenisept, taki sam, jak wy macie.

- Za dwa tygodnie upierdolą tę nogę, nie żartuję.

Wolontariuszka zaczyna terapię oczekiwaniem. Odchodzi na dwadzieścia minut i czeka, aż pacjent zmięknie. Po tym czasie wraca do Roberta i pyta, co dalej. Jedziemy. Razem jadą tramwajem na SOR, do Szpitala Wolskiego. Bartek z Pawłem opatrują dalej.

Anka jedzie, bo wie, że w jej towarzystwie podopieczny ma większe szanse na pomoc. Bezdomni na własną rękę niechętnie udają się do szpitala. Nikt się z nimi nie cacka. Nie mają ubezpieczenia, śmierdzą, nie wyglądają. Ich rany są przewlekłe, często pokryte larwami. Wszystko lepi się, jątrzy i płynie. Takich pacjentów trzeba pozbyć się jak najszybciej. Bywa, że uciekają sami, z diagnozą „kończyna do amputacji”. W zeszłym roku Medycy na Ulicy uratowali cztery takie nogi. Dlatego bezdomni wolą przychodzić pod gołym niebem, na rogu Alei Jerozolimskich i Emilii Plater.

Na murku dostają skarpety. Czyste. Wolontariusze przynoszą je ze swoich domów, od przyjaciół, znajomych z pracy. Po prostu zagadują: „może masz skarpety, w których już nie chodzisz?”. A kiedy kończą się zapasy, kupują bawełniane, za kostkę, rozmiar przynajmniej 42. Kupują też Octenisept do czyszczenia ran, Argosulfan na odparzenia, maść witaminową, sól fizjologiczną, bandaże, flizelinę, plastry, rękawiczki. Za pieniądze z koperty, do której co miesiąc odkładają pieniądze z wypłaty. Różne kwoty, zależy, ile uda im się zarobić. Czasem ktoś nieoczekiwanie wyciągnie do nich dłoń z pomocą. Dwie dziewczyny zorganizowały na Facebooku akcję „Daj Skarpetę”. Zaprosiły 1,2 tys. osób, 71 potwierdziło udział. Niestety, goście okazali się wirtualni, podobnie jak skarpety.

Znowu piątek, 25 maja

Nikt nowy się nie pojawił. Medycy wypakowują sprzęt, zakładają rękawiczki, Bartek przykleja do granitu tymczasowy śmietnik. Pacjent pierwszy, drugi, trzeci... Brudne, opatrunek, czyste. Chmurzy się. Anka ma nadzieję na deszcz, bo jeśli spadnie, pacjenci pochowają się w przejściach podziemnych, a oni wcześniej pojedą do domu. Jest zmęczona, ma dosyć. W poniedziałek pod szpitalem Robert z Ulą zrobili sobie imprezę. Wyciągnęli po piwie i śmichy-chichy. Niepotrzebnie świeciła oczami, żeby go w ogóle przyjęli. Kiedy patrzyła na jego pożółkłe palce ściskające puszkę z piwem, pomyślała, że taki człowiek zabiera tylko tlen. Miała ochotę złapać go za szerokie barki i wstrząsnąć z całej siły. Kiedy odkryła, że Ula ukradła maść z ich walizki, nie miała ochoty już na nic. Bartek podchodzi do tych spraw konkretnie. Po pierwsze, pacjentowi ma zależeć bardziej. Po drugie, Ula ma się nie zbliżać. Paweł nie komentuje. Wszystko, co dzieje się na dyżurach, jest nie z jego świata. Nie tak wychowali go rodzice. Nie powinno się tak szwendać. Nie powinno uciekać przed społecznym obowiązkiem. Jest w miejscu, gdzie nie działa system. A tu też jest człowiek. Tylko zagubiony. Dyżury traktuje jak lekcje.

Pacjenci nie przesiadują na murku. Kiedy są już opatrzeni, zwalniają miejsce kolejnej osobie. W świeżych skarpetach idą w swoją stronę. Na koniec często upewniają się: W piątki: A w poniedziałek będziecie? W poniedziałki: Widzimy się w piątek? Czasem proszą wolontariuszy o coś na wynos. Zapasowy bandaż, maść w słoiku. Nigdy nie dostają, zgodnie z zasadą. Muszą przyjść do kontroli, na murek. Nie rejestrują się PESEL-em, tylko obecnością.

Po każdym dyżurze medycy pakują walizki do samochodu, zabierają worek wypełniony brudnymi skarpetami i zużytymi opatrunkami, dezynfekują dłonie. Bartek spryskuje środkiem odkażającym robocze adidasy. *Trzeba to robić, bo chodzimy po tej samej ziemi – mówi.*

Rok później

11 listopada, poniedziałek

Przy murku stoi karetka, którą Medycy kupili dzięki wsparciu ludzi z Internetu. Używana, za 40 tys. zł, ale teraz, kiedy potrzeba lepszego światła, ciepła, intymności – mogą lepiej zająć się pacjentem. Na murku kolejka. Nadal czekają: Józek z garścią nieprzyzwoitych dowcipów, Krzysztof z jednym okiem i Roman, który lubi obdarowywać prezentami. Dyżurują: Anka, Bartek, Paweł, Michał (z powrotem po dłuższej przerwie), i Leszek – nowy. Zrobił kurs Kwalifikowanej Pierwszej Pomocy i od czerwca się przyucza. Ale są pacjenci, którzy mimo krótkiego stażu nazywają go doktorem. – *Jeszcze niedawno spaliśmy razem na tych samych ławkach, na tych samych hamakach pod Pałacem Kultury czy pod filarami. Jeszcze niedawno siedziałem na tym murku jako osoba w potrzebie. I mimo że nie sprzedaję im patentu na wyjście z bezdomności, to doświadczenie ułatwia mi kontakt.*

O życiu na ulicy przypomina mu lekko zdeformowany i nie w pełni sprawny wskazujący palec, nadgryziony w bójce kilka miesięcy wcześniej. Wycięli mi ścięgna, ale wszystkie palce zostały. A było zagrożenie, że trzeba uciąć dwa, przez zakażenie. O Leszka zawalczyli Medycy. Zweryfikowali jego przeszłość, pomogli załatwić operację, status weterana, terapię z psychotraumatologiem i mieszkanie treningowe. To była isierka nadziei w ogromnej ciemności. Spotkałem się ze szczerością i zrozumieniem. Poznałem ludzi, którzy byli mi przychylni i pomogli wyjść z impasu. Stałem się częścią stada.

Leszek zaczął pracę na stacji benzynowej i w mobilnym punkcie poradnictwa dla osób dotkniętych kryzysem bezdomności. Wszystkie zarobione pieniądze przeznacza na spłatę długu alimentacyjnego. Kiedy to zrobi – marzą mu się studia ratownictwa medycznego.

*

Imiona niektórych bohaterów zostały zmienione.

Od autorki: Dziękuję Medykom, że przez kilka miesięcy mogłam obserwować ich przy pracy i zadawać pytania; że odpowiadali na nie cierpliwie, mimo zmęczenia, które widziałam na ich twarzach. Dziękuję za pracę, którą wykonują, i lekcję z bycia człowiekiem.

Martyna Wojtkowska – współautorka zbiorów reportaży „Światła małego miasta” i „Izrael okiem reportera”. Nominowana do nagrody im. Teresy Torańskiej. Reportaże publikowała w „Dużym Formacie”, „Tygodniku Powszechnym”, magazynie „non/fiction”, autorka podcastu „Wolne Ścieżki”.

Samorządność lokalna

Beata Bialik

{Ulica mnie zmęczyła}

Tłum sunie środkiem mostu dębnickiego, w deszczu zatrzymują się przed nim samochody. Kilkadziesiąt tysięcy kobiet ubranych na czarno, ich dzieci, partnerzy, kumple, być może ojcowie i bracia. Jest 3 października 2016 roku. Idą w milczeniu ulicami Krakowa, niektóre w geście symbolu zaklejają usta, niosą parasole.

Gdzieś z przodu idzie Lana Dadu. Zamaszystą, wysoka, góruje nad tłumem. Rozgląda się nerwowo, jest organizatorką. Bała się, że przyjdzie garstka osób, ale gdy tłum zgromadzi się pod pomnikiem Mickiewicza wypełniając szczelnie płytę krakowskiego rynku, rozplacze się jak dziecko, zmęczona, siadając obok wieszczą. Nim wszyscy protestujący dotrą na rynek, będzie już ciemno.

Katarzyna Żeglicka (przez bliskich nazywana „Żegluga”) mocniej zaciśnie pięści na niesionym transparencie. Przyszła tu w imieniu wszystkich kobiet z niepełnosprawnościami, dla niej to nie pierwsza. Od roku jest prezeską stowarzyszenia Strefa Wenus z Milo i protestuje na ulicach.

Jest także i Kaśka Wójtowicz. To jej pierwsza demonstracja. Barmanka, jeszcze bez szczekaczki, z którą za chwilę będą ją pokazywać w lokalnych mediach. Na razie stoi jak zaczarowana, porywa ją krzyczący tłum i czuje, że sama też ma dość milczenia. Za niecałe dwa lata stanie na czele ruchu pod tą właśnie nazwą.

I choć dawno minęła godzina zgłoszonego protestu, tłum się nie rozchodzi. Tysiące kobiet tańczą skandując hasła o swoich prawach, ciele i o odbieranej im przez rząd wolności. Jeszcze się nie znają. Nie wiedzą, że właśnie zaczęły swoją walkę. Kaśka z Kościołem katolickim, Lana o prawa kobiet, a Katarzyna o godność. Dokąd zaprowadzą je uliczne protesty?

Lana ratuje kobiety

Jak to się stało, że nikomu nieznana przewodniczka z Litwy stanęła na czele największego marszu w Krakowie? Kiedy w 2016 roku pytali o to dziennikarze, Lana odpowiadała, że przez przypadek. I że aktywistką została na tydzień przed „czarnym poniedziałkiem”, kiedy poszła na pierwszą w życiu demonstrację. Całą noc szukała w sieci kogoś, kto w Krakowie zorganizuje strajk. Pytała na lokalnych grupach, stowarzyszeniach i organizacjach, ale nikt nie wierzył w powodzenie marszu. W końcu zgadła się z Justyną. Rano było wiadomo, że strajk zgłoszą we dwie. Potem był 8 marca i kolejne strajki przeciwko zaostrzeniu przepisów dotyczących aborcji. Lana zaangażowała się w ogólnopolski strajk kobiet, w Krakowie stanęła na czele stowarzyszenia ([S]prawa kobiet – przyp. red.). Pikietowała przeciwko drastycznym bilbordom Pro prawo do życia, wspierała akcje KOD-u. Zimą spędzała, zbierając podpisy na dofinansowanie przez Kraków in vitro, w wakacje stała pod sądem.

Trzy lata później, gdy jest już po wszystkim, siedząc w swojej kuchni, Lana przyznaje, że prawdziwym powodem był strach. Strach przed zmianami w ustawie, które sprawią, że poronienie stanie się karalne. Strach, że gdy pójdzie do ginekologa po kolejnej nieudanej ciąży, on zgłosi to prokuraturze. Strach, że kraj, który wybrała do życia, zechce sądzić ją za ciało, które niedomaga.

Była po czterech poronieniach i przestała popierać „aborcyjny kompromis”. *Poznawałam historie innych kobiet i zaczynałam rozumieć, że moje doświadczenie jest w tym wszystkim nieważne. Zobaczyłam, że zajście w niechcianą ciążę jest takim samym problemem jak „niezajście” było moim. I że są kobiety, które nie umieją o tym głośno mówić – tłumaczy. 3 października postanowiła, że będzie ich głosem.*

W Strefie Wenus z Milo

Coroczne manify, marsze równości, panele dotyczące dyskryminacji i praca w stowarzyszeniu Strefa Wenus z Milo na pełen etat. Nigdzie nie mogło jej zabraknąć. Na demonstracjach odczytywała swój manifest. Niepozorna, drobnej budowy, przejętym głosem krzyczała o godności. W imieniu dziewczyn poruszających się na wózkach, niewidzących lub z dużą wadą wzroku jak ona, głuchych lub z innym rodzajem niepełnosprawności. Głośno mówiła o tym, że mają dość. Ciągłego wyręczania przez zdrowych, upokorzeń w lekarskich gabinetach, upupiania na codzień i barier w przestrzeni publicznej. Po to założyła stowarzyszenie. By wspólnie mogły same zmieniać rzeczywistość.

Strefa była moim dzieckiem. Mogłam siedzieć w domu, pisać projekty i walczyć o zmiany. Przez pierwsze cztery lata działałyśmy kompletnie bez pieniędzy, łądowałyśmy w stowarzyszenie całą energię, ale działało się dobrze. Miałyśmy dwa etaty, cztery duże projekty, w tym grant na 80 tys. W szczytowym momencie zdecydowałyśmy o rozwiązaniu stowarzyszenia.

Kaśka kontra kler

Uwolnienie od wiary przychodziło powoli. Najpierw gdy starszy syn wrócił zapłakany ze szkoły, bo katechetka powiedziała, że niepełne rodziny są patologiczne. Kaśka Wójtowicz była świeżo po rozwodzie, nie mogła zrozumieć, jak wspólnota zamiast wspierać ją w wyjściu z trudnego związku, każe zapomnieć i wybaczyć.

Potem przeczytała Biblię. Od deski do deski. Wkurzyło mnie, że w Starym Testamencie kobiety są traktowane jak podgatunek ludzki. Pomyślałam też, że trzeba być niezłym psychopata, lubując się w śmierci innych osób, a jednocześnie nauczać, że nie wolno zabijać drugiego człowieka – wspomina. Wtedy jeszcze ta myśl ją zawstydziła.

Wiem, że nie łatwo jest odejść z Kościoła, sama tkwiłam w nim ponad trzydzieści lat – tłumaczy. Jako dziecko miałam straszną indoktrynację. W mieszkaniu babci na ścianach wisiały obrazy przedstawiające Jezusa z krwią płynącą po twarzy. Babcia zawsze powtarzała, że on się smuci, kiedy robię coś złego – opowiada.



Po Czarnym poniedziałku ziarno zostało zasiane. Kwestia Kościoła chodziła za Kaśką Wójtowicz od dawna, ale na tamten czas był to problem omawiany grzecznie, gdzieś w kuluarach. Na marszu zrozumiała, że świat wokół może zmieniać zwykły obywatel czy obywatelka. Zaczęła szukać antyklerykalnych grup, stowarzyszeń, i tak trafiła na Fundację Wolność od Religii. Szybko zorientowała się, że nie w taki sposób chce protestować przeciwko polityce Kościoła katolickiego. Organizowali głównie zamknięte debaty, gdzie wszyscy się znali. A ja chciałam wyjść z tym poza

ateistyczne środowisko, ruszyć temat w przestrzeni publicznej – wyjaśnia.

Latem 2018 roku pod Muzeum Narodowym w Krakowie zorganizowała pierwszą otwartą dyskusję o roli Kościoła w polityce i życiu kobiet. Nie zaprosiła żadnych przedstawicieli Kościoła katolickiego. Uznała, że mają dość przestrzeni na co dzień i nie warto oddawać im głosu. Przyszło kilkadziesiąt osób. Otwarcie mówiły, co złego zrobił im Kościół. Tak zaczął formować się trzon grupy „Dość milczenia”, zaczęli planować kolejne manifestacje. Pierwsza, pod hasłem „Pamiętamy, stop pedofilii w Kościele katolickim”, odbyła się jesienią pod kościołem św. Floriana w Krakowie. Wybór miejsca nie był przypadkowy, to tu swoją karierę rozpoczynał Karol Wojtyła. Zanim wzięłam szczekaczkę do ręki, trochę się bałam. Przemawiałam całkiem sama, w sumie było nas tam pięć osób. Przechodnie pukali się w głowę, starsze panie straszyły piekłem, mówiły, że będą się za nas modlić.

Nigdy nie zarejestrowali oficjalnego stowarzyszenia, bo jak twierdzi Wójtowicz, grupę przypadkowych osób z Internetu trudniej pociągnąć do odpowiedzialności, uciszyć. Organizują kilkadziesiąt wydarzeń rocznie. „Jędraszewski – siewca nienawiści”, „Winny – nieświęty”, „Hańba biskupia” to tematy niektórych z nich. Cyklicznie stoją pod krakowską kurią, wspierają ofiary pedofilii w sądach, robią też wydarzenia międzymiastowe i walczą o świeckie państwo.

Każdego, kto chce dołączyć, pytam, czy zdaje sobie sprawę, że jesteśmy w stu procentach antyklerykalni i uważamy Kościół za instytucję przestępczą. Nie ma tu miejsca na myślenie, że niektórzy księża są dobrzy – podkreśla Kaśka Wójtowicz.

Kiedy aktywizm staje się obsesją

„Kluczowe dla zapobiegania rozwojowi uzależnień od aktywizmu jest wypracowanie równowagi pomiędzy różnymi sferami życia. (...) Istotne jest stawianie sobie różnych granic, na przykład

dotyczących maksymalnego czasu przeznaczonego na podejmowanie danej aktywności” – piszą autorki i autorzy książki *Walcz, protestuj, zmieniaj świat*. Pytam krakowskie aktywistki, jak w czasie wzmożonej aktywności wygląda ich doba.

Kaśka Wójtowicz: W tygodniu spędzam czas z synem. Jedną ręką bawię się autkiem, a drugą odpisuję na tysiące powiadomień, przygotowuję grafiki, dogaduję, jak ma wyglądać demonstracja. Jeżeli idę do pracy, to sporo rzeczy ogarniam w autobusie lub w przerwie między robieniem drinków. Pracuję trzy razy w tygodniu od 20.00, jak jest zapieprz, na tyłku siadam o 8.00 rano. Niedziela? Też nie jest dla nas, bo stoję z protestującymi pod kurią, Filipkiem zajmuje się tata. Sen? Jakies cztery razy w tygodniu.

Katarzyna „Żegluga” Żeglicka: Pracowałam po jedenaście godzin, to było ogromne emocjonalne obciążenie. Bez wakacji, bo wszystkie wyjazdy, nawet jak odbywały się w ładnym miejscu, wiązały się z aktywizmem. Siedziałam w łóżku z komputerem, a mój Emil mówił: odłóż, tutaj już nie pracuj. Brałam więc książkę, ale w głowie kłębiło się coś zupełnie innego. Ciągła gonitwa myśli, że jeszcze to czy tamto zostało do zrobienia.

Podobnie było z Laną. Protesty pod sądami odbywały się w lipcu, w samym środku sezonu wycieczkowego. Od rana oprowadzała zagranicznych turystów, potem biegła pod sąd. Zamiast opowiadać o starym Krakowie, tłumaczyła zebranym, o co chodzi z tą sprawiedliwością. Nocami przygotowywała wydarzenia na Facebooku. Ja się naprawdę dojechałam. Fizycznie, finansowo i nic z tego nie wyszło. Niepotrzebnie zaczęłam się łapać wszystkiego. Tu demokracja, tam sądy, do tego in vitro. Trzeba było robić jedno. Mieć czas dla siebie, dla pracy, trochę oddechu – mówi dzisiaj.

Te relacje nie dziwią Joanny Grzymały-Moszczyńskiej, psycholożki z Uniwersytetu Jagiellońskiego, współautorki książki *Walcz, protestuj, zmieniaj świat*, na co dzień zajmującej się zagadnieniem wypalenia aktywistycznego. Nie możemy eksploatować się w nieskończoność. Poczucie fizycznego wyczerpania w końcu sprawia, że się odcinasz, przestajesz czuć relację z działaniem,

które wcześniej przynosiło satysfakcję – tłumaczy. Z czasem zaczynają więc irytować cię sprawy i osoby, z którymi i dla których pracujesz. Towarzyszy temu cynizm i przekonanie, że nasze działanie nie przynosi efektów. To pierwsze objawy wypalenia – podkreśla badaczka.

Trudności i rozczarowania

Prowadzenie organizacji dla osób z niepełnosprawnościami na każdym kroku wiąże się z trudnością. Bo jak wykazują badania, osobom z grup stygmatyzowanych trudniej jest działać już na samym wstępie. Dobrze ilustruje to przykład Katarzyny „Żegluga” Żeglickiej, która silnie identyfikuje się z reprezentowaną przez siebie grupą. Każda z nas miała inną niepełnosprawność. Część była na różnym poziomie rozumienia działań organizacji. Więc zanim wszystkie dotarłyśmy, wyjaśniłyśmy różne kwestie, mijały dwie godziny. Zanim zaczynało się właściwe zebranie, miałam już dosyć – wspomina.

Dlatego w statucie stowarzyszenia napisały, że chcą online organizować zebrania zarządu, przez co sąd wstrzymał rejestrację organizacji. Odbijały się od Rzecznika Praw Obywatelskich, tłumaczyły, że niektóre z członkiń są spoza Krakowa, inne poruszają się na wózkach. Udało się dopiero po dwóch miesiącach.

Problemem początkowo było też pozyskiwanie finansowania przez stowarzyszenie, bo generatory wniosków nie były dostosowane dla osób niedowidzących (to jeden z sukcesów Strefy, udało się to zmienić i dziś większość organizacji uwzględnia to w procedurach). Nawet zwykłe zgłoszenie stowarzyszenia w Krajowym Rejestrze Sądowym nie przebiegało gładko, Katarzyna „Żegluga” Żeglicka opisuje je tak: Stajesz w kolejce, dostajesz numerek i czekasz. Od momentu, aż on się wyświetli, masz zaledwie minutę na dojście do okienka. Nie zdążysz? Kolejka przepada. Więc przepadnie zawsze, gdy jesteś osobą niedowidzącą.

„Napotykać na ścianę, w postaci sztywnych instytucji czy skoncentrowanych na utrzymaniu władzy polityków, aktywiści mogą odczuć zrezygnowanie i bezsilność (Walcz, protestuj, zmieniaj świat, s. 310). Nawet najsilniejsza osoba, jeśli należy do grupy, w której obowiązują normy sprzyjające wypaleniu może w którymś momencie stracić siły i entuzjazm w działaniu” (Walcz, protestuj, zmieniaj świat, s. 322).

Lana: W Sprawie kobiet byłam zbieraczką dobrych pomysłów. Na akcję, na hasła czy protest. Ale już do samego robienia ludzi nie było. Więc się złościłam, bo chciałam robić, nie paplać. Sady? Robiłam tam za przynętę. Raz jeden działacz z KOD-u powiedział mi niby w żartach: ty nie myśl, że jesteś potrzebna, ale jak będziesz, to i kobiety przyjdą. Wiem też, że nie skorzystałabym z programu in vitro. Nie stać mnie, a poza tym... przecież jestem tylko Litwinką w Krakowie, nie mam obywatelstwa.

Kaszę Wójtowicz najczęściej zawodzą inni. Po każdym proteście wracam do domu i obiecuję sobie, że więcej nie pójdę. Mam żal, że nikt nie chce się przyłączyć, że sama tam stoję, a sprawa przecież jest wspólna. Dostaję mnóstwo wsparcia od ludzi, lokalnych polityków, więc pytam: gdzie, k...wa, wszyscy jesteście? Bo na nasze akcje przychodzi zaledwie garstka.

Żal do siebie samej ma Katarzyna „Żegluga” Żeglicka. Ja zagarnęłam tę Strefę dla siebie, dziewczyny zarzuciły mi, że zabezpieczam w niej tylko swoje potrzeby. Napisałam manifest. Myślałam, że nasz wspólny, kobiet z niepełnosprawnościami. Okazało się, że jest tylko mój, taki, jak ja to czuję. I że nie mogę mówić jednym głosem za nas wszystkie.

Miłość w czasach aktywizmu

Wchodząc do nowej grupy, często przechodzimy fazę zakochania. Wszystkie osoby są takie super, wydaje nam się, że dla nich możemy zaniedbać rodzinę, rzucić pracę i siedzieć w tym gronie,

robiąc te wszystkie ważne, aktywistyczne rzeczy – mówi Joanna Grzymała-Moszczyńska. Nie spodziewamy się jednak, że ten etap minie, i jak później ewoluować będzie taka relacja.

Pytam o to Kaśkę Wójtowicz: W „Dość milczenia” wszyscy nawzajem bardzo się potrzebujemy. Czy tylko w kontekście sytuacji w kraju, tego nie wiem. Gdyby nie było już o co walczyć, gdyby zniknął Kościół katolicki, pewnie nie ze wszystkimi pozostałabym w kontakcie. Czy są to przyjaźnie na całe życie? Raczej trzymaj nas wspólny wróg.

Kiedy Grzymała-Moszczyńska zaczyna mówić, że wiele związków rozpada się przez wzgląd na aktywizm jednej ze stron, dziewczyny żywo zaprzeczają. Z Emilem mówimy jasno o swoich potrzebach. Dużo rozmawiamy, to trzon naszej relacji. Wszystkie te trudne rzeczy związane ze Strefą jeszcze nas bardziej scaliły, choć nie raz widziałam przerażenie na jego twarzy – mówi Żeglicka.

Obecność partnera, Wiktora, w swoim aktywizmie, również mocno podkreśla Lana: Byliśmy w tym razem, mogłam się mu wyżyć. Paliłam dwie paczki fajek na dzień, a on z troską podsuwał mi witaminy. Teraz jesteśmy bliżej, choć przez te dwa lata byłam dla niego fizycznie nieobecna. Czasem czuję, że on się wciąż boi, że coś się wydarzy i mnie znowu poniesie.

Kaśka Wójtowicz: Kacper mnie wspiera, jest od początku moich działań. Pomaga mi od strony zaplecza, ogarnia grafiki na ulotki, stronę internetową. To zajmuje sporą część naszego związku. Spędzamy czas razem, ale zamiast rozmawiać o przyszłości, przygotowujemy tematy do poruszenia na najbliższym proteście.

Dziewczyny mówią pass

Pod koniec lata 2018 roku Lana zaczyna odcinać się od większości ludzi poznanych na protestach. Ciągłe ktoś dzwonił i mówił: chodź, zróbmy to czy tamto, a mnie chciało się krzyczeć. Czułam, że nie chcę tych samych twarzy przy różnych tematach, że dość mam już swojej gęby wyskakującej z lodówki. Ostatnią

akcję klejenia nocą plakatów zrobiła 29 września 2018 roku. Było fajnie, jak zawsze na takich wypadach. Ale gdy rano tą trasą szłam do pracy, to plakatów już tam nie było – wspomina. Wcześniej powtarzałam sobie, że ważny jest sam fun, że są w tym fajni, zaangażowani ludzie. Ale ja ich widziałam częściej niż mojego Wiktora. I już nie czułam funu.

Katarzyna Żeglicka powoli łapała się na tym, że w pracy najlepiej czuje się sama. Sił zaczynało brakować, gdy miała spotkać się z ludźmi. Do tego doszły nocne koszmary. Budziła się wystraszona, z wiecznie spiętym ciałem. To był szczytowy moment działalności stowarzyszenia. Ludzie dzwonili z gratulacjami, tyle działo się wokół, a ja nie miałam siły wstać z łóżka i wziąć tego, na co zapracowałyśmy przez cztery lata – opowiada. Krótco po tym zdała sobie sprawę, że przechodzi epizod depresyjny. Odeszłam z zarządu, chciałam oddać tę przestrzeń reszcie dziewczyn ze stowarzyszenia, ale w końcu uznały, że to zbyt duża odpowiedzialność. W lutym 2019 roku zdecydowałyśmy o zamknięciu Strefy.

Tym opowieściom z niedowierzaniem przysłuchuje się Kaśka Wójtowicz. Czy ja mam na to siłę? Przecież to nie ma znaczenia. Co z tego, że czuję się zmęczona, skoro i tak nie mam możliwości odpocząć. Nie mogę skończyć, bo rozpadłoby się „Dość milczenia”. Beze mnie nikt tego nie pociągnie – mówi z przekonaniem.

Dzień po wyborach parlamentarnych napisze na Facebooku: „Wiecie co? Mówię pass. Jestem zmęczona. Kilka lat na ulicy pokazało, że to nie ma sensu”.

Self care i kultura męczeństwa

Dbanie o siebie to czynność rewolucyjna, przekonywała Audre Lorde, amerykańska pisarka i aktywistka. Ale zdaniem Grzymały-Moszczyńskiej, w kraju Solidarności, z mocno martyrologiczną narracją, tego typu potrzeby schodzą na dalszy plan. Nie jesteśmy uczeni, jak stawiać granice, mamy wręcz kulturową

tradycję poświęcania się za wszelką cenę na ołtarzu ważnych dla nas spraw – przekonuje psycholożka. Troska o swoje potrzeby w ogóle nie łączy się u nas z myśleniem, że to może dać nam możliwość robienia tego, co kochamy, na dłuższy czas.

Dlatego coraz głośniej mówi się o wypaleniu aktywistek i aktywistów. Zmęczeniu ulegają ekolodzy i ekolożki, a obrońcy zwierząt borykają się z poczuciem winy. No bo jak mogą iść na urlop, skoro codziennie cierpią niewinne psy i koty? Cynizm i niezrozumienie indywidualnych potrzeb aktywistów i aktywistek widoczny jest także w środowiskach walczących o prawa człowieka.

Ważne, żeby odpowiedzialność za wypalenie przestać umiejscawiać w jednostkach – przestrzega Grzymała-Moszczyńska. Takie problemy warto rozwiązywać na poziomie całych zespołów. To ogromna rola liderów, koordynatorów, żeby dać grupie pole do rozmów o tym, jak nam razem jest, o tym, czego potrzebujemy, żeby móc dalej wspólnie działać.

Taka świadomość coraz częściej pojawia się w większych organizacjach, ale w przypadku oddolnych ruchów działających bezpośrednio na ulicy, system samoopieki spoczywa na samych aktywistkach. Muszą same radzić sobie ze zmęczeniem i nierzadko depresją. I same znajdować na to swoje sposoby.

Życie po aktywizmie

W chwilach największej depresji, gdy udawało się jej zwlec z łóżka, Katarzyna „Żegluga” Żeglicka wynajmowała salę taneczną. Przychodziła na dwie, trzy godziny, wdychała zapach baletowej podłogi, a po rozgrzewce biegała i tańczyła do upadłego. Coraz szybciej i szybciej, w kółko, by wyładować cały swój ból. W ten sposób przygotowywała się do etiudy. Wyganiała depresję. Tak skutecznie, że jej szaleńczy taniec przerodził się w aktywizm. Od zajmowania się naprawą świata, przeszłam do zajmowania się sobą. Zrozumiałam, że działać mogę poprzez sztukę i ruch.

Lana: Po aktywizmie rzuciłam palenie i zajęłam się pracą. Uciekłam w dawny Kraków, opowiadam o nim, czytam, prowadzę bloga. To miasto jest moją największą pasją, wybrałam je sobie do życia, więc o nie walczę. To z miłości do niego te wszystkie aktywizmy. Chcę, żeby tu było fajnie.

W aktywizmie bardzo ważne jest, żeby definiować sobie cele z różnych poziomów – zaznacza Grzymała-Moszczyńska. Zamiast tego wielu aktywistów od razu startuje z wysokiego C. Obalenie patriarchatu, koniec kapitalizmu. Trudno zrobić takie rzeczy w przeciągu tygodnia. Ale jeśli nauczymy się czerpać satysfakcję z mniejszych rzeczy, organizacji dobrego demo, zachęcenie dziesięciu osób do złożenia podpisu pod petycją, o której wcześniej w ogóle nie słyszały, to uda nam się odzyskać poczucie sprawczości – przekonuje.

Epilog

Bez aktywizmu Kaśka Wójtowicz wytrzymała zaledwie sześć dni. Przez ten czas podreperowała relacje z partnerem, na fejsie pojawiły się zdjęcia z ich wspólnych spacerów z synem. Ale dopiero, gdy na tablicy napisała: ODPOCZĘŁAM. PRZETRWAŁAM. WRACAM, w komentarzach posypały się lajki i serduszka. Byłam przekonana, że ludzie obudzą się po tych czterech latach. Dlatego, kiedy zobaczyłam wyniki wyborów, to się poryczałam. Z bezradności i wściekłości, że po co robić to wszystko, skoro ludzie i tak wybierają oczywiste zło – mówi mi dzisiaj. Ale potem pomyślałam, że ta kropla drąży skałę. PIS stracił trochę w sondażach. Trzeba dalej robić swoje. A życie bez aktywizmu? Tak naprawdę trudno mi uwierzyć, że kiedykolwiek się z niego wycofam.

Katarzynę „Żeglugę” Żeglicką łapię w biegu, przepakowuje się pomiędzy kolejnymi wyjazdami. Nepal, Malmö, Bytom. Przygotowuje swoją kolejną taneczną etiudę. Oglądam uśmiechnięte zdjęcia z sal całego świata, prób i warsztatów. Strefa zrobiła bardzo dużo. Pokazałyśmy perspektywę kobiet z niepełnosprawnościami,

nie tylko w Polsce, to się odbiło echem nawet w Europie – cieszy się. Ale teraz jestem aktywistką-nomadką! Chcę z nienormatywnych ciał stworzyć sposób oporu na to, co spotyka nas w kraju – opowiada podekscytowana.

Lana nie odbiera. W końcu nagrywa się na sekretarkę: Nie mogę gadać. Jestem w Budapeszcie. I chyba już nie nadaję się na tę twoją bohaterkę, bo tak jakby trochę nie jestem już wypalona. Coś tu kminimy z węgierskimi feministkami, buziak! Lecę na konferencję.

Nie da się z dnia na dzień wyłączyć elektrowni atomowej – wzdycha Joanna Grzymała-Moszczyńska. Można ją jedynie stopniowo wygaszać.

Przy pracy nad tekstem wykorzystałam fragmenty książki *Walcz, protestuj, zmieniaj świat* autorstwa Tomasza Besty, Katarzyny Jaśko, Joanny Grzymały-Moszczyńskiej, Pauliny Górskiej (wyd. Smak Słowa, Sopot 2019) oraz wywiadu, który przeprowadziłam z Laną Dadu pt. *Czarny strój i parasolka. 8 marca marsz i wspólne haftowanie*, opublikowanego w „Gazecie Wyborczej” Kraków 3.03.2017 r.

Beata Bialik – wypalona dziennikarka, zmęczona reporterka, była barmanka. Korespondentka tabloidu i współpracowniczka ogólnopolskiego dziennika. Publikowała m.in. w „Wysokich Obcasach”, „Przekroju”, „Tygodniku Przegląd”, Onecie, portalu NaTemat. Absolwentka Polskiej Szkoły Reportażu. Mieszka w Krakowie.

Samorządność lokalna

Ignacy Dudkiewicz

{Mielec przegrywa z fabryką}

Listopad 2019. *Zapraszam na inhalację* – mówi Mikołaj Skrzypiec, otwierając okno w samochodzie. Po kilku sekundach do nozdrzy dochodzi intensywna woń. Po kilku godzinach w Mielcu czuję drapanie w gardle. *Ten zapach zna całe miasto. Bywa, że czuć go 20 km stąd.*

Przejeżdżamy koło zakładów Kronospanu. Firmy budzącej kontrowersje nie tylko na Podkarpaciu. Ostatnio: w rosyjskiej Ufie. Na Ukrainie. W Rumunii. W Szczecinku, gdzie mieści się zakład większy niż w Mielcu. W Strzelcach Opolskich. W Chorzelach.

Zarzuty są powtarzalne. Zanieczyszczanie powietrza, gleby i wody. Uciążliwy zapach i hałas. Zwiększenie ruchu samochodowego. Brak dialogu z mieszkańcami. Zakulisowe budowanie relacji z władzą. Wykorzystywanie luk prawnych oraz nieudolnego działania państwa. W efekcie: przekraczanie limitów emisji szkodliwych pyłów i gazów w sposób, który pozwala unikać konsekwencji.

Skrzypiec wyjechał z Polski, gdy miał dwadzieścia lat. Na Wyspach był kurierem, kierowcą, reporterem i menedżerem w przychodni. Nie planował wracać, ale gdy stracił pracę, a u jego ojca wykryto raka, opuścił Wielką Brytanię. W 2010 roku zaczął pracę w Specjalnej Strefie Ekonomicznej (SSE). Z okna widział komin Kronospanu. Firma twierdziła, że wydobywa się z niego para wodna. – *Niezwykłe kolory miała ta para* – opowiada. – *Zachodziłem w głowę, jak coś takiego jest możliwe.*

Liczyła się praca

Kiedy powstawała Specjalna Strefa Ekonomiczna w Mielcu, nikt nie myślał o ekologii – mówi były dziennikarz lokalny, Marek Patyk, obecnie pracujący w Starostwie Powiatowym. Trudno się dziwić.

Transformacja zebrała tutaj ponure żniwo. W Mielcu, który powstał w ramach Centralnego Okręgu Przemysłowego, istniała niegdyś fabryka zatrudniająca 20 tys. osób z niespełna pięćdziesięciotysięcznej społeczności i żywiąca także ich rodziny. Kilka lat po przełomie 1989 roku bezrobocie sięgało w mieście nawet 30 proc. Mieleckimi ulicami szły Marsze Głodowe, podczas których pracownicy Wytwórni Sprzętu Komunikacyjnego protestowali, gdy kolejny raz nie otrzymali wypłaty. Czuli, że Mielec został zostawiony sam sobie. Mówiono: Mieleckie Piekło.

Przychodzili pod urząd miasta, bo ministerstwo było za daleko. Działania rządu nie przynosiły ratunku zakładom. Zamiast tego stworzono ustawę o Specjalnych Strefach Ekonomicznych, które ulgami podatkowymi miały przyciągnąć inwestorów – zwłaszcza zagranicznych. Ta w Mielcu, powstała w 1995 roku, jest najstarsza i największa w Polsce.

Gdy do Strefy wchodziła kolejna firma, padało jedno pytanie: „ile powstanie miejsc pracy?” – ciągnie Patyk. Nikogo nie interesowało, co i jak ktoś produkuje. To skrócona odpowiedź na inne pytanie Skrzypca: „dlaczego w Mielcu działa Kronospan, a nie na przykład Toyota?”. Kto nie przyszedł, był witany z otwartymi ramionami – podsumowuje Patyk. 30 lat temu inna była również świadomość ekologiczna. Mało kto wówczas patrzył, co wydobywa się z kominów: czy to sąsiada, czy pobliskiej fabryki.

Głuche telefony

Strefa nie okazała się receptą na wszystkie problemy. Zakładom Kronospanu (funkcjonującym wówczas jako Melnox i Kronowood) zarzucano, że nie zatrudniają byłych pracowników WSK, źle

traktują załogę i wyrzucają na bruk ludzi zaraz po zwolnieniach lekarskich. Szef zakładu odpowiadał prasie: „wszystko, co robimy, jest zgodne z prawem”.

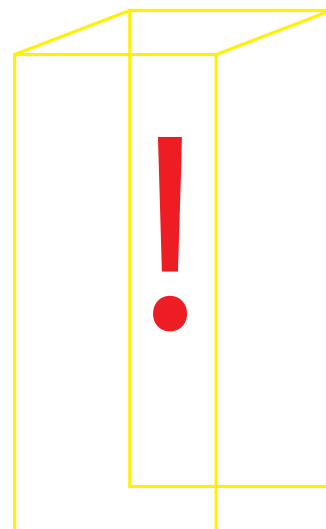
Gdy pretensje narastały, w lokalnych mediach pojawiły się artykuły zachwalające zakład. W tekstach z przełomu wieków znajdziemy takie sformułowania jak: „błyszczące kominy”, „ogromne wrażenie”, „kliniczna wręcz czystość”, „żadnych odpadów, wiórów, trocin, kurzu, pyłu”, „nie hałasują, nie śmiecą, nie wydzielają zapachów”. Słowem: „fabryka XXI wieku!”. Mniej uważny czytelnik mógł nie zauważyć małego znaczka: „promocja”.

Nastrojów nie udało się uspokoić. Nadzieja i entuzjazm dla SSE najszybciej ustąpiły na Mościskach. To osiedle domów jednorodzinnych koło fabryki. Było w Mielcu przed Strefą.

Wybudowałem dom niedaleko Kronospanu – mówi Piotr Białek, jeden z organizatorów pierwszych protestów przeciw fabryce. Wcześniej mieszkał w dzielnicy, w stronę której rzadko wieje wiatr znad Strefy. Szybko poczuliśmy, że problem jest. Sąsiedzi nas uświadomili, jak to wpływa na zdrowie – mówi. Cztery i pół roku temu zaczął działać. Dziś nie ma już wiary.

Nie on pierwszy przeszedł podobną drogę. Mieszkańcy Mościsk zaczęli protestować przeciw działaniom Kronospanu 20 lat temu, chwilę po starcie produkcji. Nie otwierali okien, bo smród był nie do wytrzymania. Nie wieszali prania, nie zostawiali samochodów na podjeździe, bo szybko były całe w pyłe. Dzieci zaczęły częściej chorować, rozprzestrzeniły się alergie.

Protesty były kontrowane argumentami o bezrobociu, działaniami prawników firmy oraz opowieściami o czystej produkcji. Protestujący bywali zastraszani. Głuche telefony, samochody stojące całą noc pod domem i pogróżki ustawały, gdy mieszkaniiec przestawał się angażować w działania przeciw fabryce.





Gdy czytam, co robiło Mieleckie Stowarzyszenie Ekologiczne kilkanaście lat temu, widzę, że jego działacze przechodzili przez to samo, przez co my przechodzimy dzisiaj – mówi Skrzypiec. Sam szefuje Stowarzyszeniu Specjalna Strefa Ekologiczna. Stosowali może partyzanckie metody, brakowało im wiedzy, o którą dziś jest łatwiej. Ale postulaty mieli te same. Do dziś niezrealizowane!

Te postulaty to między innymi stały pomiar emisji na wszystkich – około 40 – kominach zakładu, a nie tylko na części z nich. Hermetyzacja produkcji tak, by zanieczyszczenia nie mogły być wydzielane na zewnątrz. Możliwość realnej kontroli nad tym, co wydobywa się z Kronospanu.

Parę lat temu trochę się zmieniło. Zamontowane pod wpływem unijnego prawa urządzenia ograniczyły emisję pyłów PM 2,5 i PM 10 do powietrza. Problemem jest wciąż emisja innych związków chemicznych, takich jak formaldehyd, steryn, benzen czy metale ciężkie.

Państwo nie działa

W 2001 roku na biurko premiera Jerzego Buzka oraz ministra sprawiedliwości Lecha Kaczyńskiego trafia apel o zamknięcie zakładów Melnox i Kronowood. Kaczyński każe wszcząć śledztwo w sprawie zatrutowania środowiska oraz wyprowadzania podatków poza Polskę (na te zarzuty także dziś firma odpowiada: „prowadzimy działalność zgodnie z przepisami prawa”). Odbywają się rewizje i przesłuchania.

To było 18 lat temu. Państwo wciąż nie działa – mówią zgodnie działacze. Najcięższe zarzuty padają pod adresem Wojewódzkiego Inspektoratu Ochrony Środowiska (WIOŚ). Haseł związanych z działaniami Kronospanu („śmierdzi Melnoxem”, „KronoOkupacja” czy „Kronobyl”) jest w Mielcu wiele. Jednym z nich jest „WIOŚ się do roboty”. Wypowiedzi o państwowym kontrolerze brzmią jak refren. Nie mogę powiedzieć na pewno, że WIOŚ jest skorumpowaną

instytucją, ale patrząc na to, jak niektórzy z jego urzędników się zachowują, mogą nasunąć się podobne wnioski – mówi Skrzypiec.

„Przyjeżdża pani Jola, zawsze ta sama, i pyta pracownika Kronospanu: Co tam się stało? Nic takiego, odpowiada pracownik. Pani Jola pisze: nic takiego” – opowiada w wywiadzie na portalu SmogLab.pl Marcin Weksej ze Szczecinka.

Zanim pracownicy WIOŚ przyjadą, odmeldują się, postoją przed bramą i wreszcie zostaną wpuszczeni, to cały proces produkcji może zostać zmieniony – mówi Szymon Kuś, jeden z organizatorów protestów. Zgłoszenie do WIOŚ pozwala czuć, że coś się zrobiło. System się przełącza, kontrola nic nie wykazuje, a ja słyszę, że to chyba dobrze, że przestało dymić – dodaje inny z organizatorów sprzeciwu wobec Kronospanu. Nie on jeden woli zachować anonimowość.

Kilka lat temu WIOŚ działał do godziny 15.00 w dni robocze i musiał uprzedzać firmy o kontroli. Według aktywistów zakład najbardziej „dawał w palnik” wieczorami, w nocy i w weekendy. W kwietniu 2018 roku minister środowiska, Henryk Kowalczyk, przyznawał, że zmiany są potrzebne, bo „po godzinach pracy można robić, co się chce”. Dziś Inspekcja może kontrolować zakłady całą dobę, nie musi informować o przyjeździe.

„Protesty nie są powszechne”

W 2015 roku powstał Mielecki Sztab Kryzysowy dla Czystego Powietrza AERIS. Zorganizował kilka protestów i stworzył petycję do marszałka województwa, pod którą podpisał się niemal co drugi pełnoletni mieszkaniec Mielca – kilkanaście tysięcy ludzi. Działacze domagali się, by władze wymusiły na Kronospanie stosowanie w Polsce takich samych rozwiązań jak w Europie Zachodniej. Firma, zapytana, czy zakłady w Polsce oraz w krajach zachodnich działają według tych samych reguł, odpowiada: „działamy zgodnie z przepisami prawa”.

W sierpniu 2015 roku Tomasz Jańczak, członek zarządu Kronospan Mielec oraz Kronospan HPL, na łamach lokalnej prasy przekonywał, że „nie ma konfliktu społecznego”. Przyznawał, że „protesty się pojawiają”, ale „nie są to protesty powszechne i strach też nie jest powszechny”.

Słowa te padły dwa i pół roku przed protestem, w którym wzięło udział 15 tys. osób – jedna czwarta mieszkańców Mielca. To tak, jakby w Warszawie w sprawie czystego powietrza protestowało pół miliona ludzi. Albo w Krakowie – 200 tys. osób. To największy lokalny protest ekologiczny w Polsce. Być może w Europie.

Problem ciągnie się od tylu lat, że chęć działania w mielczanach została niemal zabita – mówi jego współorganizator. Okazało się, że jeszcze się tli. Udało się ją rozpać. Przełomem okazała się awaria w Kronospanie.

Dwóch bezradnych ludzi

13 grudnia 2017 roku w mediach społecznościowych w Mielcu pojawiły się zdjęcia i nagrania kłębow czarnego dymu wydobywających się z komina zakładu. Złość buzowała. Niektórzy komentowali, że firma ma pozwolenia na emisję. „Na awarię też ma pozwolenie? Może dajmy im licencję na zabijanie?” – odpisywali inni. Jeden z oburzonych zadzwonił do kolegi. „Co robimy?” – zapytał.

Dwóch bezradnych ludzi uznało, że trzeba tupnąć nogą – słyszę. Powstała grupa na Facebooku. Specjaliści nie nazwaliby jej „Blokada truciciela-Melnoxu. Czas najwyższy rozwiązać ten smierdzący problem”. Ale ludzie robili to bez wsparcia ekspertów. W kilka dni do grupy dołączyło kilka tysięcy osób. Dziś jest ich prawie 16 tysięcy.

Dwadzieścia osób, które przyszły na pierwsze spotkanie, na kolejne przyprowadziło po dziesięć kolejnych. *Na proteście musiało być minimum 500 osób, żeby nie można było go zdyskredytować – mówi współorganizator. Pisaliśmy, odpowiadaliśmy na wiadomości, namawialiśmy. Po prostu.*

Powstały tysiące plakatów i ulotek. Organizatorzy spodziewali się kilku tysięcy osób. 15 tys. nie spodziewał się nikt.

Przypadek, wkurw i kumulacja

Długo wybierano termin. Ostatecznie stanęło na Niedzieli Palmowej o 15.00 – po mszach. Do 14.45 na miejscu zbiórki było 50 osób. Widmo porażki zaglądało organizatorom w oczy. Nagle chodniki stały się czarne od ludzi. Szli z każdej strony – mówią organizatorzy. Ależ to robiło wrażenie! Czułem wielką dumę – dodaje Skrzypiec.

Z przemów niewiele wyszło, brakowało nagłośnienia na tyle osób. Marsz ruszył. Manifestacja przebyła 3,5 km, po drodze rozwieszone były informacje o tym, co emituje Kronospan. Szedłem w pierwszej linii. Tłum ludzi z pięściami w górze i okrzykiem „wynocha” robił wrażenie – wspomina Kuś.

Niektórzy mówią, że zadziałał przypadek. To była pierwsza ładna niedziela roku. Protestowi miał też pomóc... Kronospan. Przed manifestacją widowiskowo kopcili. Piloci opowiadali, że 50 km od Mielca nie musieli patrzeć na przyrządy, bo do lotniska w Strefie docierali „jak po sznurku” – mówi Kuś. Wiatr zmienił kierunek. Protest poprzedziły rzadkie dni, gdy zanieczyszczenie znad Strefy leciało nad centrum miasta.

Inni mówią, że kluczowa była naturalność. Gdyby robili to specjaliści od kampanii, nigdy by się nie udało. Ale robiły to zwykłe osoby. Z wkurwu – mówi Skrzypiec. Jeszcze inni dodają, że to efekt kumulacji. Przez lata zaznajomiliśmy ludzi z tematem. To nie wydarzyło się nagle. Sprzeciw rósł – mówi Białek.

O Mielcu usłyszała cała Polska. Pojawiła się euforia. Oraz pytanie: „co dalej?”. Zadawali sobie je organizatorzy, Kronospan i politycy.

Fałszywe konta

10 czerwca kilka tysięcy manifestantów pomaszerowało pod magistrat, by wezwać do działań lokalne władze. Komisarzem w Mielcu był Fryderyk Kapinos, obecnie poseł Prawa i Sprawiedliwości. Pełnił funkcję po śmierci Daniela Kozdęby, który przegrał z glejakiem mózgu. *Kozdęba jako jedyny próbował walczyć z Kronospanem. I zawsze z nami rozmawiał – mówi Białek.* W wyniku tych działań w 2015 roku Kronospan zobowiązał się do modernizacji oraz wprowadzenia monitoringu na jednym z kominów. Samorząd zyskał też możliwość kontrolowania zakładu paręnaście razy w roku. Poprzednik Kozdęby, Janusz Chodorowski, który rządził Mielcem 20 lat, stawiał na przemysł. Działacze twierdzą, że godził się na wszystko. Podczas protestu byli wywoływani także starosta powiatowy, marszałek województwa oraz minister środowiska.

Działania podjął również Kronospan. Zaczął więcej informować o modernizacji, przede wszystkim o zamontowaniu UTWS – systemu urządzeń ochrony powietrza. Pojawiły się artykuły w mediach, powstała strona internetowa. W mediach społecznościowych zaczęły działać konta zachwalające firmę. Zostały rozszyfrowane, bo posługiwały się zdjęciami z Internetu i stałym zestawem argumentów.

Jeszcze przed protestem korporacja podjęła kroki prawne. Kronospan wskazywał, że demonstracja stanowi zagrożenie dla przedsiębiorstwa oraz może prowadzić do zaśmiecenia miasta. Niektórzy działacze dostali pozwy za naruszenie dobrego imienia.

Dwa światy

Kronospan tworzy dwa światy – mówią działacze. Twierdził, że nie zatruwa powietrza i występował o utajnienie wyników kontroli. Mówi, że nie ma nic do ukrycia i odwołuje się od decyzji o stałym pomiarze na kominach. I tak w kółko.

Na początku lat 2000. w mediach pojawiła się wiadomość od firmy: „chcielibyśmy żyć w zdrowym środowisku, oddychać świeżym powietrzem i pić czystą wodę. Niestety (...) nie możemy powstrzymać szybkiego rozwoju cywilizacyjnego, który nieuchronnie pozostawia uszczerbek na naszym środowisku naturalnym”. W 2005 roku firma znów przekonywała, że jej produkcja nie ma złych efektów.

Podczas spotkania z mieszkańcami Mościsk, 1 czerwca 2015 roku, przedstawicielka Kronospanu mówiła: „chcecie rozliczyć 18 lat uciążliwej działalności przeciwko państwu”. Przyznała, że fabryka emituje zanieczyszczenia do atmosfery. Niecałe dwa miesiące później Jańczak przekonywał: „to, że z naszych kominów wydobywa się para, nie oznacza, że Kronospan truje. (...) Kronospan nie truje”.

Firma prowadziła także akcje społeczne. Sponsorowała szkoły i szpitale, rozdawała prezenty chorym dzieciom. *A emitowane przez nich zanieczyszczenia najmocniej szkodzą najmłodszym i najstarszym – mówi Skrzypiec.*

Zakład od lat sadi drzewa w ramach akcji „KronoDrzewko”. Brali w niej udział politycy: samorządowcy, senatorowie i posłowie. Ostatnio jest ich mniej.

Kaczyński bez pozwu

Po protestach w roku wyborów samorządowych miejscowi władarze zaczęli inaczej traktować Kronospan. Firma chciała przejąć kawałek drogi, co pozwoliłoby jej podwyższyć normy oddziaływania na środowisko. Rada miasta to zablokowała – mówi organizator protestów. *Bali się suwerena.*

Samorządowcy twierdzą, że niewiele mogą, bo ogranicza ich prawo. Ale do Mielca przyjechali także Beata Szydło i Henryk Kowalczyk. *To bastion PiS – podkreśla Kuś. Wiedzieli, że mogą na tej sprawie stracić.*

Kowalczyk obiecał większe środki i uprawnienia dla WIOŚ. Przyjechał także Jarosław Kaczyński. Niedługo później mówił: *Byłem w Mielcu. Słyszałem tam o zakładzie Kronospan, który truje okolice. Tam powinna nastąpić ostra reakcja państwa, a ta duża międzynarodowa firma sobie z nas drwi. Za słowa „Kronospan truje” działacze byli straszeni sądem. O pozwie dla Kaczyńskiego nic nie wiadomo.*

Temat pojawił się także w kampanii parlamentarnej w 2019 roku. Do Mielca przyjechał Zbigniew Ziobro razem ze startującym z Podkarpacia Marcinem Warchołem. Opowiedzieli o śledztwie w sprawie Kronospanu oraz ustawie, która ma wprowadzić wyższe kary dla przedsiębiorstw. *„Polska nie jest krajem trzeciego świata” – mówił Ziobro.*

Niech któryś weźmie się za bary z Kronospanem, zwykły człowiek nie ma szans. Kto by to nie był, będziemy kibicować – mówi działacz z Mielca.

Prawo, nie nacisk społeczny

Świadomość społeczna bardzo wzrosła. Dziś mielczanie wiedzą, jak nie działa WIOŚ, że urzędnicy coś mogą, że to, co wydobywa się z kominów, to nie para wodna – mówi Skrzypiec.

Czy ograniczenie emisji pyłów oraz ostrzejsze normy wynikające z nowego, pochodzącego z 2018 roku, pozwolenia dla zakładu, zaistniałyby bez protestów? W takim stopniu? Nie wiem. Ale i tak by się pojawiły. Tym, co „przesuwa” Kronospan, jest prawo. Nie nacisk społeczny – mówi Skrzypiec.

To przyjemne, gdy o twoich działaniach mówi cała Polska, ale jesteśmy zbyt doświadczeni, by cieszyć się jak dzieci, że przyjeżdża telewizja – dodaje Białek. Sukces będzie, gdy zniknie problem. Dziś wszyscy wiedzą, że w Mielcu jest zatrute powietrze, ale przed domem, w którym śpi moje dziecko, oddycham tym samym syfem.

Działacze tłumaczą: nawet jeśli Kronospan emituje tylko tyle, ile pozwalają mu normy, to wciąż mówimy o znacznych ilościach zanieczyszczeń emitowanych do atmosfery. Na różnych etapach tej historii normy oznaczały zgodę na emisję nawet niemal 20 t szkodliwych substancji na dobę. Po zamontowaniu monitoringu na części kominów Kronospan wystąpił o zgodę na emisję metali ciężkich, które dotąd nie były opomiarowane. Wcześniej ich nie emitowali? – pytają aktywiści. Jasne, że emitowali. Teraz nie są w stanie tego ukryć.

Przez lata firma funkcjonowała w oparciu o pozwolenia cząstkowe, osobno regulujące kwestie emisji, ścieków czy śmieci. W 2015 roku musiała wystąpić o pozwolenie zintegrowane. Zmieniły się normy unijne. Przez kilkanaście lat nie byli w stanie założyć filtrów na kominy, a gdy musieli to zrobić, to dali radę – komentuje Skrzypiec. Dziś marszałek województwa może nałożyć na przemysł ograniczenia wyższe, niż to wynika z norm europejskich. Zwiększyły się możliwości kontroli. Urzędnicy twierdzą, że podwaliny tych regulacji powstały w Mielcu. Przepisy ugrzęzły w praktyce – mówi organizator protestów. Ale pchamy ten kamień pod górę. Obyśmy nie okazali się naiwni jak Syzyf.

Kto opóźnia modernizację?

Mieszkańcy boją się jego losu, bo każde osiągnięcie kosztuje wiele wysiłku. Wprowadzenie ciągłego pomiaru emisji na części kominów Kronospanu zajęło wiele lat. W tym czasie cała emisja była obliczana według algorytmu firmy. Zakład odwoływał się do sądów, z Naczelnym Sądem Administracyjnym włącznie, od decyzji mających zmienić tę sytuację. Powoływał się na luki w prawie. Gdy te zniknęły, twierdził, że potrzebuje czasu. O tym, że firma nie może znaleźć wykonawcy urządzeń do ciągłych pomiarów, słyszymy od lat – mówi Skrzypiec. Może gdyby skupili się na tym, zamiast na walce w sądach, udałooby im się znaleźć odpowiednią firmę szybciej? – ironizuje. Póki nie będzie ciągłego monitoringu na wszystkich emitorach, nie będziemy pewni, co dokładnie dostaje się do powietrza.

Firma twierdzi, że opóźnienie modernizacji wynikało z „celowego przedłużania rozpatrywania wniosków”. W licznych komunikatach sugeruje, że są osoby, którym zależy na opóźnieniu zmian w zakładzie, i że za ich działaniami stoi konkurencja, politycy lub producenci urządzeń pomiarowych.

Czuję się ogrywany – przyznaje urzędnik Urzędu Marszałkowskiego. Od lat zakład wylicza, ile emituje, a my to podważamy. Mówią, że sami się kontrolują. Odwołują się od kar, podważają raporty WIOŚ – opowiada. W podobnym tonie mówił minister Kowalczyk: Duże firmy dysponują kancelariami prawnymi, które potrafią nawet dobrze przygotowane decyzje podważać. Inny urzędnik przyznaje, iż trudno oczekiwać, że z tymi kancelariami będą w stanie walczyć ludzie zarabiający poniżej średniej krajowej.

Organizator protestów: Kiedy policja sprawdza, czy prowadzę pod wpływem, nie wierzy na słowo. Nie wierzy badaniu kolegi czy pomiarowi z wczoraj. Każe dmuchać. Dlaczego w przypadku fabryki jest inaczej?

Kronospan twierdzi, że miasto odmawia mu udziału w dialogu o czystym powietrzu. Urzędnicy opowiadają, jak zakład ignorował zaproszenia na spotkania. Już po proteście przedstawiciele firmy nie pojawili się choćby na posiedzeniu Wojewódzkiej Rady Dialogu Społecznego.

W odpowiedzi na moje pytania o to, czy prowadzi dialog z samorządem oraz mieszkańcami, a także o stosunek do protestów, Kronospan używa takich sformułowań jak: „niemerytoryczne, emocjonalne i amatorskie interpretacje”, „grupa osób manipulująca mieszkańcami”, „roszczeniowe i nieuzasadnione postawy”.

Czy tylko Kronospan?

Pytam rozmówców, dlaczego nie udało się utrzymać mobilizacji na dłużej. Niektórzy wskazują, że brakowało ludzi gotowych do rozmowy z mediami. Inni mówią o podziałach między

organizatorami. W Mielcu krążą plotki, że Kronospan miał wśród nich „swoich ludzi”. Ich pracownik mówił mi: „myślisz, że zostawiamy takie sprawy same sobie?” – słyszę. Nawet jeśli to błąd, to ma siłę oddziaływania. Ludzie przestają sobie ufać.

Założyciel grupy prowadził ją jak folwark, groził, że ją wyłączy, a był jedynym administratorem – twierdzi Kuś. Nie wolno pozwalać, by energię społeczną zawłaszczyła jedna osoba. Lepszy byłby kolektyw i demokratyczne decyzje o kierunku, w którym zmierzamy.

Wśród osób działających na rzecz czystego powietrza w Mielcu istnieje również spór o to, na ile zajmować się tylko Kronospanem, a na ile także innymi źródłami emisji. Smog jest równie dużym problemem, co Kronospan – twierdzi Skrzypiec. Ludzie palą w piecach węglem i śmieciami, co też nas truje. Zajmując się tylko jedną sprawą, nie rozwiążemy problemu.

Tego chcą politycy i Kronospan: żebyśmy umniejszali ich odpowiedzialność – odpowiada jeden z organizatorów protestów. Jeśli mamy akwarium z brudną wodą, to nie znaczy, że można do niego dolewać szlam.

Musimy patrzeć także na to, co sami sobie robimy w sezonie grzewczym – przekonuje Patyk. Ale ktokolwiek stawia taką tezę, spotyka się z zarzutem, że „kupił go Kronospan”.

Łatwiej się dopieprzyć władzy do mieszkańca i wysłać straż miejską do pieca niż zbadać wielką korporację – mówi organizator protestów. Z tym zgadzają się wszyscy.

Coraz wyższy dywan

Grupę mogły podzielić także wybory. Niektórzy twierdzili, że warto próbować wejść do władz lokalnych. Inni uważali, że apolityczność inicjatywy jest siłą i należy pilnować, by żadna partia nie podczepiła się pod protest, nawet jeśli krytykowani politycy pochodzili z jednej partii – PiS, które rządziło

miastem, powiatem, województwem i krajem. Tak samo krytykowałem poprzednie władze. Recenzuję też działania obecnego prezydenta, który wygrał z Kapinosem – mówi Skrzypiec. Ale i tak od zawsze próbowano mi przyczepić gębę polityka.

Ostatecznie dwie osoby zaangażowane w protesty weszły do Rady Miasta. Dlaczego inni politycy nie uczynili tego tematu kołem zamachowym kampanii? Byli przekonani, że staniemy do wyborów. Każdy się bał, że jeśli weźmie tę sprawę na sztandary, zostanie oskarżony, że „podpina się pod obywateli”.

Druga odpowiedź brzmi: układ biznesowo-polityczno-towarzyski. Słyszę o kontrolach w firmie, która zgłosiła, że przeszkadzają jej pyły z Kronospanu (potwierdzają to jej pracownicy). O skorumpowanych funkcjonariuszach i politykach. O krewnych włodarzy, którzy znajdują pracę w fabryce (takich przypadków jest przynajmniej parę). Towarzyskich kontaktach. Uzależnieniu firm od zleceń z Kronospanu. Wpływach w ministerstwie.

Jagienka Wilczak pisała w „Polityce”, że gdy samorząd zlecił badanie jakości powietrza, wybrana firma okazała się podwykonawcą Kronospanu. Pracownicy korporacji mieli także dużo do powiedzenia przy ustalaniu europejskich standardów.

Wątpię, żeby znalazł się odważny, który zadrze z tą firmą. Każdy polityk wspomina o Kronospanie, ale nikt nic nie robi. Dotyczy to też tych, którzy weszli do Rady na fali protestu – mówi jeden z działaczy. Wtórzuje mu Kuś: Gdyby państwo chciało, byłoby w stanie uprzykrzyć im życie. Ale państwo ma nas w poważaniu.

Współorganizator protestów dodaje: – To system, w którego interesie jest, żeby nic, co jest zamiecione pod coraz wyższym dywanem, nie wyszło na jaw.

„Są w stanie nas przeczekać”

W kwietniu 2019 roku, w trwającej trzy dni i dwie noce blokadzie bramy zakładu uczestniczyło kilkadziesiąt osób.

Po kilkunastotysięcznym proteście zmieniło się niewiele. To był cios w naszą wiarę – mówi Białek. Jak to możliwe, że całe miasto nie jest w stanie wygrać z jedną fabryką? Społeczeństwo ma niewiele do powiedzenia, gdy w grę wchodzi duży biznes.

Działacze twierdzą, że utrzymanie mobilizacji tak licznej grupy było niemożliwe. Wiele osób nie ma czasu. Nie chcą też figurować we władzach organizacji. Albo pracują u dostawców Krono. Rodzą im się dzieci. Firma jest w stanie nas przeczekać – mówi Skrzypiec.

Wie, co mówi. Ze współpracownikami udokumentował wycieki toksycznych substancji z terenu spółki Skarbu Państwa. Jak zbierać dowody, podpowiedział policjant. Próbki badał profesor Adam Grochowalski, sojusznik ruchów ekologicznych. Interweniowały media, WIOŚ i Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Nikogo nie skazano. Przekazaliśmy organom ścigania wszystko na tacy i nic z tego nie wyszło. To jak mamy dać radę z Kronospanem?

Czas przestać podniecać się tym, co było. Tak, to największy protest w Polsce. Ale kogo to jeszcze interesuje? – mówi Kuś. Potrzebowalibyśmy struktury. Działań politycznych lub prawnych. Zryw nie wystarczy na zorganizowaną maszynę z dużymi pieniędzmi. I podsumowuje: Ruch społeczny umarł.

„Zaczę gdzie indziej”

O co dziś walczą Mielczanie? O prawdę i sprawiedliwość. Naszym zwycięstwem będzie realna kontrola i prawdziwe konsekwencje – mówi organizator protestów.

O zmianę przepisów i norm.

O godność.

Wciąż chcą działać. Działacze chcą naciskać na klientów Kronospanu – producentów mebli jak IKEA czy Black Red White. Powinni być personą non grata. Nie można pozwalać na

KronoDrzewko czy sponsorowanie klubów sportowych – mówi Kuś. Wtórkuje mu inny organizator protestów: Naszą siłą jest ostracyzm oraz solidarność. Póki jest nas dużo, mają związane ręce.

Ważna jest współpraca z aktywistami z innych miast i krajów. Wymieniają się informacjami, w 2013 roku protestowali pod Parlamentem Europejskim wraz z mieszkańcami Szczecinka, Żor i miast na Ukrainie, w Rumunii, na Słowacji i w Rosji. Zawiazali Koalicję „Dość trucia”. *Gdzie nie pojawia się Kronospan, jest problem. Musimy działać razem.* Wspierają się też samorządy, które dążą do zmian w prawie dotyczącym uciążliwych inwestycji.

Niektórzy wierzą, że jeśli utrudni mu się warunki prowadzenia działalności, Kronospan przeniesie się dalej na wschód. Inni twierdzą: „Nigdy się stąd nie wyniosą”. W wywiadzie na portalu SmogLab.pl jeden z organizatorów protestów, Piotr Kozub, został zapytany, czy się nie boi. Odpowiedział: „a mam nie bać się pozwolić mojej córce żyć w takim mieście? Albo skazać ją na to, że będzie musiała wyjechać, bo jej miasto to jedna wielka patologia?”.

Niektórzy się przyzwyczajają. Są i tacy mieszkańcy Mościsk, którzy mieszkają tam od dziecka, a potem budują kolejne domy w tym samym miejscu. *Dla nich to normalne życie. Przywykli do czegoś, co zawsze było ich rzeczywistością – słyszę.*

Inni wyjeżdżają. Jeden z działaczy mówi: *Nie chcę, żeby moje dziecko chorowało. Zacznę gdzie indziej. Nie wiem, czy tu jeszcze wrócę.*

Ignacy Dudkiewicz – bioetyk i dziennikarz. Redaktor naczelny Magazynu „Kontakt”. Członek zarządu Klubu Inteligencji Katolickiej. Były redaktor naczelny Publicystyki portalu NGO.pl. Specjalizuje się w sprawach aktywności społecznej, Kościoła oraz bezdomności. W 2018 roku ukazała się jego książka, wywiad-rzeka z ks. prof. Andrzejem Szostkiem pt. *Uczestniczyć w losie Drugiego. Rozmowy o etyce, Kościele i świecie.* Publikował m.in. w „Dużym Formacie”, „Znaku”, „Więzi”, „Tygodniku Powszechnym” i „Gazecie Wyborczej”.

Samorządność lokalna

Iga Dzieciuchowicz

{Na co czekają Penelopy?}

Aktywne Penelopy wyglądają jak z żurnala: skórzane kurtki, szpilki, na paznokciach brokaty. Najmłodsza ma 60 lat. – My nie jesteśmy kościelne – mówią seniorki. I rozpoczynają kabaret.

Baby górą

Fanpage Klubu Seniora „Wiecznie Młodzi” z Tylmanowej na Facebooku: 126 polubień, 10 zdjęć na osi czasu. Stowarzyszenie zarejestrowano 22 listopada 2019 roku.

– Bo my tu w Tylmanowej wszyscy mówimy sobie na „ty” – oznajmia pan Mieczysław.

– Zawsze tak było?

– Skąd! Zmusili nas na tych warsztatach dla seniorów. Ale jak tylko wróciliśmy do wsi, to znów do siebie mówiliśmy „pan”, „pani”. Nie wiedzieliśmy, że to ma tak zostać.

– Ale zostało?

– No a jak! Bo my przyjaciółmi teraz jesteśmy.

Co roku krakowski Teatr Nowy organizuje warsztaty „60+. Nowy wiek kultury”. Program jest skierowany do seniorów z małopolskich wsi. Zajęcia prowadzi Dana Bień i Tomasz Kireńczuk. Finał warsztatów to spektakl, który porusza tematykę wybraną przez uczestników. Na 19 grup, które do tej pory stworzyliśmy, aktywnie działa do dziś aż 17. Większość ma status stowarzyszeń. Potencjał, który tkwi w seniorach, to potężna siła – mówi Kireńczuk.

Tylmanowa to wieś w województwie małopolskim. Można dojechać busem z Krakowa. Dwie godziny i czuć górskie powietrze. Jest kościół, parę sklepów, Związek Podhalań i Gminny Ośrodek Kultury. W sezonie sporo turystów. Bo widoki piękne.

Mieczysław: Te warsztaty to mieliśmy w ubiegłym roku. Przyjechała grupa z Tylmanowej i Ochotnicy Górnej. Trzy spotkania w Janowicach od lipca do września. A potem w grudniu graliśmy spektakl „Baby górą” według „Seksmisji” Machulskiego. U nas w grupie tylko czterech chłopów, a tak to same baby. Tośmy je chcieli usatysfakcjonować. Na przedstawieniu było 500 osób. Tak myśmy się polubili, że teraz mamy stowarzyszenie. I spotykamy się przynajmniej raz w tygodniu. Wcześniej to każdy w domu siedział i kił. Niejeden depresję miał. A teraz w głowie tylko imprezy i klub, klub, klub!

Zamknięci w domu

Według badań depresja wśród seniorów to powszechny problem. Dotyka ponad 15 proc. osób starszych, z czego aż 40 proc. to przypadki nierozpoznane. Depresja współistnieje z chorobami wieku podeszłego, ale wywołują ją też samotność czy poczucie bycia niepotrzebnym. Bywa, że kończy się samobójstwem, zwłaszcza wśród mężczyzn.

Mieczysław: Byłem nauczycielem przedmiotów ścisłych. Sporo lat jestem na emeryturze, już ponad 20. Pochodzę z okolic Krynicy. Pracowałem najpierw w Łapszach Niżnych. To były takie czasy, że jak się kończyło studia, to przyjeżdżał pan kurator i pytał, gdzie człowiek chce pracować. Ja chciałem w powiecie nowosądeckim, ale skończyły się miejsca i dali mnie do nowotarskiego. Na chybił trafił wybrałem Łapsze. Poznałem tam moją żonę, siedzi tu obok. Pochodzi z Tylmanowej. Tu wybudowaliśmy dom i mieszkamy. Mamy trójkę dzieci, czterech wnuków i trzy wnuczki. Dzieci są wszystkie poza domem, zostaliśmy sami. Zwierząt nie mamy, tylko ogródek. Kiedyś to wiadomo, człowiek zabiegany był. Pracowaliśmy oboje w szkole,

po południu opieka nad dziećmi. Pomagaliśmy trochę teściom, byli rolnikami. Teraz na emeryturze to robimy sobie w ogródku, czasem pojedziemy na wycieczkę czy do dzieci. Syn jest w Stanach, córka w Mikołowie, a najmłodszy syn w Krakowie. Szwagier mówi, że widocznie byliśmy złymi rodzicami, bo dzieci nam się po świecie rozjechały. A ja tam uważam, że każdy układa sobie życie sam. Te warsztaty dla seniorów to nam z nieba spadły. Taka łączność uczuciowa się zrobiła, związało nas. Od razu pomyśleliśmy, żeby coś razem stworzyć. No i mamy chór „Wiecznie młodzi”.



Krysia: Mąż już trochę o naszej rodzinie powiedział. Gdy miałam 30 lat dostałam diagnozę: stwardnienie rozsiane. Byłam trochę zaskoczona, a potem naprawdę przybita. Zwaliło mnie to z nóg. Jakoś wyszłam z tego, w szpitalu na Nowej Hucie w Krakowie zatrzymali moją chorobę. Wychowywałam dzieci, pracowałam. Mąż mnie wspierał. Dzieci poszły w świat. Na emeryturze zamknęłam się w domu. Dlaczego? No jakoś tak. Tylko ogródek i dom. Dzięki

tym warsztatom trochę wyruszyłam do ludzi. Wzięłam się do życia, a byłam bardzo zamknięta w sobie. Podoba mi się, że w klubie jest tak przyjacielsko. Martwi mnie tylko, że dolegliwości mam coraz większe. Nie chciałabym znów utknąć w domu.

Ewa: Mieszkam w Tylmanowej od 18 lat. Pochodzę z Wieliczki. Najpierw mieszkaliśmy z mężem w Dąbrowie Górniczej. Pracowałam na hucie na suwnicy, mąż też na hucie. Ciężka praca, czterobrygadowka. Zaczęliśmy budowę domu w Tylmanowej, bo mąż miał tu rodzinę. Gdy budynek był już w stanie surowym, mąż zachorował i zmarł. Zostałam sama z tym niedokończonym domem. Mam dwóch synów. Jeden mieszka w Anglii, a drugi w Nowym Targu. Pomagałam przy wnukach, bo synowi trafiły się bliźniaki. Jeździłam do nich pięć lat. Wnuki podrosły, znów byłam sama. Mało wychodziłam, bo nie było do kogo i gdzie. Z rodziną męża mam słaby kontakt. Czy myślałam, żeby wrócić do Wieliczki? Czasami. Ale dom to efekt pracy naszych młodych lat. Mąż jest pochowany w Tylmanowej i to mnie też wiąże. Klub zmienił moje życie. Ludzie bardzo dobrze mnie przyjęli. Nigdy tyle nie wychodziłam z domu. Pomaga mi to. Trzeba się ubrać, uszykować. Jest po co wstać z łóżka.

Stasia: Miałam ciężkie życie. Dziecko mi umarło w pożarze. Mąż bardzo mnie bił, syn też się nade mną znęcał. Ludzie mnie we wsi obmawiali. Rodzina się odwróciła. Znalazło się kilku obcych, co mi pomogli w potrzebie. Zawsze taka skryta w sobie byłam. Ludzie mawiali, że może psychiczna jestem. Dalej obgadują. I co mam z tym zrobić? Już nie wiem. A co ja z mężem przeżyłam... Piekło. Urodzić się kobietą to kara boska. W klubie może nie każdy mnie lubi, ale chodzę. Bo co miałabym robić? Tak to przynajmniej trochę wśród ludzi posiedzę. Boli mnie, że we wsi całe życie mieli mnie na językach. Że to ta, co mąż ją tłucze, co syn z domu wygania. No ale taki mój los. Teraz mieliśmy występy z okazji Dnia Niepodległości. To jakoś o tych smutkach nie myślałam.

Szybki ruch firanek

Z prognoz demograficznych wynika, że w 2030 roku w Polsce ponad połowa gospodarstw domowych będzie prowadzona przez osoby powyżej 65. roku życia. Prowadzący mówią jedno: seniorom wystarczy iskra, by zachęcić ich do aktywnego życia.

Tomasz Kireńczuk: Gdy rozpoczynaliśmy projekt, żaden z burmistrzów nie był zachwycony pomysłem aktywizacji seniorów. Bo niby po co? Uważali, że lepiej wspomóc szkoły czy młodzież. Wielu seniorów miało za sobą sześć kursów komputerowych albo kilka kursów angielskiego dla początkujących. Dlaczego? Bo tylko to oferowała gmina. Seniorów hamuje wstyd. Nie poproszą o pomoc, trudno im samodzielnie nawiązać kontakt. Często mówią, że sami nigdy by nie wyszli do ludzi. A wystarczy stworzyć im choć jedną okazję, by mogli się lepiej poznać. Podam przykład. Pewna seniorka chciała spacerować z kijkami. Nie mogła się przełamać. Bo jak to? Tak przez całą wieś maszerować? Pomyślała, że jej odbiło. Zebraliśmy kilkanaście osób i jednak poszliśmy na ten spacer. Firanki w oknach hulały w tę i z powrotem. Ale po jakimś czasie na spacer z kijkami chodziła już cała wioska.

Na co czekają Penelopy?

Fanpage „Aktywne Penelopy” na Facebooku: 270 polubień, 891 zdjęć na osi czasu, stowarzyszenie istnieje już ponad cztery lata. W Piwnicznej-Zdroju mieszkają Aktywne Penelopy i mają swoje marzenia:

Anastazja: Chciałabym chociaż raz w życiu polecieć samolotem.

Basia: Marzę o wycieczce do Rzymu.

Monika: Chciałabym zrobić prawo jazdy.

Anna: A ja modłę się, żeby mieć wnuczkę.

Aktywne Penelopy to czternaście kobiet i dwóch panów. Najmłodsza Penelopa ma 60 lat. Ich żywioł to kabaret. Zna je całe województwo. Występują w sanatoriach, na festynach i plenerowych imprezach. Jeżdżą na wycieczki. Ostatnio były w Pieninach i na zamku w Czorsztynie. O godzinie 15.00 polewają wódkę do połowy szklanki. Wszystkie wyglądają jak z żurnala: skórzane kurtki, szpilki, koronkowe bluzki, przedłużone rzęsy, na paznokciach brokaty. Tak samo wyglądają na scenie. Drapieżne i seksowne. Na łydce tatuaże. Wieku po nich nie widać.

Zofia: Najpierw byłyśmy w innym stowarzyszeniu, zajmowałyśmy się robótkami ręcznymi. Ale to zajęcie nie dla nas. Nuda i flaki z olejem! Może jak skończymy sto lat, to będziemy kwiatki wyszywać. Wszystkie mamy gorący temperament i ciągle się śmiejemy. Założyłyśmy swoje stowarzyszenie. Od razu wiedziałyśmy, że Penelopy to będzie kabaret. Bo my uwielbiamy się bawić. Jak dowiedziałyśmy się o warsztatach Teatru Nowego, to od razu zebrałyśmy grupę. Zajęcia pomogły nam w lepszej komunikacji. Efekt? Przygotowujemy już trzeci program kabaretowy. Dziewczyny! Dawajcie. Śpiewamy nasz hymn!

Aktywne Penelopy chórem:

Na południu w pewnym mieście powstał pewny klub niewieści
To są Penelopy! Drżycie wszystkie chłopcy!
My są silne baby, wszystkim damy radę!
Chociaż my nie nastolatki,
werwy u nas pod dostatkiem,
Smutki odganiamy, śpiewem nadrabiamy,
Wino wypijemy, w łóżku figlujemy!
Menopauza nam nie straszna,
ziołka na to są, rzecz jasna,
Dbamy o urodę, czujemy się młode,
kremy wklepujemy i spacerujemy!
Za to gorzej mają chłopcy, no bo to nie Penelopy,
Z seksem u nich lichy, spadło już libido.
Choćby się starali, facet już do bani!

Większość Penelop urodziła się w Piwnicznej-Zdroju i mieszka tu całe życie. Kilka z nich to wdowy, ale są też mężatki i singielki. Wiele pracowało w „geesie”, czyli Gminnej Spółdzielni, bez której trudno wyobrazić sobie dawny krajobraz polskiej wsi. GS-y skupowały wszystko od rolników: zboże, warzywa, owoce, tuczniki, a nawet końskie włosie. Prowadziły sklepy wszystkich branż, w Piwnicznej dodatkowo rozlewnię wód mineralnych.

Zofia: Woda z Piwnicznej czyni cuda, nie ma lepszej. To chyba po nas widać? Z nas to są takie regionalne gwiazdki. Jesteśmy uzależnione od sceny. Jeździmy gdzieś bez przerwy. But na obcasie u Penelop to podstawa. Same piszemy sobie teksty, czasem też coś podpatrzemy. Wszyscy mówią: one to mają życie! Tylko że ta nasza energia to leży w charakterze. Zawsze byliśmy wesołe i spontaniczne. To czemu miałyby się to zmienić? Potrafiemy się dogadać i jesteśmy zgrane. Umiemy się z domu wyrwać. My nie jesteśmy kościelne. I proszę zapamiętać, że mężczyźni odchodzą, a przyjaciółki zostają! Obecność kobiet jest w życiu niezastąpiona. Nie straszne nam zmarszczki czy menopauza. Potrafiemy się z siebie śmiać. Ludzie kochają nas za to, że mamy do siebie dystans.

Helena: Oczywiście mamy swoje kłopoty, jak każdy. Ale spotykamy się, żeby się od tego trochę uwolnić. Więc o smutnych sprawach tu nie będziemy gadać. Niedawno zresztą zmarła nasza koleżanka. Nie chciała, żebyśmy szlochały. W autobusie, którym wracałyśmy z jej pogrzebu, było dużo śmiechu. Aż kierowca się dziwnie patrzył. Skąd nazwa? Tak dziadek Zośki krowę nazywał: Aktywna Penelopa. Bo do końca mleko dawała!

To na co czekają Penelopy? Zofia: No jak to? Na kochanków! Tylko musimy pilnować, żeby się jeden z drugim w tym samym czasie nie spotkali.

Nie pożyczymy szubienicy

Prowadzący podkreślają, że każda nowa grupa oznacza zawsze te same trudności. Dana Bień: Na zajęciach grupy złożonej z seniorów z Tymbarka i sąsiedniej gminy Dobra od początku coś nie grało. Okazało się, że obie gminy wprost się nie cierpią, bo 200 lat temu jedna drugiej nie chciała pożyczyć szubienicy. Wyzwaniem było dla nas poprowadzić zajęcia tak, by ci ludzie sobie zaufali. W wielu miejscowościach wzajemne kontakty utrudniają animozje, które przechodzą z pokolenia na pokolenie. Widać też podziały klasowe. Rolnik rzadko ma odwagę porozmawiać z nauczycielem, ma kompleksy. Często sąsiedzi, którzy mieszkają obok siebie dom w dom od 40 lat, prawie nic o sobie nie wiedzą. Trudno im przełamać się i powiedzieć sobie „cześć” zamiast „dzień dobry”.

Tomasz Kireńczuk: Problemem są też silne stereotypy związane z rolami płciowymi. Wiele kobiet całe życie robiło coś dla kogoś i wyjście z domu na jakieś warsztaty wydaje im się bezproduktywne. Pytają wtedy, kto popilnuje wnuka albo ugotuje obiad. W tle jest też dużo cierpienia i życia w przemocy, alkoholizmie. Kobiety bardzo przeżywają sytuację wdowieństwa, która często przeradza się w wieloletnie pozostawanie w domu. Różnice w długości życia mężczyzn i kobiet na wsi wciąż są bardzo duże. Starość na wsi ma więc najczęściej twarz kobiety.

Rodzina z wyboru

Fanpage Stowarzyszenia „Sami Swoi” z Olesna na Facebooku: 208 polubień, 624 zdjęcia na osi czasu, grupa działa od czterech lat i liczy 27 osób. To w większości nauczyciele emeryci i ich dawni uczniowie z tutejszej szkoły. Są też rolnicy, którzy przekazali gospodarke dzieciom. Stowarzyszenie „Sami Swoi” ma za sobą kilkadziesiąt występów. W programie są skecze i piosenki, które nawiązują do czasów PRL-u. Pokazy są częścią małopolskich festynów i regionalnych uroczystości.

Helena (nauczycielka języka polskiego): W 2014 roku pojechaliśmy na warsztaty w Janowicach. Wszystko załatwiła nam pani z naszej gminnej biblioteki. Na początku byliśmy skrepowani. Niby znaliśmy się tyle lat, ale przecież nie jakoś bardzo dobrze. Zajęcia były dla nas formą zabawy. Czasem czuliśmy się jak dzieci. Głównie się wygłupialiśmy. Na przykład razem budowaliśmy szalas na bezludnej wyspie. Musieliśmy też każdemu napisać na kartce coś miłego. Było z tym sporo wzruszeń. Dana i Tomek wciągnęli nas w wielką zażyłość. Okazało się, że wielu rzeczy o sobie nie wiemy. Dawno też nie czułam takiej beztroski. Jestem jedynaczką. Lubię ludzi, w szkole uczyłam dzieci języka polskiego. Zawsze chciałam mieć wielką rodzinę. To marzenie spełniłam. Mam sześcioro dzieci. Trzy córki i trzech synów, a wnucząt aż jedenaścioro. Nasze spotkania trwały już rok, gdy zmarł mój mąż. Na pogrzebie płakałam najpierw z rozpaczy, a potem ze szczęścia. Zobaczyłam moją grupę. Przyszli wszyscy, uściskali mnie. Położyli piękne wieńce. Wtedy pomyślałam: „Boże, ile mam przyjaciół. Jest jeszcze po co żyć. Dla tylu życzliwych ludzi warto”.

Jasia: Pięć lat temu przed Świętem Zmarłych wyszłam z mężem na spacer. Nagle zaczęła go boleć noga, mówił, że dalej nie pójdzie. Dostał udaru pnia mózgu. Oboje byliśmy nauczycielami na emeryturze. Nasze dotychczasowe życie legło w gruzach. Mąż spędził półtora miesiąca w szpitalu w Rzeszowie. Nie wstawał. Myślałam, że już zawsze będzie leżący. Rehabilitacja trwała następne miesiące. Udało się postawić go na nogi. Byłam z nim cały czas. Mąż jest osobą, która się nie skarży. Na szczęście choroba ominęła aparat mowy. Widziałam na oddziale takiego człowieka. Nie mówił, coś bełkotał. Rwał włosy z głowy. Jego żona pytała mnie, co teraz z nimi będzie. Płakała, że nie wyobraża sobie powrotu do domu. Wiem, że mogło u nas być gorzej. Mój mąż ma niedowład lewej części ciała, ale nie chce chodzić o lasce. Zwykle go prowadzam, ale wygląda to tak, jakbym trzymała pijanego. Ludzie odwracają się na ulicy, szepczą. Mąż ma kłopoty z pamięcią. Czasem zdarza mu się założyć moje spodnie. Pomagam mężowi we wszystkich czynnościach. Myję go, przebieram. Na pewno choroba trochę go zmieniła. Na długo zamknął się w sobie. Nie chciał nigdzie

wychodzić. Gdy go namówiłam raz na spacer, to upadł i złamał nogę. Sporo razem przeszliśmy, ale się nie poddajemy. Dzieci nam pomagają, ale wiadomo, że też mają swoje rodziny. Męczyłam męża o te warsztaty w Janowicach. Nie chciał, odmawiał, złościł się. Bo niby jak on taki niedołączny da sobie radę? Trafiliśmy na wspaniałą parę trenerów, którzy dostosowali zajęcia do jego możliwości. W finałowym spektaklu wystąpił na scenie. Do dziś myślę o tym ze wzruszeniem. „Sami swoi” to nasz drugi dom. Wiem, że mogę liczyć na przyjaciół. Zawsze wesprą rozmową, pożartują. Nigdy nie myślałam, że coś takiego jeszcze nas spotka w życiu. Mąż się częściej uśmiecha, nie wstydzi ludzi. Dla mnie to wiele znaczy. Stowarzyszenie nauczyło mnie jednego. Że człowiek chce być potrzebny i da siebie bezinteresownie. Chce czuć do końca, że jest pożyteczny dla społeczeństwa.

Helena (nauczycielka matematyki): Tuż po mojej maturze starsza o trzy lata siostra bardzo zachorowała. Rodzice wydali wszystkie pieniądze, by ją ratować. Niestety zmarła. Bardzo chciałam uczyć się dziennie w studium nauczycielskim w Krakowie, ale nie było nas stać. Uczyłam się wieczorowo. Wyszłam za mąż za milicjanta. Nauczycielom gmina dawała wówczas dach nad głową, mieszkaliśmy we wsi u przemiłych gospodarzy. Urodziłam córki. Gdy starsza miała cztery lata, mąż zwariował na punkcie jednej pani. Przyjechała ze Stanów do Polski wziąć rozwód. Była elegancka, bogata. Jeździła sportowym samochodem. Mężatką byłam pięć lat. Gdy mąż mnie zostawił, miałam 26 lat. We wsi wytykano mnie palcami. Mówili, że musiałam być beznadzieją żoną, skoro mąż poszedł do innej. Pamiętam, jak z córeczkami szłam z kościoła. Ludzie mi dokuczali, a mnie lały się łzy wielkie jak grochy. Mojej mamie też ludzie robili różne przytyki. Było mi bardzo ciężko. Ksiądz nie chciał dać mi rozgrzeszenia, bo nie walczyłam o męża, tylko dałam mu rozwód. W sklepie kobiety nie chciały mi sprzedać jajek, bo jestem rozwiedziona. Czułam się nikim. Córeczki też cierpiały. Zwłaszcza starsza, która pamiętała, jak ojciec się z nią bawił, woził na motorze. Mąż wyjechał do Stanów, założył drugą rodzinę. Po latach też się z tą kobietą rozwiódł. Nigdy nie płacił mi alimentów, o córkach zapomniał. Starsza nigdy

mu tego nie wybaczyła. Młodsza z kolei zaprosiła go na swój ślub, ale nie przyjechał. Żeby udowodnić sobie, że jestem coś warta, skończyłam matematykę na Uniwersytecie Jagiellońskim. Uczyłam w szkole. Kupiłam sobie kapelusz, choć nie lubię nakryć głowy. Nosiłam go z podniesioną głową. Staralam się być twarda, ale to wykluczenie społeczne zostawiło we mnie ślad. Zastanawiałam się, za co mnie to spotkało. Przez lata siedziałam w skorupie. Gdy córki wyprowadziły się z domu, związałam się z mężczyzną. Byliśmy razem 11 lat. Zostawił mnie dla kobiety, którą poznał w sanatorium. Chciał wrócić, ale już nie byłam zainteresowana. Skorupę miałam coraz grubsza. Byłam coraz bardziej zgorzkniała. Dopiero warsztaty w Janowicach i moja nowa rodzina z wyboru sprawiły, że odżyłam. Mam jeszcze czasem kryzysy, ale wiem, że jestem akceptowana. Potrzebowałam tylu lat, by czuć się dobrze wśród ludzi. Z nimi śmieję się najgłośniej.

Czuć się podmiotowo

Co boli seniorów? Dana Bień: Widać, że polscy seniorzy to ludzie, których nikt nie pyta o ich potrzeby, uczucia. Wielu z nich po raz pierwszy w życiu usłyszało pytanie o to, co myślą, co czują. Jak już się otworzą, często zdarza mi się płakać razem z nimi. Tomkowi zresztą też. Tomasz Kireńczuk: Seniorzy powtarzają, że bolą ich społeczne stereotypy. To mit, że są rozmodleni i mało tolerancyjni. Zwykle nie są źle nastawieni wobec innych narodowości czy mniejszości seksualnych. Są otwarci na inność, ciekawi świata, mają wielki apetyt na życie. Pamiętam, jak jedna grupa seniorów z pewnym skrępowaniem mówiła o tym, dlaczego głosuje na PiS. Wcale nie traktują partii rządzącej bezkrytycznie. Doceniają jednak, że do tych małych miejscowości przyjeżdżają działacze. Rozmawiają ze wszystkimi, podają rękę. Wiele starszych osób nie widziało polityka w swojej okolicy od 20 lat. Gdy ktoś taki przyjedzie, seniorzy czują się podmiotowo. A to najważniejsze na tym etapie życia. Czuć, że wciąż znaczy się dla kogoś wiele jako człowiek.

Pytam Aktywne Penelopy, czy jest coś, co im szczególnie doskwiera.

- *Mówić szczerze czy gazetowo?*

- *Szczerze!*

- *Od kiedy razem śpiewamy, pijemy wódkę i gadamy o seksie, nic nam nie doskwiera.*

Iga Dzieciuchowicz – teatrolożka i reporterka. Współpracowała z „Didaskaliami”, „Notatnikiem Teatralnym”, „Gazetą Wyborczą”, portalem publicystyczno-społecznym „Polska Ma Sens”. Współautorka książki Bartoszewski. Droga. Na co dzień redaktorka „Codziennika Feministycznego”. Ostatnio swoje reportaże publikuje w „Dużym Formacie” i „Tygodniku Powszechnym”.

Spółeczni strażnicy demokracji

Aleksandra Pezda

{Jak jedna pięść.

Historia pewnej mobilizacji}

Nauczyciele mówią: Związki zawodowe są upolitycznione. Zabetonowane struktury podejmują decyzje, których skutki uderzają w zwykłych nauczycieli. Jest tak, jakby reprezentowały wyłącznie siebie, a nie nas jako grupę zawodową.

Pierwszego dnia szkoły w 2019 roku Agnieszka Bilaska obudziła się w swoim mieszkaniu w Gliwicach jak zwykle nad ranem. Nakarmiła kota, wyprowadziła psa. Synowi podała białą koszulę na rozpoczęcie nauki w nowym liceum. Wyszli o tej samej porze, pożegnali się, Agnieszka nie skręciła w stronę szkoły. Po raz pierwszy od 22 lat nie powita nowej klasy. Nie powie im kilku słów na zachętę – że angielski łykną bez problemu, że się będą razem dobrze bawili. W zamian – przeżyje swój własny początek.

Nie lubiła szkoły jako uczennica, jako dorosła chciała zmienić system od środka. Przed nią uczniowie mogli się wyżalić, poprosić o pomoc, na nią zawsze mogli liczyć. Opieka nad samorządem? Ona pierwsza. Akcja klimatyczna? Również z nią. Innowacyjna do bólu, próbowała wszystkiego, co nowe i obiecujące: kartkówki na Facebooku, lekcje jak gra komputerowa, fiszki w chmurze, quizy ze słówek na smartfonach. Ale z tym już koniec. W chwili, gdy w sali gimnastycznej jej byłego liceum uczniowie zbierali się na apel, Agnieszka weszła do biurowca nowoczesnej, zaawansowanej technologicznie firmy. Teraz nie ona będzie uczyła, ale ją przyuczą – na stanowisko starszego specjalisty w marketingu.

Jest taka scena w „Peaky Blinders” – brytyjskim serialu o gangu, który na początku XX wieku trząsł Birmingham: maszerującym gangsterom wiatr rozwiewa poły płaszczy, do liderów

przyłączają się kolejni ludzie, siła grupy bije z ekranu. Anna Janaszek-Seydlitz, anglistka z XV LO im. Narcyzy Żmichowskiej w Warszawie, przypomniała ją sobie, kiedy planowała scenariusz do strajkowego wideoklipu. Pomyślała: „To jest o nas – o nauczycielach w proteście”.



Był kwiecień, trzeci tydzień strajku, do którego przystąpiło ponad pół miliona polskich nauczycieli. Duże miasta radykalizowały się. Silne środowisko wrocławskie krzyczało na cały kraj, że nie kiwnie nawet palcem, dopóki rząd nie dopuści nauczycieli do polityki oświatowej. Warszawskie licea zjednoczyły się i domagały udziału w rozmowach między

związkami zawodowymi a rządem. Nauczyciele brylowali w mediach, pisali listy protestacyjne, strajk był nadal głównym niusem. Wszystko wskazywało na to, że potrwa nawet i do nowego roku szkolnego.

Jednak w negocjacjach między rządem a Związkiem Nauczycielstwa Polskiego był pat. Rząd nie ustępował, ZNP nie posunęło się nawet krok do przodu. Z państwowych mediów wylewał się na pedagogów hejt. Pod presją zniecierpliwionych lokalnych środowisk, powoli odpadały ze strajku mniejsze miasta, a na wsiach trwali przy proteście pojedynczy nauczyciele. Narażali się – kogoś zaczepiono nieprzyjemnie na ulicy, jakiejś nauczycielce ekspedientka odmówiła zakupów. W szkołach interweniowali rodzice, wściekli, że nie ma opieki nad dziećmi. „Darmozjady” – mówili o nauczycielach.

23 kwietnia, we wtorek, Anna współorganizowała spotkanie przedstawicieli komitetów strajkowych z całego kraju. Postanowiła zagrzać kolegów do walki. Ktoś ściągnął operatorkę

z kamerą, która zgodziła się nakręcić klip za darmo. Na potrzeby scenariusza Anna wypisała argumenty, z którymi przystępowała do protestu:

Strajkuję, bo edukacja to nie koszt, to inwestycja
Strajkuję, bo walczę o godność zawodu nauczyciela
Nie przerywam strajku, bo moi uczniowie tego oczekują
Bo nie godzę się na deformę polskiej szkoły
Strajkuję, bo wykształcone społeczeństwo jest silne
Bo nie chcę już słyszeć, że marnuję się w tej pracy
Strajkuję, bo warto bronić swoich przekonań
Bo chcę edukacji na miarę 21. wieku
Strajkuję, bo po raz pierwszy od dawna jesteśmy jak jedna pięść.

Z ostatniego hasła była szczególnie dumna. *Znaczyło, że jesteśmy silną grupą, że nareszcie się zjednoczyliśmy. Tak się też wtedy czuła.*

Agnieszka pamięta, choć wolałaby zapomnieć, jak podczas strajku w gliwickim liceum stanęła w sali gimnastycznej naprzeciw gromady uczniów. Przyszli dowiedzieć się, co z maturą, a raczej to strajkujący nauczyciele ich zaprosili, żeby wyjaśnić kontrowersje. Chodziło o wystawienie ocen, tzw. klasyfikację: strajk wykluczał zebrania Rady Pedagogicznej, na której klasyfikacja mogła się odbyć, jej brak z kolei blokował możliwość przystąpienia do matury. W niektórych szkołach w kraju nauczyciele wystawili oceny jeszcze przed strajkiem, w innych tego odmówili. Maturzyści bali się, że to stworzy między nimi nierówności. Atmosfera była napięta, rosła wrogość wobec strajkujących.

Agnieszka powtarzała uczniom, żeby się nie bali. *Wasza matura się odbędzie. Może przesunie się termin, ale nikt was nie zostawi bez wyjścia.* Tłumaczyła, że w strajku nie chodzi wyłącznie o pieniądze: *Nie da się pracować w szkole, przez którą przewala się reforma za reformą, a nauczyciele nie mają w ogóle głosu. Zaszliśmy już tak daleko, nie możemy teraz odpuścić.* Jedna uczennica odezwała się: „Dziękuję za lekcję

wychowania obywatelskiego”. Inna: „Zagraliście w otwarte karty, może naprawdę wam na nas zależy”. Agnieszce wydawało się, że rozbroiła bombę wzajemnej wrogości.

Wyjeżdżali z Kłodzka o trzeciej nad ranem – autokarem, prawie 50-osobową grupą. To zasługa kolegów z ZNP, to oni zorganizowali podwózkę na ogólnopolską manifestację do Warszawy. Żeby się tam dostać, Danuta Mołdysz, anglistka z kłodzkiego I LO im. Bolesława Chrobrego, musiała wstać w środku nocy. Dzień miał być słoneczny, ale chłodny, założyła więc kurtkę, zabrała ze sobą szalik. Po pięciu godzinach wysiadły z koleżanką blisko Dworca Zachodniego, pozostali pojechali pod MEN. Błądziły trochę, zanim dotarły do LO im. Hoffmanowej – zabytkowy budynek, wewnątrz nowoczesne, były pod wielkim wrażeniem. Przede wszystkim kręciła je okazja: pierwszy mityng protestujących szkół z całej Polski. Zawiązą Ogólnopolski Międzyszkolny Komitet Strajkowy. Staną się wreszcie partnerem do rozmów o edukacji i będą mówić we własnym imieniu, bez pośredników ze związków zawodowych, którzy są jak politycy – umoczeni w partyjne gry.

To był Danuty drugi strajk. W tym z 1993 roku, kiedy jedne szkoły przeprowadziły matury, a drugie nie, też brała udział. Tegoroczny zapowiadał się jeszcze ciekawiej. Zaczynała go jako przewodnicząca szkolnego komitetu strajkowego z ramienia Solidarności, jednak związek dogadał się na boku z rządem i wycofał ze strajku, jeszcze zanim ten się zaczął. Danuta musiała więc dołączyć do kolegów z ZNP. Jej koleżanki z Solidarności w innej szkole nie miały już tak łatwo. Żeby legalnie strajkować, musiały sobie same założyć ognisko ZNP, bo takiego w ich placówce dotąd nie było. No, to założyły. Ma się rozumieć – oddały tym samym legitymacje Solidarności. Trudno. Postulaty strajkowe bardziej do nich przemawiały niż polityka ich związku zawodowego. Napisały lojalnie w tej sprawie list do władz Solidarności, do dziś nie dostały jednak odpowiedzi.

Po prawie trzech tygodniach strajku Danuta jechała do Warszawy z wyraźnymi instrukcjami od swojego środowiska: utrzymajcie strajk. W tamtym momencie oznaczało to akurat brak klasyfikacji dla maturzystów. Zagłosowała zgodnie z pełnomocnictwem. Cóż z tego, kiedy większość delegatów apelowała, aby wystawić

maturzystom oceny. Mieli przeciek, że rząd szykował zmiany w prawie, które pozwoliłyby burmistrzom i wójtom wystawić te oceny (co jeszcze tego dnia okazało się prawdą), do tego prawnik z ZNP straszył ich, że z powodu zagrożonych matur rząd może zdelegalizować strajk. Ostatecznie zdecydował argument, że lepiej się nie narażać na dłuższą krytykę ze strony uczniów i rodziców, bo strajk straci społeczne poparcie. Przegłosowali Danutę i kilkoro innych upartych. Kiedy to ogłosili w Internecie, strajkujący nauczyciele obrzucili ich błotem. „Zdrada!” i „Targowica!” – pisali.

W ZNP mieli o strajku chyba takie samo pojęcie jak my: że potrwa dwa, może cztery dni i szczęśliwie się zakończy, najlepiej jakimś zgrabnym kompromisem. A kiedy rząd wziął nas na przetrzymanie, pomysły związkowców się wyczerpały i wyszło, że na dalszy ciąg nie opracowali strategii – tak ocenia przebieg strajku Ewa Nizińska, nauczycielka matematyki w IX LO im. K. Hoffmanowej w Warszawie. Siadamy w jej klasie – obszernej, na trzydzieścioro uczniów, w sam raz dla podwójnego rocznika, jaki po likwidacji gimnazjów zalał licea. Tradycyjna tablica, nauczycielskie biurko ustawione frontem do ławek. Jedną Ewa wyciąga z rzędu, żebyśmy się poczuły jak na spotkaniu, nie na egzaminie.

W trakcie strajku mieliśmy do podjęcia mnóstwo decyzji. Czy odmawiać przeprowadzenia egzaminów? Klasyfikować maturzystów, czy nie? Jak długo mamy wytrzymać? Nasz szkolny komitet strajkowy kontaktował się z oddziałem ZNP Śródmieście, oddział Śródmieście pytał „wyżej”, czyli w oddziale warszawskim, tamci słali pytanie do mazowieckiego, a dopiero stamtąd do centrali. Zanim odpowiedzi wróciły, strajk się skończył.

Jedna szkoła nie wiedziała, co robią inne, jedno miasto nie wiedziało, jak postąpią koledzy w sąsiednim, a co dopiero na drugim końcu Polski. Po pierwszych dniach euforii cisza na szkolnych korytarzach dokuczała coraz bardziej. Nie działało się nic.

Szkolne komitety strajkowe zaczęły konsultować decyzje między sobą na Facebooku, w większych miastach nauczyciele szybko uruchomili grupy dla strajkujących. W Warszawie po tygodniu

nauczycielki z XXVII LO im. Tadeusza Czackiego zwołały spotkanie szkół ze Śródmieścia. Przyszło prawie 100 osób, również z innych dzielnic – założyli Warszawski Międzyszkolny Komitet Strajkowy. Zapisało się ponad 90 szkół.

W innych miastach działo się to samo. Pierwszy był Wrocław, a w drugim tygodniu strajku już 22 miasta założyły swoje MKS-y. Na 23 kwietnia, w dzień ogólnopolskiej manifestacji organizowanej przez ZNP, skrzyknęli do Warszawy delegatów z całego kraju – po 2 osoby z kilkunastu ośrodków, około 40 delegatów. Pachniało im rokiem 1980.

Każdy strajk ma z natury rzeczy polityczny charakter, ale my chcieliśmy stworzyć apartyjną organizację – mówi Nizińska. Strajkowała, bo: Przerażała mnie reforma, sposób oraz tempo, w jakim była wprowadzana. Panuje chaos, zmieniają się programy, co rocznik to inna matura. Każdy z systemów edukacji można obronić – z gimnazjami czy bez – ale nie można wprowadzać drastycznych zmian w biegu.

Kwietniowy strajkowy klip kręcili w tym samym czasie, kiedy zaledwie kilka przecznic dalej maszerowała wielka manifestacja wspierająca strajk – w Warszawie kilkanaście tysięcy ludzi, podobnie w innych miastach Polski. Emocje rosły, prezes ZNP Sławomir Broniarz mówił do tłumów: „Dzisiaj niczego nie kończymy, strajk trwa”. Delegaci na spotkaniu OMKS-u czuli się częścią czegoś większego i ważnego.

Pierwsza szła do kamery Anna Janaszek-Seydlitz. Mówiła o edukacji jako inwestycji. Za nią kolejni uczestnicy spotkania, i następni – na przemian, z dwóch stron dziedzińca liceum Hoffmanowej. Agnieszka Bilska w jednym z pierwszych rzędów śmiało patrzy w kamerę. Zawsze bierze na siebie ciężar decyzji i odpowiedzialność. Danuta Mołdysz skryła się gdzieś przy końcu, ale i tak załapała się na zbliżenie.

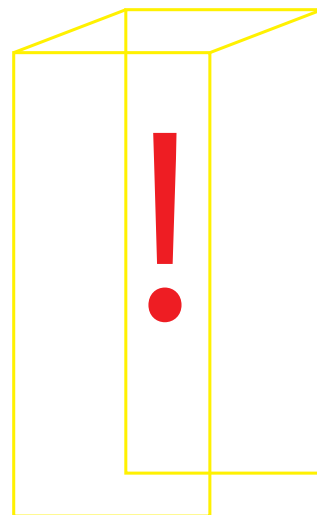
Próbowali tylko raz, umówili się na poważne miny, żeby nie wypaść, jakby się strajkiem bawili. Kolejne szeregi liczniejsze od poprzednich, kolejne głosy odczytywały hasła. Zbliżenia na zamyślane twarze pasowały do końcowego, Anny ulubionego zdania „Jesteśmy jak jedna pięść”.

Klip był gotowy już następnego dnia, postawili na czarno-biały obraz, nie było czasu na dobór podkładu muzycznego – żalowali, bo muzyka potęguje emocje. Anna była z filmu zadowolona, chociaż wyszedł bardziej ponury, niż porywający.

Wrzuciła na Facebook – kilkaset polubień, kilkaset udostępnień. Jeszcze dzień i może byłby viral. Tylko że właśnie wtedy prezes Broniarz ogłosił w mediach: „ZNP zawiesza strajk”. W jednej minucie zagrzewanie ludzi do wspólnej walki, akcentowanie jedności nauczycielskiego środowiska oraz metafora z pięścią straciły na znaczeniu.

Czułam się bezradna, wystawiona, właściwie zdradzona – Ewa komentuje zawieszenie strajku. Przyznaje, że się popłakała. Czterysta kilometrów w głąb kraju, Danuta pocieszała młodszą koleżankę z kłodzkiego liceum: „Trzymaj się. Ja niedługo idę na emeryturę, ale ty będziesz musiała to ciągnąć”.

W Gliwicach Agnieszka zrozumiała, że ma nad głową szklany sufit. Pamiętała, jak po spotkaniu z maturzystami spokojnie wróciła na strajkowy front. Organizowała wymianę informacji pomiędzy szkołami i regionami, manifestacje, angażowała się w budowanie struktur OMKS. Myślała nawet: „to jest ten moment, od którego będę godnie pracować i poczuje się dobrze w zawodzie”. Pierwsze zwątpienie dopadło ją po głosowaniu nad klasyfikacją w Warszawie. Zgodziła się przyjąć perspektywę większości – że niewystawienie ocen wpędzi strajkujących w kłopoty. Kiedy do niej dotarło, że nie taka była jej misja, bo jechała przecież podtrzymać strajk, poczuła się jak trybik w maszynie. Czyli tak, jak czuła się w szkole już od wielu lat. Co powie uczniom, którym kilka dni wcześniej tłumaczyła, że chce strajkować do końca, nawet do głodówki? Kiedy więc prezes ZNP ogłaszał w telewizji zawieszenie strajku, Agnieszka już wiedziała. Nie może zostać w szkole. Nie może, bo będzie tam jeszcze gorzej niż przed strajkiem.



26 kwietnia, kiedy było już wiadomo, że jest po strajku, ale formalnie miał trwać jeszcze jeden dzień, Władysław Frasyniuk spotkał się z nauczycielami z Wrocławia. Przestrzegł, żeby się nie kłócili i nie dali się podzielić. „Nie ma przegranych strajków. Gdy wyjdziecie z tego spotkania, już macie myśleć, co dalej” – mówił.

Podtrzymał nas na duchu – przyznaje Anna Pandura, nauczycielka historii w XIII LO we Wrocławiu. Szkoda jej było wyzwolonego w strajku potencjału jedności i współdziałania. Brakowało tego w szkole: pracowali w pojedynkę, każdy prowadził własną walkę o przetrwanie, a każda szkoła – politykę na własną rękę. Strajk nam udowodnił, jak wiele dzielimy problemów.

Podjęła z kolegami decyzję, że będą je rozwiązywać razem. Założyli Stowarzyszenie – MKS Dolnośląskie Porozumienie Nauczycieli, w celach wpisali m.in. integrację środowiska, działania na rzecz poprawy warunków pracy, opiekę nad młodymi nauczycielami, obronę godności, praw i interesów nauczycieli. Zadeklarowali pracę nad zmianami w edukacji na każdym szczeblu. Stowarzyszenie liczy ok. 80 członków. Na razie zorganizowali manifestację na dzień KEN, dogadali z prezydentem miasta wsparcie jego prawnika w ewentualnych sprawach nauczycieli.

Dzięki strajkowi nie patrzymy już na nasz zawód przez pryzmat misji, zaczęliśmy o nim myśleć jak o wykonywaniu określonej pracy. Teraz czas doprecyzować warunki – mówi Pandura.

Na przykład: czy nauczyciel na kilkudniowej wycieczce naprawdę nie przekracza ustawowych godzin pracy? Albo czy popularne obozy naukowe to nie jest czas wytężonej pracy w nadgodzinach? Pandura: Związki są upolitycznione. Ich zabetonowane struktury podejmują decyzje, których skutki uderzają w zwykłych nauczycieli. Jest tak, jakby reprezentowały wyłącznie siebie, a nie nas jako grupę zawodową.

Danuta Mołdysz wie, jak związki zawodowe się przydają. Przykład: to lokalne ogniwa związkowe – wspólnie, bez względu na polityczne zaplecze – dogadały się z burmistrzem Kłodzka, żeby wyrównał nauczycielom pensje po strajku. Dlatego dzień po zawieszeniu strajku napisała na Facebookowej grupie OMKS:

„Wnioskuje o założenie nowego związku zawodowego”. Nie podchwycili. Uznali, że zakładanie związku zawodowego będzie zbyt skomplikowane. Na kolejnym spotkaniu OMKS-u w czerwcu ustalili jednak, że będą zakładać stowarzyszenia – najlepiej z wpisem do KRS, żeby je połączyć w federację. Pierwsza była oczywiście Danuta w Kłodzku. *To olbrzymia wartość, że się zjednoczyliśmy – powtarza sobie do dziś. Niezłomnie wierzy, że z tego strajkowego wysiłku coś jeszcze będzie.*

Inni wierzą trochę słabiej. W Warszawie na około 100 zgłoszonych do stowarzyszenia, udziela się może 10. Ewa Nizińska: *W trakcie strajku ludzie mieli dużo czasu i obudzili się do rozmaitych aktywności, na które normalnie nie mieliby czasu i sił. We wrześniu przyszła postrajkowa obniżka formy.*

W Krakowie nowe Małopolskie Porozumienie Nauczycieli zorganizowało debatę o edukacji z politykami, w planie ma następne tego typu wydarzenia. Ale w strukturach udziela się w kilkoro nauczycieli. *Mobilizacja siadła. Na wielu płaszczyznach: zarówno w kwestiach jednoczenia się nauczycieli, jak i chęci do działania – przyznaje prezeska MPN Grażyna Zagórna. Jest anglistką, pracuje na dwóch etatach, rozumie dlaczego nauczycielom nie wystarcza czasu na dodatkowe aktywności. Wielu straciło energię, opadły im skrzydła – konstatuje.*

Skrzydła nie opadły na przykład aktywistom Facebookowej grupy „Ja, nauczyciel’ka”. Grupa powstała przy okazji nauczycielskiego protestu wyprzedzającego decyzję o strajku, dziś liczba jej członków sięga niemal 40 tys. Po strajku założyli fundację, a na początku grudnia zapowiedzieli, że zarejestrują nowy związek zawodowy. Około 2 tys. nauczycieli opowiedziało się w internetowej ankiecie za potrzebą powołania takiego związku. *Chcemy zbudować nową reprezentację nauczycieli i uczestniczyć w rządowych i sejmowych pracach nad zmianami w oświacie – mówi Marek Mendel, prezes fundacji, dyrektor Szkoły Podstawowej w Kościeliskach.*

„Ja nauczyciel’ka” współorganizowała Narady Obywatelskie o Edukacji w całym kraju. Nauczyciele, rodzice, uczniowie

dyskutowali na nich wokół 21 postulatów dla edukacji, m.in. o podniesieniu nauczycielskich pensji, zmniejszeniu biurokracji w szkołach czy zwiększeniu autonomii nauczycieli i szkół.

Ale po zapowiedzi o rejestracji związku, liderzy fundacji zaczęli mówić również o konieczności zniesienia Karty nauczyciela. Karta utrzymuje pensje nauczycieli na tym samym poziomie w całym kraju i reguluje czas pracy, określa kształt awansu zawodowego, chroni przed zwolnieniami. Zapowiedź zniesienia Karty zazwyczaj natychmiast wywołuje nauczycielskie protesty. Czy z takim postulatem liderzy nowego związku, nawet jeśli powstanie, uzbierają wymagane prawem 15-procentowe poparcie środowiska? Bez tego ich związek nie zostanie uznany za reprezentatywny i nie będzie mógł uczestniczyć jako pełnoprawny partner w rozmowach z rządem. Poparcia już odmówiła fundacji druga wiodąca nauczycielska grupa strajkowa – wielotysięczny „Protest z wykrzyknikiem”. Nie przyłączają się również liderzy OMKS-u. Na forach nauczyciele oskarżają liderów „Ja nauczyciel’ka” o sympatie wobec rządu PiS, jako dowód podają pomysły dotyczące likwidacji Karty oraz wystąpienie jednego z liderów w programie telewizyjnym, w którym sekundował ekspertom promowanym przez PiS.

Do końca lutego miał powstać statut związku, potem – jak obiecywali aktywiści – miała nastąpić rejestracja. Tak się jednak nie stało, a działacze fundacji przestali mówić o powoływaniu związku, zaczęli budować branżową Izbę Nauczycielską.

Na Facebookowej grupie dawnego OMKS-u, na której nie publikuje się już bieżących postów, Danuta Mołdysz wkleja co kilka dni apel o stowarzyszanie się: „Przyszedeł czas, abyśmy my, nauczyciele, nauczyli się razem działać.(...) Działać razem to wstać z kolan i krok po kroku odzyskać szacunek do samych siebie. Jak my się zaczniemy cenić, to wtedy będziemy silni, a jak będziemy silni...”.

W tę nauczycielską jedność nie wierzy już Agnieszka Bilńska. Stara się też nie myśleć o jeszcze jednej rzeczy – o pracy

z młodzieżą. To największa strata, z jaką mierzy się po podjęciu życiowej decyzji o zmianie zawodu. W zagłuszaniu tej myśli pomagają Agnieszce ciągle jeszcze dźwięczące w głowie okrzyki: „darmozjady!”, „Mają wakacje, chcą jeszcze więcej!”, które słyszała podczas demonstracji, albo czytała pod nauczycielskimi postami w Internecie. Stara się myśleć w ten sposób: dotąd musiała pracować na dwóch etatach, żeby zarobić na samodzielne życie z synem. Co najmniej dwa razy w tygodniu po lekcjach w szkole publicznej biegła prowadzić zajęcia w szkole prywatnej, do domu wracała późnym wieczorem. Resztki czasu na życie prywatne i tak poświęcała pasji – prowadziła dla nauczycieli szkolenia z nowych technologii.

Od września wychodzi do pracy od tej samej porze, wraca po ośmiu godzinach i już nic nie musi robić. Zarabia tyle, ile wyciągała z dwóch szkolnych etatów. Jako starszy specjalista marketingu parzy sobie firmową kawę, potem firmową herbatę i smakuje wolność. Nawet jeśli ma ona znamiona korporacji. Uczy się nowych rzeczy. Również tego, w której komórce zgłaszać ewentualny mobbing. W szkole to było nie do pomyślenia. Ma czas na lunch. I na wyjście do toalety. Zapomina powoli, jak nieludzki system tworzą 45-minutowe lekcje przedzielone kilkuminutowymi pauzami. Na koniec: wreszcie zostanie zwykły urlop i nikt go jej nie będzie wypominał.

Aleksandra Pezda – dziennikarka, specjalizuje się w problemach współczesnej edukacji. Kilkanaście lat pracowała w „Gazecie Wyborczej”, prowadziła autorski program w Radiu TOK FM. Ostatnio współpracuje m.in. z Onetem, „Przekrojem”, „Forbes Women” i „Urodą Życia”. Napisała książki *Koniec Epoki Kredy. Internet dla nauczycieli i rodziców* i *Zdrowaś mario, Reportaże o medycznej marihuanie*.

Spółeczni strażnicy demokracji

Jakub Halcewicz-Pleskaczewski

{Rozgrywający.

Sylwetka Tomasza Piesieckiego}

Wykorzystanych przepustek do Sejmu ma w szufladzie już ze 100. Zrobił 40 tys. km, jeżdżąc do niego z Białegostoku i z powrotem. Przez prawie pełną kadencję 2015-2019, aż do ostatniego posiedzenia, przekonywał parlamentarzystów do przyjęcia jednej ustawy – nie tyle we własnej sprawie, bo własną w końcu wygrał już w sądzie. Chce systemowych zmian dla innych. Ma 28 lat. Nie ma czasu.

Przeżyłem

Jest rok 1992, 3 października. Tomasz Piesiecki ma wtedy trzy i pół roku. Ze starszą siostrą przechodzą przez ulicę pod Białymstokiem. Gdy są już po drugiej stronie, 2 m od jezdni, nagle w chłopca wpada samochód. Sprawca jest pijany. Zatrzymuje się, ale zamiast do ofiary, idzie do sąsiedniego domu. Są to jeszcze czasy sprzed telefonów komórkowych, chce u kogoś zadzwonić z domowego. Nie wiadomo, do kogo. Na pewno nie na pogotowie. Karetka zatrzymuje się przy leżącym obok ulicy dziecku tylko dlatego, że właśnie wtedy przejeżdża.

Siostrze Tomka nic się nie stało. Chłopiec ma przerwany rdzeń kręgowy, połamane miednicę, nogę. Wyrasta mu krwiak nadoponowy na wysokości kręgów szyjnych i pierwszego piersiowego. O jego życie lekarze walczą przez 2 tygodnie. Gdy nagle dostaje wysokiej gorączki, cieszą się, że organizm też podjął walkę razem z nimi.

Potem o życie Tomka walczą rodzice. Przy okazji wywraca się ich własne: matka rezygnuje z pracy, żeby być w domu, ojciec

zatrudnia się na budowach w Belgii, żeby zarobić pieniądze; i tak już zostanie – pracę za granicą podejmuje do dziś.

Rodzice martwili się przez pierwsze miesiące po wypadku, czy w ogóle przeżyję. Przeżyłem, ale to był dopiero początek – Piesiecki wspomina długie lata spędzone w szpitalach w Polsce i innych europejskich krajach na rehabilitacjach i pracy nad złagodzeniem następstw wypadku. Moje dzieciństwo to były szpitale. W szpitalu spędziłem pierwszy rok leczenia. Do 15. roku życia byłem w szpitalach w sumie 4 lata. Na dziś czas pobyków w szpitalach pochłonął jedną trzecią mojego życia.

Za późno

Sprawca wypadku nie miał obowiązkowego ubezpieczenia odpowiedzialności cywilnej. W takiej sytuacji o odszkodowanie i rentę występuje się do Ubezpieczeniowego Funduszu Gwarancyjnego. Rodzice Tomka o pieniądze zaczynają się starać po 10 latach od wypadku, w 2002 roku. Wcześniej nie mają czasu na myślenie o niczym innym niż zdrowie, życie i przetrwanie. Dopiero po latach na tyle oswiają się z sytuacją, że mogą zacząć myśleć o wystąpieniu o jakiegokolwiek środka. Wyrok zapada w 2009 roku. Sąd przyznaje odszkodowanie, zadośćuczynienie i rentę z Funduszu w wysokości 1 tys. zł. Na świadczenie składają się też zwrot poniesionych kosztów leczenia czy utracone zarobki matki. W sumie 720 tys. zł.

Odszkodowanie rozeszło się prawie natychmiast, w kilkanaście miesięcy. Nasze wydatki do jego zasądzenia wynosiły już 400 tys. zł. Tyle kosztowało samo leczenie i rehabilitacja, mieliśmy na nie rachunki. To już ponad połowa sumy gwarancyjnej – mówi Piesiecki. Sporo pieniędzy trzeba było pooddawać, bo były pożyczone. Drogi był wózek i inne niezbędne sprzęty.

W pewnym momencie Fundusz wstrzymuje wypłaty na 45 miesięcy, bo uznaje, że wcześniej wypłacał za dużo pieniędzy. Potem przelewy znowu przestają przychodzić. Najpierw o pieniądze

walczy matka Tomka. Potem, gdy chłopak dorasta, sam wgryza się w sprawę odszkodowań. Poszedłem z tym do komornika, ale Fundusz poinformował, że suma gwarancyjna się wyczerpała i więcej wypłat się nie należy. Złożyłem pozew o jej podwyższenie, ale przegrałem – wspomina. Dowiaduje się, jakie jest prawo: nie da się podwyższyć sumy gwarancyjnej po jej wyczerpaniu. Można tylko w czasie jej wypłacania. Oznacza to, że w przepisach czai się pułapka: Fundusz nie musi bowiem informować o bliskim terminie wyczerpania się sumy gwarancyjnej i gdy każdy poszkodowany w wypadku ma na głowie wystarczająco innych spraw, by jeszcze samemu wyliczać i ustalać, ile zostało na koncie Funduszu – a nie jest to wcale proste – pieniądze się wyczerpują. I jest już za późno, żeby cokolwiek zrobić.

Piesiecki argumentuje przed sądem, że odpowiedzialność Funduszu jest bezterminowa, bo ma na celu dostarczanie mu środków na utrzymanie, których nie jest w stanie zapewnić sobie samodzielnie. Jednak sądy w dwóch instancjach uznają, że w jego przypadku odpowiedzialność Funduszu wygasła – wyczerpała się kwota, do której wypłaty Fundusz został zobowiązany. Zatem roszczenia nie mają podstaw.

Piesiecki: Wyczerpanie się sumy gwarancyjnej spowodowało, że nie mogłem się już sam życiowo podnieść. Nic nie miałem. O nic nie mogłem się starać. Miałem 24 lata, coraz starszych rodziców, dookoła Podlasie. Dla innych w tym wieku życie się zaczyna. Ja dowiedziałem się, że moje życie się kończy.



Nie chcą go przyjąć nawet na kasy w supermarkecie. Wolą osoby z drugą i trzecią grupą inwalidzką. Tomkowi, który ma pierwszą grupę, przysługują 6-godzinny dzień pracy, 3-4 przerwy, w tym jedna 45-minutowa. To z powodu tych „przywilejów” na kasach nie widać osób na wózkach. Pomyślał, że zrobi kurs taksówkarza. Dostał odpowiedź, że przecież nie da rady włożyć klientowi walizki do bagażnika.

Gdyby uległ wypadkowi kilka miesięcy później, przyznana suma gwarancyjna byłaby dużo wyższa, bo akurat niedługo po jego wypadku zmieniają się przepisy. Nie może jednak na tych zmianach skorzystać, bo prawo nie działa wstecz. Nie obejmuje jego przypadku. Jego, ani kilkudziesięciu podobnych w skali kraju.

Początek

Piesiecki nie ma już nadziei na wzruszenie wyroków. Wprawdzie mógłby pójść jeszcze do Sądu Najwyższego, ale brakuje mu na prawnika, który umiałby przedstawić odpowiednie argumenty. Mija termin, który przysługuje mu na złożenie skargi kasacyjnej.

Ale inne terminy obowiązują Rzecznika Praw Obywatelskich. Piesiecki korzysta z okazji i opowiada rzecznikowi o swojej sprawie na regionalnym spotkaniu w Białymstoku w styczniu 2016 roku; Adam Bodnar odbywa takie spotkania regularnie w całej Polsce.

Chłopak przekonuje, że z powodu niskiej sumy gwarancyjnej z początku lat 90. poszkodowani w tamtym czasie w wypadkach są teraz pozbawieni ochrony i pieniędzy koniecznych do dalszego leczenia i egzystencji. Zdaniem Bodnara można powołać się na Kodeks cywilny, który mówi o ukształtowaniu stosunku prawnego ze względu na nadzwyczajną zmianę okoliczności. Rzecznik zwraca się do Senatu o zainicjowanie zmian w prawie. A w konkretnym przypadku Piesieckiego idzie do Sądu Najwyższego i korzysta z prawa do wniesienia kasacji.

Rzecznik rozwija argumentację z przegranych wyroków: mimo że od wypadku minęło 20 lat, Tomasz jest ciągle młodym człowiekiem, przed nim wiele lat zmagania się z niepełnosprawnością, której nie zawinił. Jak można więc twierdzić, że odpowiedzialność państwa wobec niego wygasła? – pyta RPO w Sądzie Najwyższym. Przywołuje konstytucję (wszyscy są wobec prawa równi; wszyscy mają prawo do równego traktowania przez władze publiczne; nikt nie może być dyskryminowany w życiu politycznym, społecznym lub gospodarczym z jakiejkolwiek przyczyny) i stanowisko Sądu Apelacyjnego w Warszawie, który 3 lata wcześniej w uzasadnieniu jednego z wyroków pisał, „iż zapewnienie poszkodowanym ciągłości otrzymywanych świadczeń znajduje uzasadnienie w zasadzie słuszności i współżycia społecznego”.

Senacka komisja praw człowieka, praworządności i petycji we wrześniu 2016 roku opowiada się za podjęciem inicjatywy ustawodawczej mającej rozwiązać problem wyczerpywania się sum gwarancyjnych. W imieniu RPO występuje jego zastępczyni ds. równego traktowania Sylwia Spurek, wspierana przez przedstawiciela rzecznika finansowego Aleksandra Daszewskiego. Przeciwno występują firmy ubezpieczeniowe. To one zasilają Fundusz Gwarancyjny.

Nie chodzi o to, by zwiększać odszkodowania po latach. Chodzi tylko o ciągłość renty. To specyficzne świadczenie. Nie jest to odszkodowanie ani zadośćuczynienie. Wystarczyłby przepis, że w przypadku rent (a one dostarczają podstawowego źródła utrzymania, którego poszkodowany nie może sam sobie zapewnić z powodu wypadku) ma zawsze zastosowanie aktualnie obowiązująca suma gwarancyjna. Wtedy ludzie w takiej sytuacji jak ja nie musieliby z lękiem patrzeć w przyszłość. I tak nie jest nam lekko – mówi na posiedzeniu komisji Piesiecki. Nie jestem prawnikiem, ale z wieloma prawnikami o tym rozmawiałem i analizowałem problem. Myślę, że dałoby się tu zaproponować rozwiązania, które będą zgodne nie tylko z prawem, ale i z poczuciem sprawiedliwości. Owszem, wypadek był dawno temu i odszkodowanie dotyczyło tamtego czasu. Ale ja nadal żyję, nadal muszę się utrzymać. Myślę, że każdy może to zrozumieć. Mam dziś tylko 620 zł renty... – dodaje. To renta socjalna.

30 maja 2017 roku Sąd Najwyższy uwzględnia skargę kasacyjną RPO, uchyla wyrok Sądu Apelacyjnego w Białymstoku i przekazuje sprawę do ponownego rozpoznania. Rzecznik przyłącza się do tego postępowania po stronie Piesieckiego. Razem z kasacją sprawy nabierają tempa. Może dlatego, że odtąd coś się zmienia: Piesiecki zaczyna walczyć już nie tylko o siebie. Teraz chodzi o sprawę. Dla innych, podobnie jak on poszkodowanych, nieraz w gorszej sytuacji, leżących, w zasadzie bez (prawa) głosu.

A inni

Na początku naszej rozmowy Piesiecki skupia się, wyjaśnia, chce być dobrze zrozumiany. Od 2016 roku Fundusz ma obowiązek informowania poszkodowanych, gdy 80 proc. ich sumy gwarancyjnej się wyczerpie. By mogli uniknąć pułapki, w którą wpadł Piesiecki. Zmiana z 2016 roku miała być „na zaś”, dla tych, którym groziło wyczerpanie się sum gwarancyjnych. To dokładnie 220 osób. Ale potrzebna była też ustawa dla tych, którym sumy gwarancyjne już się wyczerpały. Jest ich zaledwie 66.

Na początku senatorowie nie byli za podjęciem inicjatywy. Wszyscy parlamentarzyści byli ostrożni – mówi. Ubezpieczyciele chcieli ich przestraszyć, więc podawali im ogromne koszty wprowadzenia ustawy. Szacowali je na miliardy złotych. Argumentowałem, że sprawy dotyczą mniej niż 300 osób.

Niebawem na horyzoncie pojawia się nowy sojusznik. Piesiecki widzi, że wszystkie miasta powiatowe odwiedza prezydent Andrzej Duda, a pod koniec 2016 roku planuje być w podlaskich Siemiatyczach.

Pojechałem na spotkanie i ustawiłem się w rzędzie do przywitania prezydenta. Wstań, będziesz Dudą, pokażę ci, jak to wyglądało – mówi nagle. Tłumaczy, że prezydent do każdego podchodzi, wyciąga rękę, wita się, zwalnia uścisk i idzie dalej.

Nie tym razem. Piesiecki przytrzymuje mnie mocniej i pociąga do siebie. Tak zrobiłem. Przytrzymałem prezydenta, powiedziałem

o swojej sprawie i poprosiłem o rozmowę. Spokojnie. Prezydent nie odczuł, żeby to był atak. Zobaczył tylko, że mam coś ważnego do powiedzenia.

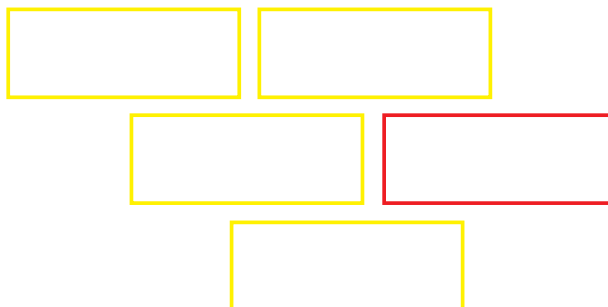
Co Piesiecki powiedział w ciągu pierwszych sekund, że przekonał głowę państwa do dłuższej rozmowy? „Jestem przedstawicielem osób poszkodowanych w wypadkach komunikacyjnych. Czy możemy porozmawiać?”. Okazuje się, że to wystarczyło. Tłumaczy mu sprawę, daje dokumenty. W odpowiedzi prezydent obiecuje poparcie inicjatywy ustawodawczej. Odpowiedni dokument wpływa do Senatu w ciągu dwóch tygodni.

Do budynków parlamentu Piesiecki po raz pierwszy wchodzi z ekipą telewizji, niedługo po spotkaniu regionalnym Bodnara w Białymstoku. Po publikacji relacji ze spotkania na stronach RPO o sprawie pisze „Gazeta Wyborcza”. TVN nagrywa w Sejmie materiał, Piesiecki ma w nim wystąpić. Poznaje wtedy senator Lidię Staroń. Ta daje mu przepustkę na następne posiedzenie. Na kolejne obrady wejście ułatwia Kancelaria Prezydenta.

Piesiecki uczestniczy we wszystkich posiedzeniach komisji sejmowych i senackich, które dotyczą jego spraw. To on informuje RPO, kiedy się odbędą, nie odwrotnie. Nagrania można obejrzeć na stronach Sejmu; na przykład na posiedzeniu parlamentarnego zespołu ds. osób niepełnosprawnych opowiada o osobach jeszcze bardziej poszkodowanych niż on. Mówi o tych, którzy muszą walczyć przed sądami, mimo że często sami są leżący.

Nie tylko uczestniczy w posiedzeniach komisji, ale wnika w sejmową tkankę. W budynkach parlamentu zostaje przez całe dnie. Zagaduje dziennikarzy, parlamentarzystów. Chce ich zainteresować czynnym udziałem w sprawie.

Tłumaczy, że ustawa musi przejść przez parlament do wakacji 2019 roku. W przeciwnym razie wraz z upływem kadencji Sejmu (2015–2019) proces legislacyjny uległby dyskontynuacji. Oczywiście



w nowym Sejmie można by zacząć wszystko od nowa. Ale skoro od pierwszego spotkania z RPO minęły prawie 4 lata, podczas których ubezpieczyciele byli w stanie cały czas blokować zmiany, nie można było tego odpuścić. Ubezpieczyciele poczuliby krew. Jeśli byli skuteczni tak długo, za drugim podejściem czuliby się jeszcze pewniej. Już nigdy by się nie udało.

Chcesz kandydować?

Były takie momenty, kiedy myślałem, że dam sobie spokój. Bo ubezpieczyciele, bo ostrożność posłów... Ale w lutym 2019 roku rozmawiałem z premier Beatą Szydło i powiedziałem jej wprost, w czym widzę problem. Że moim zdaniem ubezpieczyciele są powiązani z Ministerstwem Finansów. Bo przecież prowadzenie sprawy nie zależy od ubezpieczycieli, ale od posłów, senatorów i Ministerstwa Finansów czy ogólnie rządu. A wygląda to tak, jakby wszystko zależało od ubezpieczycieli.

To samo mówi na drugim spotkaniu regionalnym RPO w Białymstoku. I dodaje: Jeśli sprawa nie zostanie załatwiona do końca tej kadencji, to przepadnie, a w każdym razie będziemy mieli mniejsze szanse. Bo nikt z nas nie będzie miał już siły, by pchać tę sprawę od nowa – opowiada. Dopiero po rozmowie z Szydło Piesiecki widzi, że rząd przyspiesza, a ubezpieczyciele odpuszczają.

Jeszcze na sam koniec sprawa zawisa na włosku. Tuż przed sejmowymi wakacjami Krystyna Skowrońska, wiceprzewodnicząca komisji finansów publicznych, wnosi poprawkę, która blokuje cały projekt, bo wymaga opracowania stanowiska rządu, a Ministerstwo Finansów nie jest w stanie go przygotować w 2 dni, do końca posiedzenia. Tymczasem po sejmowych wakacjach już do wyborów miało nie być żadnego posiedzenia Senatu. Projekt by przepadł. Udaje mu się przekonać posłów. Wycofują projekt do komisji finansów publicznych, którą na dziesiątą wieczorem zwołuje Janusz Szewczak. Skowrońska odwołuje poprawkę. Posiedzenie kończy się godzinę później.

Wychodząc z Sejmu, Piesiecki patrzy jeszcze na monitor z transmisją z sali plenarnej. Widzi premiera Mateusza Morawieckiego. Dzwoni do posłanki Małgorzaty Wypych, prosi, by zapytała premiera, czy nie zechciałby porozmawiać o problemie poszkodowanych w wypadkach. O trzeciej w nocy premier obiecał mi, że sprawa zostanie załatwiona w tym parlamencie. Mówiłem mu, że nie robię tego dla siebie, że problem mnie dotyczy, ale trzeba go rozwiązać systemowo. A gdybym nie miał z nim styczności, w ogóle nie wiedziałbym, że istnieje. Premier zapytał, czy działam w czyimś interesie. Mówię, że nie, prywatnie. Zapytał, czy nie myślałem o kandydowaniu do Sejmu.

Na razie w wyborach do Sejmu nie kandydował. Choć gdyby w przyszłości pojawiła się taka możliwość, to by chciał. Jakkolwiek by było, będzie robił to, co zamierza. Może uda się poprawić życie innym osobom – mówi.

„W sposób szczególny chciałbym podziękować panu Tomaszowi Piesieckiemu, który siedzi o, tam [na sali posiedzeń Senatu – przyp. red.], który jest taką osobą, której wyczerpała się suma gwarancyjna, i który na drodze sądowej uzyskał dla siebie powiększenie takiej sumy, a wziął na siebie ten trud wielu miesięcy, wręcz lat przeprowadzania tej ustawy od momentu petycji, żeby taką sytuację, w której sam się znalazł, stworzyć dla innych, nie dla siebie” – mówi senator Jan Filip Libicki, szef parlamentarnego zespołu ds. osób niepełnosprawnych, przed głosowaniem w Senacie. „Spotkałem w swoim życiu dużo osób, które miały wiele samozaparcia. Ale dawno mi się nie zdarzyło spotkać kogoś, kto by w sposób tak heroiczny dążył do tego, abyśmy dziś tutaj stanęli i mogli powiedzieć, że na tym ostatnim etapie procesu legislacyjnego jesteśmy” – dodaje. Nie wiem jak. Udało się! – puentuje Piesiecki.

19 lipca 2019 roku Sejm przyjmuje nowelizację ustawy o ubezpieczeniach obowiązkowych, Ubezpieczeniowym Funduszu Gwarancyjnym i Polskim Biurze Ubezpieczycieli Komunikacyjnych. Na jej podstawie wystarczy złożyć wniosek o kontynuację wypłat.

Sąd przyznaje Piesieckiemu rentę z Funduszu Gwarancyjnego po 2 latach procesu, 24 września 2019 roku. 3 dni później w życie wchodzą przepisy, które dają osobom w takiej sytuacji jak on prawo do występowania z roszczeniami. Dzisiejsza suma gwarancyjna to ponad 5 mln euro – więc jest praktycznie niewyczerpywalna, wystarcza na całe życie.

Rozmawiam

Spotykamy się w listopadzie na turnieju drugiej ligi Koszykówki na Wózkach. Start Białystok z Piesieckim w składzie pokonuje OSW Olsztyn. Dwa tygodnie temu byłem u Andrzeja Dudy – mówi. Wiem, widziałem na YouTube.

Piesiecki przyznaje, że politycy się z nim fotografują, filmują, publikują materiały w mediach społecznościowych. *Nie przeszkadza mi to. W moją sprawę zaangażowali się politycy wszystkich partii. 415 posłów było za ustawą, i wszyscy senatorowie. Pojawiły się komentarze, że prezydent prowadzi kampanię, ale przecież on się zaangażował już kilka lat temu. Natomiast ogromna część sukcesu to zasługa Adama Bodnara i dobrze przygotowanej kasacji przed Sądem Najwyższym.*

Na filmiku przygotowanym przez Kancelarię Prezydenta widać przy stoliku Andrzeja Dudę, Tomasza Piesieckiego i jego narzeczoną. Bo – to też część tej historii – czas walki o sprawy publiczne to dla Piesieckiego czas wchodzenia w dorosłość. Wcześniej towarzyszyła mu mama. Teraz planuje ślub. W międzyczasie kończy studia – zarządzanie.

Na spotkaniu z prezydentem mówi o innych problemach do rozwiązania. Na przykład takim: osoby, które przed wypadkiem nie miały okresu składkowego jako zatrudnieni, dostają renty socjalne, a te, które miały okresy składkowe – renty z tytułu niezdolności do pracy. Obie grupy mogą dorabiać, ale osoby z rentą socjalną są rozliczane w cyklu miesięcznym, a niezdolne do pracy – rocznym. Druga grupa jest w lepszej

sytuacji; osoby te mogą zarabiać w jednych miesiącach więcej, na przykład w sezonie, w innych mniej, a ich zarobki będą uśredniane. Tymczasem osoby z pierwszej grupy muszą w każdym miesiącu uważać, żeby nie zarobić za dużo i nie stracić uprawnienia do renty.

Druga duża sprawa to bariery architektoniczne. Wiele podjazdów jest nieużytecznych. Są na przykład podjazdy, przy których nie ma barierek, to problem dla niepełnosprawnych czy rodzin z dziećmi w wózkach. Niech te udogodnienia będą testowane na etapie projektu – postuluje Piesiecki. Chce, tak jak dotąd, rozmawiać ze wszystkimi i szukać poparcia szeroko; a politycy je deklarują. Choćby prezydent. Gdy podczas jednego ze spotkań, tym razem z mieszkańcami Kolna na początku 2020 roku, pracownicy Kancelarii Prezydenta widzą, że przyjechał Piesiecki, podchodzą do niego i mówią, że Andrzej Duda chętnie z nim porozmawia.

Gdy się budzę

Nie wybucha przy tym entuzjazmem, jak mogłoby się wydawać. Jego historia to nie jest przygoda chłopaka, który przechodzi ekscytujące dorastanie, podbijając parlament. Przeciwnie – to ciągła walka od chwili, gdy u progu dorosłości poczuł, że jego życie się skończyło. A jednak do pewnych rzeczy przywykł. Wózka już nie czuję, jak ty okularów. Pierwsze, co robię rano, to nie wyciąganie nóg do kapci. Chwytam wózek – tłumaczy.

Do innych przywyknąć nie chce. Jestem kłótlivy i nerwowy. Zwłaszcza, gdy w święta wśród rodziny albo na Facebooku widzę, że wszystkim najłatwiej jest narzekać. Każdy jest najmądrzejszy, tylko nikt nic nie robi, by zmienić swoją sytuację, nie wierzy, że dla chcącego nic trudnego. To mnie drażni. Albo kiedy ludzie mówią, że mi się udało, bo jestem niepełnosprawny. „Tobie łatwiej” – słyszę czasem. – A przecież był choćby protest niepełnosprawnych. Czy było im łatwo?

Przed naszym spotkaniem stoję na trybunach i oglądam mecz. Na boisku Piesiecki jest najszczuplejszy i najdrobniejszy. Jest rozgrywającym. Odpowiada za kreowanie ataku. Przeprowadza piłkę z własnej połowy na połowę przeciwnika. Toruje drogę innym zawodnikom.

Jakub Halcewicz-Pleskaczewski – redaktor naczelny Więż.pl. Był redaktorem „Przeglądu Powszechnego”, Wyborcza.pl, publicystyki „Gazety Wyborczej” („Gazeta Świąteczna”), MamPrawoWiedziec.pl, sekretarzem redakcji Culture.pl. Publikował m.in. w tytułach: „Focus”, Newsweek.pl, „Press”, „Rzeczpospolita”, „Tygodnik Powszechny”. Ostatnio dla magazynu „Press” napisał obszerną sylwetkę Tomasza Sekielskiego. Gdy w 2007 r. pisał reportaż z oddziału chirurgicznego szpitala, asystował (dosłownie) przy pięciu operacjach.

Spółeczni strażnicy demokracji

Kamila Kielar

{Komuś zależeć musi}

Im bardziej świat zaczyna być spolaryzowany, tym bardziej dziennikarze aktywnie włączają się w działania na rzecz swojej racji. Czy im w ogóle wolno, czy wręcz trzeba?

Do dyskusji o sporze dziennikarstwa z aktywizmem zapraszam Bartka Sabelę, reportera i jednego z obecnie najbardziej czynnych aktywistów.

Na takich jak on patrzy się ze zdystansowanym podziwem i mówi, że są bohaterami. Takie przynajmniej można odnieść wrażenie analizując reakcje ludzi na jego działalność. Ale Bartek Sabela kolejne 3 godziny będzie mnie przekonywał, dlaczego bohaterem akurat nie jest. Jest za to i dziennikarzem, i aktywistą politycznym. Kim bardziej?

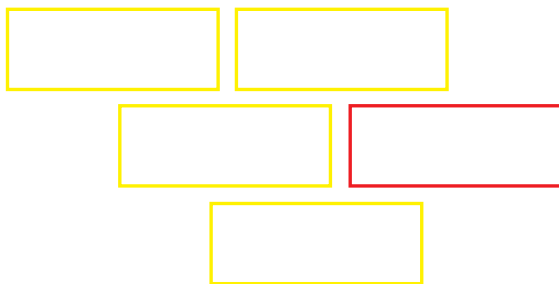
Kimkolwiek jesteś – mówi – prawnikiem, doktorem, mechanikiem samochodowym czy dziennikarzem, to raz, że jesteś dalej obywatelem, a dwa, że jesteś człowiekiem, który ma prawo się bronić. Żaden z tych zawodów nie zwalnia cię z prawa do samoobrony, kiedy twoje prawa są zagrożone. Nie widzę powodu, dla którego dziennikarzowi, reporterowi nie wypada być aktywistą. Rozumiem argumenty, które podnosi wiele osób, że to niszczy wiarygodność, że to niszczy obiektywizm. Ale, na litość boską, żeby być nieobiektywnym dziennikarzem i pisać bzdury wcale nie trzeba być aktywistą. I w drugą stronę: fakt, że jest się aktywistą, niekoniecznie oznacza, że będziesz nieobiektywnym reporterem. Żeby nie było wątpliwości: umiem sobie wyobrazić sytuację, w której aktywizm z pisanem się kłóci. Ale tę granicę czuje chyba każdy reporter.

Wiarygodność dziennikarzy jest od zawsze podważana, często z dużo bardziej błahych powodów, nierzadko z samego faktu pracowania dla konkretnej gazety. Zwłaszcza, jeśli medium jest mocno określone politycznie czy ideologicznie.

Bartek gorzko podkreśla, że fakt współpracy z Agorą podważa nie tylko jego wiarygodność, ale wręcz sens istnienia. Po tym, jak obrzuciliśmy farbą siedzibę partii, dostawałem na FB wiadomości o tym, jak kiepskim jestem reporterem i jakie to wielkie rozczarowanie dla niektórych. Co bardziej absurdalne, dotyczyło to też mojej książki o Saharze Zachodniej. Odwołano mi nawet spotkania autorskie.

Dziś Bartek częściej angażuje się w akcje tajne, nielegalne. W mediach można zobaczyć tylko ich skutki, nie samą działalność. Uważa, że taki aktywizm może mieć dużo bardziej konkretne efekty, że chodzenie na protesty obecnie w Polsce nie działa. Długo się waha, czy opowiedzieć o jednej z najbardziej spektakularnych akcji, w której brał udział. Ostatecznie nie decyduje się na upublicznienie szczegółów. Jego udział w tamtym wydarzeniu był zresztą nietypowy: jedynie je fotografował. Nie zdecydował się na uczestnictwo, bo redakcja zasugerowała, że nie powinien, że może mieć problemy jako dziennikarz.

Braku bezpośredniego udziału będzie żałował jeszcze rok później, bo była to jedna z najważniejszych, najbardziej istotnych i potrzebnych akcji, w które był zaangażowany. Jego zdjęcia za to obiegły świat i były drukowane w międzynarodowych dziennikach. Oczywiście, skoro zdjęcia były podpisane jego nazwiskiem, to i tak nikt by nie uwierzył, że znalazł się tam przypadkiem. Ale światy dziennikarstwa i aktywizmu są jednak dość blisko. Reporterzy, dziennikarze często są informowani o planowanych zdarzeniach, to normalne. Bycie dobrze poinformowanym to przecież istota tego zawodu – wyjaśnia Sabela.



Ważenie głosów

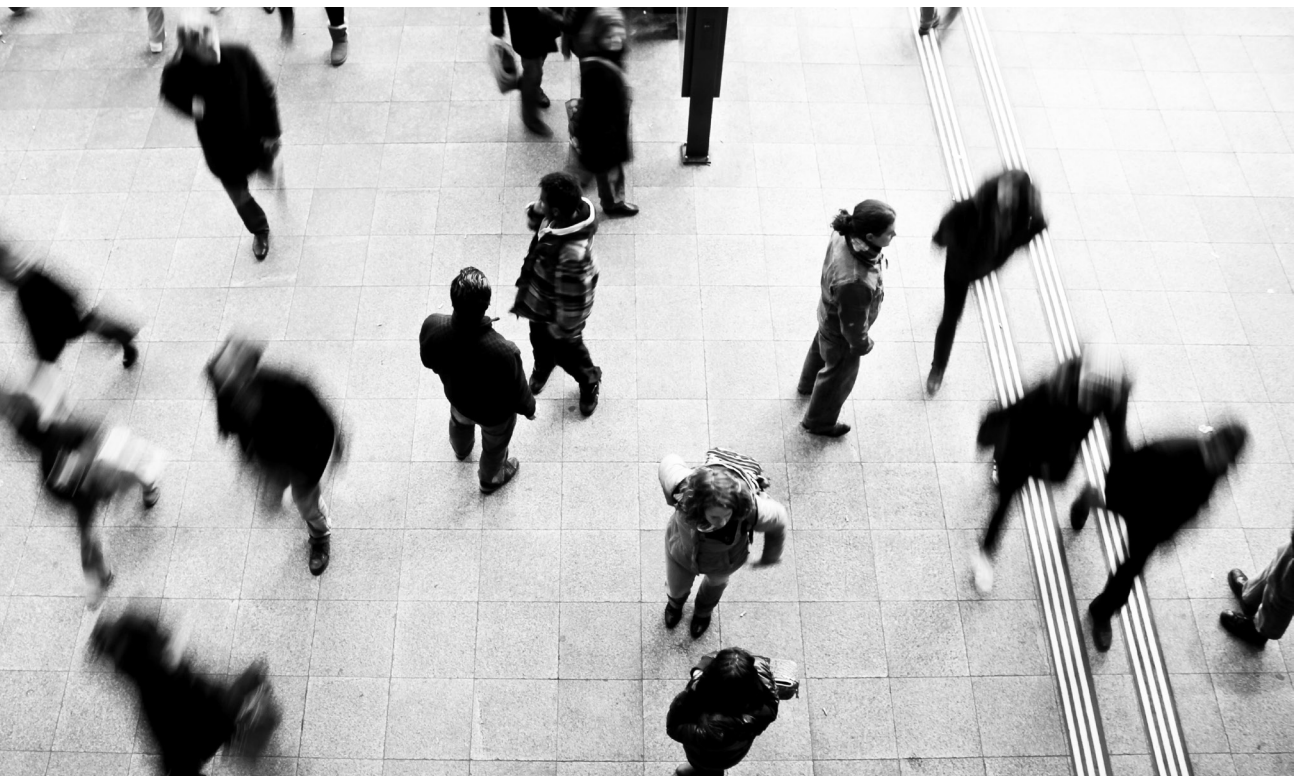
Jednym z ważniejszych pytań, które zadają sobie zaangażowani w aktywizm dziennikarze, jest to o skuteczność. Co ma większą siłę dotarcia? Jak skuteczniej można wpłynąć na ludzi, opinię, działania rządów? Tekstem czy działaniem?

Bartka też o to pytam. Że skoro jego zdjęcia z ważnej akcji docierają na koniec świata i ilustrują artykuł, to może ma to większe znaczenie, niż gdyby pomagał swoim kolegom. Aktywizm i dziennikarstwo mogą i muszą się uzupełniać. Bez oprawy medialnej aktywizm pozostaje w pustce, nie dociera ze swoim przekazem do ludzi. Co z tego, że zrobimy coś spektakularnego, skoro nikt się o tym nie dowie? Z drugiej strony, dla reportera takie wydarzenia to jest fantastyczny kąsek. To jest trochę esencja dziennikarstwa, być świadkiem ważnych wydarzeń społecznych. Historia dzieje się na ulicy, tworzą ją ludzie, a dokumentują reporterzy i dziennikarze.

Kto ma mocniejszy głos, aktywista czy dziennikarz? Trudno to jednoznacznie zważyć. To, co zrobili Rzeczkowski i Piątek swoimi książkami, to co zrobił Sekielski swoim filmem, to co ostatnio zrobił Bertold Kittel o Banasiu, to są niezwykle istotne śledztwa dziennikarskie – Sabela podaje przykłady. Z drugiej strony gigantyczną moc mają po prostu obywatelskie wydarzenia, akcje. Wierzę bardzo w moc społecznego gniewu, jak w przypadku obalenia pomnika Henryka Jankowskiego. Ktoś mógłby powiedzieć, że ani obalenie pomnika, ani film Sekielskiego nic nie zmieniły, czyli zarówno aktywiści, jak i dziennikarze ponieśli klęskę. Ale to nieprawda, każde z tych działań to wyjęcie jednej cegły z muru. Poza tym, nawet jeśli dany materiał dziennikarski, czy akcja uliczna nic nie zmieni, to nie oznacza, że nie należy ich robić.

Dziennikarze nie zawsze rozumieją prawdziwą istotę działania aktywistów, sam ferment bywa wystarczająco ciekawy, żeby go opisać. A w opisie fermentu jest brak próby zrozumienia, po co ci ludzie wyszli na ulicę, po co zrobili to, co zrobili. Zazwyczaj czyta się suche fakty albo quasi-sensację.

Bartek idzie o krok dalej i wskazuje nieudolność mediów jako jedną z przyczyn obecnego stanu naszej polityki i życia społecznego. Aktywiści są często lekceważeni przez dziennikarzy i traktowani jako polityczny folklor: grupa wariatów i rzeczy niewarte uwagi mediów. Dam ci przykład. Niedawno w Strasburgu, na posiedzeniu Rady Europy, miał miejsce protest moich znajomych. Trzech facetów i kobieta miało determinację, odwagę i to proste poczucie, że należy, że trzeba wejść na posiedzenie Rady Europy i powiedzieć „nie” zbrodniom rosyjskim na Ukrainie oraz osławianiu i lekceważeniu tych zbrodni przez kraje europejskie. I nie chodzi o te cztery osoby. Ale o sprawę, kurewsko ważną, krytyczną wręcz w obecnej polityce europejskiej, dla której ci ludzie tam pojechali. To polityka appeasementu: znów wpuszczamy na salony zbrodniarza. Zupełnie jak w latach 30. I w kontrze odważny głos sprzeciwu. Nikt o tym nie mówił w mediach, zauważyło to jedynie OKO Press.



Spór

Sami dziennikarze są mocno podzieleni – czy w swoim zawodzie można, wypada, a może nawet trzeba być aktywistą. I ten spór zrodził się prawie 100 lat temu, choć niektórzy upatrują początków aktywizmu dziennikarzy już od rewolucji francuskiej, kiedy prasa nie była tak powszechna, a dziennikarze zwoływali się na wiece.

W Polsce szczególnie zaangażowanie dziennikarzy widać przed 1989 rokiem. Jerzy Turowicz, naczelny „Tygodnika Powszechnego”, zaangażowanie uważał za słuszne i potrzebne. „»Tygodnik Powszechny« przez całe 45 lat Polski Ludowej był pismem politycznym, budując opór przeciw totalitarnemu zniewoleniu przez system komunistyczny i przyczyniając się w miarę swoich skromnych możliwości do upadku tego systemu” (<http://www.miesiecznik.znak.com.pl/6922013-janusz-poniewierskiobywatel-turowicz/>).

Gdyby nie aktywiści, nie byłoby też na rynku niektórych tytułów, z „Gazetą Wyborczą” na czele, która nie tylko wyrosła z działalności społecznej, tylko była jej niezbędnym narzędziem.

Pytanie o to, gdzie kończy się dziennikarstwo, a zaczyna aktywizm, było zawsze szczególnie ważne w czasach silnej polaryzacji opinii i zmian społecznych. Im bardziej niespokojne czasy, tym większa liczba zaangażowanych politycznie dziennikarzy. W wolnej Polsce to dobrze widać od roku 2005, a szczególnie po Smoleńsku. Andrzej Stankiewicz, publicysta Onetu, podkreśla, że dziennikarzy nie da się już zjednoczyć, bo są odzwierciedleniem tego, co dzieje się w polityce. A tam na jedność nie ma szans. Niektórzy dziennikarze widzą to jeszcze inaczej. Dla nich samo dziennikarstwo, dawanie głosu tym, którzy są niesłyszani, jest już swoistym rodzajem aktywizmu.

Zmieniające się dynamicznie media i ich konwergencja, nowe role dziennikarzy i płynne w tym definicje powodują, że w sporze często wraca się do podstawowego pytania: kim jest dziennikarz.

Za aktywizm dziennikarski niektórzy uważają też rzucane przez dziennikarzy komentarze w programach informacyjnych czy wywiadach – choć większość uzna to za mieszanie dziennikarstwa z publicystyką. Niektórzy dziennikarze robią to subtelnie, niektórzy walczą w mediach społecznościowych („Prawdziwa opozycjo z PO i Nowoczesnej. Ten protest ma sens! Nie słuchajcie byłych PIS-owców i pseudoznawców. Twardo, do przodu!!!” Tomasz Lis, czy „Co miesiąc atakują człowieka, który idzie na grób swoich bliskich. Jak długo politycy PO, Nowoczesnej i część dziennikarzy będzie milczeć???” Samuel Pereira, TVP).

Jednym z dziennikarzy przeciwnych angażowaniu się jest Jacek Nizinkiewicz, dziennikarz „Rzeczpospolitej”. Argumentuje, że rolą dziennikarza jest patrzenie władzy na ręce, a nie opowiadanie się po jej stronie czy stronie opozycji.

Specjalny zawód

Spór trwa zarówno na poziomie teoretycznym, jak i barowym. Sabela też słyszał takie głosy w rozmowach z kolegami dziennikarzami przy piwie: że nie powinien, że straci wiarygodność, że nie taka jest jego rola. Że redakcje będą miały problem z przyjmowaniem jego tekstów. I choć zaraz doda, że to była przyjacielska rozmowa, nie groźba, to z tego powodu na tej jednej akcji zostanie fotografem, a nie aktywistą. Na problemy z przyjmowaniem jego tekstów przez redakcje też się nie skarży.

Dla redakcji rzeczywistym problemem może być publikowanie tekstów osób zaangażowanych w taki czy inny sposób w działania uliczne. To najprawdopodobniej jest pochodną obowiązującej doktryny, że dziennikarz nie powinien być zaangażowany w nic oprócz swojej pracy.

Bartek skonstruje: *Ale litości, jaki wpływ ma moja obecność na ulicy na reportaż o Poleskim Parku Narodowym? Albo o wysypisku śmieci w Szprotawie lub handlu częściami do czołgów w Bumarze? Nie wspomnę o reportażach z Afryki. W swoich reportażach nie*

piszę o polskiej polityce ani o protestach, tych tematów unikam. Kiedyś napisałem jeden tekst, takie portrety Obywateli RP, ale na końcu tekstu było jasno napisane, że jestem (wtedy byłem) członkiem ruchu. Nie widzę powodu, dla którego dziennikarz miałby być specjalnym zawodem. Uczciwość zawodową każdy ma w sobie, zarówno dziennikarz, jak i prawnik, nauczyciel i każdy inny.

Drażę więc, czy będzie się angażował, nawet jeśli miałoby się to skończyć tym, że więcej by nie publikował. Ja rozdzielam te sprawy.

- Ale redakcje niekoniecznie.

- Dla mnie bardzo ważna jest uczciwość wobec samego siebie. Jeśli będę miał z tego powodu problem, to trudno. Czasami są takie rzeczy, które wiesz, że należy zrobić, bez względu na ewentualne konsekwencje. Bo jest to słuszne, potrzebne, istotne. To kwestia zadania sobie pytania, w co wierzysz i uważasz za ważne.

- Dziennikarze czują się zwolnieni z tego pytania?

- Pamiętasz taką sytuację, kiedy Ewa Siedlecka usiadła z Władysławem Frasyniukiem na ulicy próbując zablokować pochód miesięcznicy smoleńskiej? Wywiązała się po tym spora dyskusja, bo znana i ceniona dziennikarka tygodnika opinii wzięła udział w akcie obywatelskiego nieposłuszeństwa i została wraz z innymi wyniesiona przez policję. Widziałem wtedy bardzo wiele deklaracji wśród dziennikarzy, że za miesiąc idziemy i siadamy wszyscy! Niejednokrotnie to byli dziennikarze bardzo poważnych redakcji. Oczywiście za miesiąc żadnego z nich tam nie było. Nigdy ich nie było. To znaczy bywali - gdy tłumy stały ze świeczkami pod pałacem czy Trybunałem, wtedy tak. Ale czym innym jest stanąć w minucie ciszy pod Belwederem, a czym innym jest coś zrobić, choćby tak drobnego jak usiąść na ulicy i powiedzieć „nie” policji. Wśród tych ulicznych ruchów są pojedyncze postacie ze świata mediów - choćby Piotr Pytlakowski z „Polityki”, który kiedyś ładnie mi wyjaśnił, że nie ma w tym względzie rozterek etycznych mówiąc: „stary, ja mam już tyle lat, że nie muszę się nikomu z niczego tłumaczyć”.

Tarcza

Teoretycznie, można by odwrócić całą dyskusję, że skoro dziennikarz – według zawodowego etosu – ma być blisko ludzi, to czy w ogóle etyczne jest pozostanie biernym. Dla wielu dziennikarzy uczestnictwo jest podstawą dziennikarstwa.

Podziały wśród dziennikarzy nie dotyczą jedynie ich działalności społecznych czy politycznych. Dużo rozmawia się o etyce tzw. wcieleniówki. W Polsce chętnie ją stosują Jacek Hugo-Bader, Marek Kęskrawiec, Ada Wons czy Paweł Reszka.

Zadaniem dziennikarza nie jest spisanie wywiadów i przytoczenie opinii dwóch stron zza swojego biurka w redakcji. Tym zadaniem jest pójść i samemu sprawdzić, jak jest, spróbować dotrzeć do prawdy również poprzez doświadczenie. Inaczej trudno o prawdziwe zrozumienie, inaczej reportaż jest w moim przekonaniu trochę martwy. Ale pójdźmy dalej. Doświadczenie poprzez wcielenie się w postać. Dlaczego nie? Zawód reportera z automatu zamyka przecież wiele drzwi. Dlaczego więc nie wcielić się w postać, dla której te drzwi pozostają otwarte? Ja nie widzę w takim działaniu etycznych dylematów, a jedynie możliwość dotarcia do informacji niedostępnych w inny sposób dla reportera – tłumaczy Sabela.

W tej opinii z Sabelą zgadza się Paweł Reszka, pod koniec 2019 nagrodzony tytułem Dziennikarza Dekady. W swojej pracy był już sanitariuszem, ratownikiem, bankowcem. W wywiadzie dla Wirtualnych Mediów mówi, że trudno być dziennikarzem, jeśli się nie ubrudzi życiem. To nie jest prosty zawód, to nie jest zawód do siedzenia za biurkiem. To zawód do szwendania się, do szukania historii, do rozmawiania z ludźmi. To nie zawsze jest miłe i przyjemne. Modnym zawodem stał się zawód publicysty. To taki człowiek, który czyta gazety, ogląda telewizję, czasem do kogoś zadzwoni i z pozycji „ex cathedra” komunikuje społeczeństwu swoje myśli. Moim zdaniem to nie jest prawdziwe dziennikarstwo.

Bartek podkreśla jeszcze, że takie rozważania etyczne często służą już nie tylko dziennikarzom, ale ogólnie wszystkim, jako tarcza, wymówka. Wracając do spraw ulicznych: ciągle słyszę: „ja w sumie nie wiem, czy to słuszne, nie chcę się mieszać”,

albo „wiesz, ja mam taki zawód, że mi nie wypada”, albo „stary, ja mam dzieci, nie mogę ryzykować”, albo „ja mam firmę, jak wyjdę na ulicę, to mi od razu wejdzie urząd skarbowy”. Spokojnie, nie. Mam wśród moich ulicznych kompanów zarówno ludzi pracujących w instytucjach państwowych, którym najłatwiej by było narzucić jakieś konsekwencje, mam ludzi prowadzących swoje firmy, posiadających dzieci. I jak się zdroworozsądkowo zastanowisz, to dzieci powinny być najsilniejszym argumentem, dlaczego jesteś aktywistą, a nie na odwrót.

Radiowóz na Facebooku

Dzisiejsze media i kanały dotarcia dla dziennikarzy zmieniają się bardzo szybko, wielu z nich jest aktywnych w mediach społecznościowych. Tutaj też mogą publikować swoje prywatne opinie, nie tylko oficjalne, dziennikarskie. Z drugiej strony, niektóre posty są tak naprawdę artykułami, które dzięki udostępnianiu zwykłych użytkowników potrafią rozchodzić się szeroko, z dotarciem do setek tysięcy czytelników. To zasięgi, o których tradycyjne gazety już nie mogą marzyć.

Tak szeroko rozchodziły się Facebookowe wpisy Bartka z wnętrza radiowozu. Pamiętam początki protestów w 2016 i nasze zmagania z tym, żeby media nie nazywały tego „przepychankami z policją”. Ponad rok nam zajęło, żeby zmienić język dziennikarzy. To nie są żadne przepychanki, bo ja nikogo, kurwa, nie przepycham. To ja jestem przepychany przez policję. Przepychanka ma to do siebie, że jest obustronna. Zawsze było tak samo: po fakcie przyjeżdżał dziennikarz w garniturze, robił wywiad z jednym z aktywistów, z jednym z policjantów, potem obowiązkowo z rzecznikiem policji albo ministerstwa. I puszczał bezsensowną sklejkę tych wypowiedzi, okraszona bzdurnym komentarzem o „przepychankach”. Aktywiści nie są idiotami. Zazwyczaj to, co robią, jest mocno przemyślane, ma przyczynę, sens i jest nastawione na jakiś rezultat. Mają też świadomość konsekwencji. Ale o tym nigdy nie było ani słowa. I dlatego pomyślałem sobie wtedy, że dobrze by było zacząć opisywać te zdarzenia od środka, z pozycji osoby planującej,

uczestniczącej oraz ponoszącej konsekwencje. Wiem, pisanie we własnej sprawie nie jest fajne. Tylko to nie był i nie miał być reportaż. Okazało się, że dla ludzi takie relacje są niezwykle istotne, patrząc po reakcjach i udostępnieniach czytelników. Dopóki ktoś nie był na miejscu, a jedynie znał wydarzenia z relacji mediów, to nie miał pojęcia, co się tam działo, jak już wtedy, w 2016, 2017, wyglądały działania policji, jak wiele było w nich nadużyć, ewidentnej stronnictwa, po prostu łamania prawa.

Sabela przestał już publikować na Facebooku swoje relacje. Każda forma działania z czasem wyczerpuje swój potencjał – opowiada. Uliczne protesty w takiej formie, w jakiej odbywały się w 2016, 2017 roku, miały sens wtedy, dziś się zdezaktualizowały, potrzeba nowych pomysłów. W tamtych latach często stawałem na ulicy z Obywatelami RP. Dziś zamiast próbować np. blokować kolejny marsz nacjonalistów w ten sam przewidywalny sposób, wolę robić inne rzeczy. Ale niestety w wielu przypadkach opisywanie ich byłoby mocno nierozważne.

Nieważni są bohaterowie

Bartek snuje swoją historię: Kiedyś istniał Bartek architekt, który nie był ani reporterem, ani aktywistą. Ale sądzę, że bycie aktywistą i reporterem ma bardzo dużo wspólnego i lubię to łączyć. Sądzę, że moje pisanie byłoby w jakiś sposób uboższe, gdybym nie angażował się w działania uliczne. Bo koniec końców to sprowadza się do pewnej wrażliwości, która jest równie istotna w dziennikarstwie, pisaniu i aktywizmie.

Próbujemy się nawzajem zrozumieć – aktywiści z dziennikarzami. Mówiąc najogólniej – chodzi o właściwy język i zwykłą rzetelność. Media i odbiorcy mają tendencje do skupiania się na nieistotnych detalach, np. na sprawcach: ten Sabela, ten Suszek, ta Suchanow. A to doprawdy nieistotne. Ważne jest na przykład to, że upadł pomnik. Dlaczego i czyj. O tym mówmy. A kto to zrobił, kto konkretnie pociągnął za taśmy, to jest nieważne. W aktywizmie nieważni są bohaterowie.

Pieszczoty

Rolą aktywistów zawsze było pokazywanie społeczeństwu spraw i kierunków, którymi warto się zajmować. Politycy zawsze robią wyłącznie to, co im się opłaca pod kątem poparcia społecznego lub doraźnych interesów. W wielu krajach jedyną możliwością wymuszenia zmian są działania oddolne, budowanie społecznej fali, której nacisk sprawi, że politykom będzie się coś opłacać. To jest ważna rola aktywistów, to oni mogą być źródłem tego fermentu. To grupa ludzi, którym zależy, bo komuś zależeć musi. Zatem postrzegam aktywizm i aktywistów jako istotny element życia społeczno-politycznego – mówi Sabela zapytany o to, po co w ogóle światu potrzebni są aktywiści.

Tylko dlaczego, choć mnóstwo osób kibicuje dziś działaniom aktywistów takich jak Bartek, udostępnia jego wpisy, to na akcję przychodzi garstka ludzi? Aktywistów z definicji jest za mało. W Polsce jesteśmy w dość trudnym momencie społecznym, gdzie aktywistów naprawdę potrzebujemy. Zobaczmy, z jaką reakcją społeczną spotyka się zamach na wolności obywatelskie w Hong Kongu. Albo popatrzmy na wydarzenia w Chile lub Boliwii. U nas przez 4 lata zniszczono struktury demokratycznego państwa i nie spotkało się to w zasadzie z żadną reakcją ze strony społeczeństwa. Bo, umówmy się – to, co działo się na ulicach od 2015, to są pieszczoty. Naprawdę pieszczoty, tego inaczej nie można nazwać. Nigdy przez ostatnie 4 lata nie było w Polsce prawdziwego wkurwu społecznego.

Żeby ulice płonęły

Jesienią 2019 roku odbywały się masowe protesty w Hong Kongu i Chile, gdzie tygodniami setki tysięcy ludzi wychodziło na ulicę. Na wachlarzu światowego aktywizmu dzisiejszy polski prezentuje się blado, zwłaszcza, jeśli wziąć pod uwagę, że mówimy o miejscach, gdzie sprzeciw wobec władzy może mieć fatalne konsekwencje, a mimo tego ludzie masowo protestują.

Sabela działania obywateli w Polsce nazywa „pieszczotami” i dodaje, że chciałby, żeby warszawskie ulice płonęły. Kiedy rządząca partia dokonuje zamachu na wolne sądownictwo i Trybunał Konstytucyjny, to ja bym chciał, żeby ludzie odpowiedzialni za to bali się wyjść z budynków, w których pracują. Nie chodzi o podżeganie do przemocy, ale to jest ten kaliber przewinienia ze strony władz i przekroczenia ich uprawnień, który powinien się spotkać z naprawdę stanowczą reakcją społeczną, obywatelskim gniewem, tak jak w Hong Kongu, tak jak we Francji protestowały żółte kamizelki. Klementyna Suchanow, aktywistka, powiedziała komentując polski aktywizm ostatnich lat, że ulice sobie odmalujemy, ale państwo odbudować będzie znacznie trudniej.

Aktywiści podkreślają, że te sprawy niewiele obchodzą społeczeństwo, bo nie wiąże ono działań rządu ze swoim życiem, bo nie interesuje się tym, co za progiem domu. Ważnym powodem bierności jest też strach przed konsekwencjami. Polska to nie Boliwia – denerwuje się Sabela. Bo co, dostaniesz mandat, 100, 200 zł? Albo jak ja dostałem któregoś razu naganę? Ostatnio dostałem ograniczenie wolności na 30 dni, ale to też jest pierdoła w porównaniu do tego, z czym się zmagamy i o co protestujemy. Czego tu się bać? Wizyty na komisariacie? To są konsekwencje, na które każdy obywatel powinien być gotowy w obronie własnego domu. W kółko słyszę: „a bo wiesz, konsekwencje, paragrafy”. O słabości naszego społeczeństwa świadczy to, jak wielkim wydarzeniem było choćby obrzucenie przez Klementynę Suchanow i Rafała Suszka jajkami rządowych limuzyn w 2017. Wywiązała się kuriozalna dyskusja, która wracała przy kilku innych okazjach. Z obu stron podnosiły się głosy, że to przemoc, nawoływanie do agresji, krok w złą stronę, niszczenie mienia. No jasna cholera, o czym my mówimy? Jajko w rządową limuzynę? Balonik ze zmywalną farbą w budynek partii to przemoc? Spray zmywalny na budynku sejmu to przemoc? Dlaczego nikt przemocą nie nazywa działań obecnego rządu? Wobec kobiet, przyrody, społeczeństwa i ustroju? To jest, kurwa, przemoc, a nie jajko w limuzynę.

Każde takie działanie to dla aktywistów forma i okazja ośmielania społeczeństwa do kolejnych form obywatelskiego

nieposłuszeństwa czy buntu. Do tego, że można w ogóle wyjść na ulicę, można na nich krzyczeć czy usiąść na ulicy przed rządową limuzyną. Można przeskoczyć przez barierki, można zignorować polecenia policji, można rzucić jajkiem w limuzynę, możesz namalować coś na murach.

- Naprawdę możesz? - pytam.

- Tak, możesz, bo jesteś w sytuacji wyższej konieczności, kiedy twój rząd łamie konstytucję. Mieliśmy takie przekonanie, że będziemy przesuwac tę granicę protestów - że jak my przeskoczymy barierkę, to będzie za nami 100 osób, które do tych barierek dojdą, i może któraś z nich przeskoczy z nami.

- Ilu przeskoczyło?

- Nikt. Mieliśmy taką teorię, że będziemy takim tłokiem, który pcha granicę dalej i dalej. Okazało się, że to kompletnie nie zadziałało. Przyczyny tego są bardzo złożone. Trzeba by się tu zastanowić nad naszą kondycją jako obywateli. Ja się obawiam, że jako społeczeństwo jesteśmy nieco wykastrowani przez ostatnie 30 lat naszej historii, wykastrowani z gniewu i buntu.

Bartek Sabela - reporter, pisarz, mówca. Regularnie publikuje reportaże w Dużym Formacie Gazety Wyborczej. Autor reporterskich książek *Może morze wróci*, *Afronauci*, *Wszystkie ziarna piasku*. Jeden z najbardziej czynnych aktywistów politycznych w Polsce, były członek Obywateli RP. Nie lubi słowa 'aktywista'.

Kamila Kielar - dziennikarka, reporterka, mówca, fotograf, podróżniczka. Od kilkunastu lat w mediach („Gazeta Wyborcza”, „Tygodnik Powszechny”, „Kontynenty”, Onet, „National Geographic”, „Podróże”). Reportaż o bośniackich lesbijkach opublikowany w książce (*Opowiadania przyprawione miłością*). Laureatka konkursów foto w USA i Kanadzie. Mówca na największych festiwalach w Polsce i za granicą, laureatka wielu nagród za wystąpienia. Absolwentka Dziennikarstwa (UJ) oraz podyplomowych Studiów Literacko-Artystycznych (UJ).

„Od samorządu do samorządności” – publikacja wydana z okazji obchodów jubileuszu 30-lecia Krajowej Izby Gospodarczej

Minęło 40 lat od utworzenia w Polsce Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego „Solidarność”, 30 lat od powstania samorządu gospodarczego i ponad 20 lat od reformy samorządu lokalnego. Idea samorządu nie wystarczyła jednak do stworzenia społeczeństwa, w którym obywatele czują się jak u siebie w domu. Wywalczone podstawowe prawa i wartości to jedynie fundament. Nie zbudujemy naszego państwa bez więzi lokalnych, poczucia wspólnoty, kapitału społecznego, inkluzji politycznej czy wreszcie społeczeństwa obywatelskiego. Dlatego wychodząc od samorządu, powinniśmy zwrócić się w kierunku samorządności.

Przy okazji Jubileuszu 30-lecia Krajowej Izby Gospodarczej chcieliśmy wskazać na pozytywne polskie przykłady samorządności w działaniu. Zarówno takie, które doprowadziły do ostatecznego sukcesu, jak i takie, które mimo nieosiągnięcia swoich celów, mogą być dowodem na sens oddolnej mobilizacji.

Do pomocy w zebraniu i opisanu tych przypadków w drodze konkursu zaprosiliśmy reportażystów i reportażystki, wierząc, że jest to grupa, która będzie w stanie najtrafniej uchwycić fenomen polskiej samorządności. Uczestnicy konkursu w swoich pracach odnieśli się do jednego z 4 obszarów tematycznych:

- samorządność biznesu,
- samorządność obywateli,
- samorządność lokalna,
- społeczni strażnicy demokracji.

Konkurs „Od samorządu do samorządności” został ogłoszony
w czerwcu 2019 r.

Jury konkursu stworzyli

Konrad Ciesiołkiewicz
Komitet Dialogu Społecznego KIG

Dorota Groyecka
„Non/Fiction”

Katarzyna Sekutowicz
Biuro Obsługi Ruchu Inicjatyw Społecznych BORIS

Ewa Siwek
Krajowa Izba Gospodarcza

Grzegorz Sroczyński
Tok FM

Jacek Żakowski
„Polityka”, Przewodniczący Jury

Spis treści

Andrzej Arendarski {Wstęp} 5

Samorządność biznesu

Adriana Rozwadowska {Spółdzielnie. Trudna miłość} 11

Grzegorz Przepiórka {Do samorządności przez samorządność} 27

Samorządność obywateli

Karolina Brzezińska {Gmina, którą ustawiły dinozaury} 45

Krzysztof Story {Zielony bunt} 61

Martyna Wojtkowska {Brudne, opatrunek, czyste} 77

Samorządność lokalna

Beata Bialik {Ulica mnie zmęczyła} 93

Ignacy Dudkiewicz {Mielec przegrywa z fabryką} 109

Iga Dzieciuchowicz {Na co czekają Penelopy?} 129

Społeczni strażnicy demokracji

Aleksandra Pezda {Jak jedna pięść. Historia pewnej mobilizacji}	143
Jakub Halcewicz-Pleskaczewski {Rozgrywający. Sylwetka Tomasza Piesieckiego}	157
Kamila Kielar {Komuś zależeć musi}	171
„Od samorządu do samorządności” – publikacja wydana z okazji obchodów jubileuszu 30-lecia Krajowej Izby Gospodarczej	187

30lat



KRAJOWA IZBA GOSPODARCZA

Sondaże się mylą.
Socjologowie się mylą.
Politolodzy się mylą.
A reportażyści wiedzą. Mają któryś
tam zmysł pozwalający im znaleźć,
zobaczyć, opisać to, co jest istotą
ludzkiego doświadczenia.
Dlatego właśnie reportażystów
poprosiliśmy, aby opisali polską
drogę „Od samorządu do samo-
rządności”.

Jacek Żakowski



Partnerzy



Patroni medialni

